



SHANA
GALEN
Prawdziwa miłość


AMBER

Romans historyczny

G SHANA GALEN

Prawdziwa miłość

Przekład
Agnieszka Magda Jagielska



*Dla Emily Brabo i Amy Moss, dobrych przyjaciółek i
kumpelek ze wspólnego treningu*

To opowieść o tym, jak umarłem.

Nie, nie zamykajcie książki! W istocie ta historia jest zabawna i jeśli chcecie wiedzieć, bynajmniej nie moja. Rzecz jasna, zajmuję w niej poczesne miejsce, więc będziecie mogli częściej cieszyć się moim widokiem. Żeby być całkiem szczerym – powieść traktuje o dwóch kobietach, ale też o dwóch miłościach. Oczywiście jedna z tych kobiet zakochuje się we mnie. I jest to romantyczna historia miłosna – cóż, przynajmniej ta. Bo książka przedstawia także miłość pomiędzy matką i córką. Niewiele wiem na takie tematy, więc w tym miejscu zwawo się oddalam. Ale zanim odejdę, jeszcze jedna mała wskazówka. Zwracajcie uwagę na psa. Będzie ważny.

Siedź prosto – syknęła do córki hrabina wdowa Dane, po czym odwróciła się w stronę pani domu i z wymuszonym uśmiechem słuchała, jak markiza szczebiocze o fasonach budek w tym sezonie.

Lady Susanna wyprostowała się na niewygodnym krześle. Ledwie żyła od upału, który – o czym zdążyły wspomnieć już wszystkie zaproszone damy – był jak na czerwiec niespotykane intensywne. Dziewczyna zatrzepotała wachlarzem i spróbowała zainteresować się rozmową. Ale kapelusze ani trochę jej nie obchodziły. Przyjęcia w ogrodzie jej nie obchodziły. Znalezienie odpowiedniej partii jej nie obchodziło. Gdyby hrabina kiedykolwiek dowiedziała się, że matrymonialne łowy nie są ulubionym zajęciem jej córki, zamknęłaby ją w pokoju na długi czas.

Siedzenie pod kluczem nie przeszkadzało Susannie tak bardzo, jak sądziła jej matka. We własnej sypialni dziewczyna mogła bez reszty oddawać się swojej pasji – wyciągnąć ołówek albo akwarele i szkicować, póki ręka nie omdleje. Susanna zdecydowanie wolała to, niż godziny spędzane w salonie, gdzie haftowała przy wtórze matczynych wykładów o obyczajnym zachowaniu i etykiecie.

Nie potrzebowała tych wszystkich pouczeń. Została wychowana na prawdziwie doskonałą pannę. W końcu była hrabianką. Wiedziała, czego się od niej oczekuje.

Po pierwsze: musi dobrze wyjść za mąż.

Po drugie: musi zawsze prezentować nienagane maniery.

Po trzecie: musi być utalentowana, piękna, elegancka i dowcipna.

Szczególnie ostatni punkt wydawał się jej zniechęcający.

Spędziła dwadzieścia lat, idealnie wypełniając rolę rabiowskiej córki. Zresztą, jaki miała wybór? Przy najmniejszym

przejawie buntu matka szybko zawróciłaby ją na właściwe miejsce.

W obecnej chwili Susanna bardzo sobie życzyła, by to miejsce znajdowało się gdziekolwiek, byle nie tutaj. Pomyślała ze współczuciem o swoich nieudanych szkicach, bo czuła się, jakby to ją ciśnięto do kominka i przypiekano żywym ogniem. Płonęła powoli, w męce, z trudem łapiąc ostatni oddech.

Czy nikt nie widział, że ona w środku umiera? Panie wokół niej uśmiechały się i chichotały, i sączyły herbatę. Czuła, że już długo tego nie wytrzyma.

I nikogo to nie obchodziło.

Dobrze wychowane damy były dalece zbyt zajęte sobą – o czym to teraz rozmawiały? O pasmanterii? – aby zauważyć, że Susanna dusi się, przytłoczona upałem, niezliczonymi filiżankami herbaty, fałszywą uprzejmością kobiecych śmiechów i niekończącą się paplaniną o guzikach. Gdyby miała narysować swoje życie, wykreśliłaby samotną poziomą linię, która ciągnie się aż po wieczność.

Dziewczyna zdławiła wzbierający w niej krzyk – z obawy, że tym razem mogłaby raczej głośno zapłakać, niż w duchu wrzeszczeć bez końca – i zanim zdążyła pomyśleć, co dalej, wstała. Zachwiała się, drżąc z niepewności, ale czuła, że musi uciekać albo do szczytu oszaleje.

Lady Dane przeszła córkę wzrokiem ostrym jak stalowa klinga.

– Susanno, usiądź.

– Prze...przepraszam – wykrztusiła Susanna.

– Co ty wyprawiasz?

Dziewczyna niemal słała się, czując na sobie wzrok sześciu kobiet, które ją otaczały. Nie sądziła, że może być jeszcze bardziej przytłoczona, ale dodatek w postaci tych przenikliwych, zimnych spojrzeń przygarbił jej plecy.

– Przepraszam. Muszę znaleźć...

– Och, przestań mamrotać. – Kiedy lady Dane wydawała rozkazy, jej ton dziwnie przypominał szczekanie. – Wiesz, że nie

cierpię, jak mamroczesz.

– Przepraszam. Ale ja muszę...

– Śmiało, skarbie – powiedziała pani domu. – Któryś z lokai wskaże ci drogę.

Jednak wolnościowe zapędy Susanny miały krótki żywot. Ledwie zdążyła odejść na krok od krzesła, gdy hrabina podniosła się, by jej towarzyszyć. Susanna zdusiła szloch. Naprawdę nie było dla niej ucieczki.

– Nie mogłaś poczekać przynajmniej, aż skończymy rozmowę? – narzekała lady Dane, jakby fizjologiczne potrzeby córki stanowiły jakąś szczególną niedogodność.

– Przepraszam.

– Może zostałabyś, Dorotheo? – zaproponowała markiza. – Lady Susanna z pewnością sama trafi do pokoju toaletowego.

Oczy dziewczyny przechwyciły spojrzenie matki. W środku Susanna aż się skręcała, niczym jeden z tych owadów, które przed laty jej bracia przyszpilali w kolekcjonerskich gablotkach. Była niemal pewna, że lady Dane zignoruje słowa markizy. Wszak nigdy nie spuszczała z oka swojej niespełniającej oczekiwań latorośli.

Jednak niedawno w życiu Susanny zajaśniał promyk nadziei. Świeżo zawarte, skandaliczne małżeństwo jej brata wyraźnie odchudziło stos zaproszeń, które otrzymywały. Nie stroniono od nich w dosłownym tego słowa znaczeniu, ale teraz Susanna spędzała w domu więcej wieczorów, niż powinno się to zdarzać debutantce z hrabiowskiej rodziny.

Nie żeby miała coś przeciwko temu.

Matka poklepała ją po ramieniu, pod osłoną uczuć wymierzając dotkliwe uszczypnięcie.

– Tylko się nie ociągaj.

Susannie nie trzeba było powtarzać tego dwa razy. Prawie biegiem ruszyła w stronę domu.

– Tutaj jest absolutnie bezpieczna. – Głos markizy niósł się za nią przez trawnik. – Rozumiem, Dorotheo, dlaczego zachowujesz się jak jastrząb. Ona musi dobrze wyjść za mąż. Im

szybciej, tym lepiej.

I im szybciej mogłaby uciec z przyjęcia w ogrodzie, tym byłoby lepiej. Każda z mijanych grupek gości obdarzała ją wężowymi uśmiechami, po czym damy unosiły wachlarze i zaczynały się szepty. Czasami nawet nie do końca szeptane.

– Dane przedstawił projekt ustawy o powołaniu centralnej policji! Co będzie następne? Żandarmeria?

Kolejnych kilka kroków.

– Słyszałam, że jej brat założył jadłodajnię dla ubogich. Już niedaleko.

– St. Giles! Wyobrażasz to sobie?!

Susanna dała nura w chłodny mrok wspaniałego domu. Przywarła do ściany i zacisnęła powieki, by powstrzymać szczypiące łzy. Oddychaj, oddychaj. Uwolniona od tych szeptów – od ciekawskich spojrzeń, a co najlepsze – od matki, zgarbiła się niedbale, czując przypływ samozadowolenia i buntu.

– Czy mogę w czymś panience pomóc?

Plecy dziewczyny wyprostowały się sztywno. Otworzyła oczy. Lokaj obdarzył ją speszonym uśmiechem. Przypuszczała, że nie co dzień młode damy, opuściwszy przyjęcie w ogrodach markizy, prawie mdleją z ulgi.

– Pokój toaletowy dla pań. Proszę wskazać mi drogę.

– Tędy, lady Susanno.

Podążała za służącym przez bogato urządzone, chociaż zimne i bezosobowe, pokoje, aż dotarli do niewielkiej, pełnej roślin salki, zaopatrzonej w kilka krzesel, dwa małe tremy, dzban ze świeżą wodą, umywalnię oraz parawany dla odrobiny prywatności. Susanna weszła do środka i zamknęła drzwi. Nareszcie sama. Poprawiła białą muślinową suknię o wysokim stanie, przepasanym błękitną szarfą. Błękitne były również wstążki przy kapeluszu, który z rozkoszą by zdjęła, gdyby przypięcie go z powrotem nie było tak kłopotliwe. Następnie napełniła wodą umieszczoną na umywalni miskę i ochlapała twarz. Przelotne spojrzenie w lustro ukazało Susannie zarumienione policzki i zbyt błyszczące, brązowe oczy. Miała typową karnację rudawej

blondynki, więc jej blada skóra łatwo się czerwieniła.

Nagle obok swego odbicia dostrzegła jakiś ruch i zza parawanu wynurzyła się kobieta w dużym, wymyślnie zdobionym piórami kapeluszu. Dziewczynę ogarnęło zniechęcenie.

Żeby tylko nieznajoma jak najszybciej wróciła na przyjęcie i zostawiła ją samą. Parawany dostarczały dogodnej osłony.

– Lady Susanna, prawda?

Nici z ukrywania się. Susanna poczuła nieodparte pragnienie, by jak zmięta kulka papieru opaść na podłogę, ale przecież była córką hrabiego. Wyprostowała plecy.

– Tak. Przepraszam. Nie sądzę, żebyśmy się kiedyś spotkały?

Dama przyglądała nieskazitelnej koafiurę, starannie wciśniętą pod kapelusz i połała dłonie wodą z dzbanka.

– Jestem lady Winthorpe.

– Och.

Po twarzy hrabiny przemknął rozbawiony uśmiech.

– Widzę, że o mnie słyszałaś. Bez obaw. Wszystkie moje dzieci są już zamężne i żonate. – Pochyliła się do lustra i uniósłszy wargi, dokładnie przyjrzała się swoim zębom. – Nawet nie potrafię ci powiedzieć, jaka to ulga, kiedy już nie trzeba ich prezentować na siłę każdemu utytułowanemu dżentelmenowi lub damie w Londynie. Wyobrażam sobie, że twoja biedna matka odchodzi od zmysłów.

Gorąco uderzyło Susannie na policzki, które poczerwieniały w sposób szczególnie nietwarzowy. Małżeństwo Dane'a faktycznie wywołało skandal i właśnie dlatego nikt przy niej o tym nie wspominał.

– Ja... – Ociężały język niezdarnie poruszał się w jej ustach.

– Co hrabiego napadło? – ciągnęła lady Winthorpe, gładząc dopasowane do sukni żółte i białe pióra przy kapeluszu. – Dlaczego zrobił taką kiepską partię?

Odwróciła się, wlepiając wzrok w dziewczynę.

– Lady Elizabeth jest córką markiza Lyndon. – Susanna powtarzała te słowa tak często, że w jej uszach brzmiały już jak slogan.

Strzepnąwszy ręką, hrabina rozłożyła wachlarz i zaczęła nim rytmicznie poruszać. Jego powierzchnię zdobił paw z rozpostartym ogonem.

– Lady Elizabeth wychowywano w spelunkach na złodziejkę. Nawet bliskie pokrewieństwo z markizem tego nie zrekompensuje.

Najwyraźniej nie zamierzała się wycofać, co jeszcze wzmogło determinację Susanny.

– Mój brat kocha lady Elizabeth. Mnie to całkiem wystarcza.

– Miłość. Jak uroczo.

Wachlarz został zatrzaśnięty i hrabina stuknęła nim swoją rozmówczynię w ramię.

– A co lady Dorothea sądzi o tych miłosnych deklaracjach?

– Nie... – Susanna nie miała pojęcia. Nigdy nie słyszała, by jej matka wymówiła słowo „miłość”, choć wystarczająco często biadała nad mezaliansem najstarszego syna.

– Kiedyś też była zakochana. Opowiadała ci o tym?

Susanna nie ośmieliła się otworzyć ust w obawie, że wydobyłby się z nich tylko jakiś bełkot. Czyżby nadal była mowa o Dorothei hrabinie wdowie Dane? Z pewnością matka nigdy w nikim się nie kochała. Nawet nie wiedziała, co to słowo znaczy. A może chodziło o zmarłego ojca Susanny? Prawdę mówiąc, hrabia nie przepadał za żoną ani za swoimi dziećmi, a już zwłaszcza za córką. Jednak lady Winthrop mogła błędnie uważać, że było to małżeństwo z miłości.

– Moi rodzice...

Hrabina machnęła wachlarzem, o mało nie trafiając Susanny w podbródek.

– Nie mówię o mariażu twojej matki. Wyszła za mąż dla tytułu i pieniędzy. Tak przypuszczam. Ona nie jest głupia. Ale kiedyś, w czasach naszej młodości, myślałam, że może... – Jej niebieskie oczy nabrały wyrazu tak oddalonego, że wydawały się szare. – Przystojni młodzi kawalerowie. Pikniki w Hyde Parku. Wieczory w ogrodach Vauxhall Gardens. Długie, ciemne wieczory – dodała, mrugając znacząco.

Susanna wzdrygnęła się, wstrząśnięta. Była to jakaś aluzja...

czy raczej insynuacja... albo wskazówka...?

Tej kobiecie nie należało wierzyć.

– Nie wiem, o czym pani mówi.

– Ano widzę, że nie wiesz. Tak czy owak, twoja matka dokonała wyboru. – Oczy hrabiny, znowu niebieskie, zwężyły się.

Wbiła w Susannę tak uważne spojrzenie, że ta aż cofnęła się o krok.

Końcem zwiniętego wachlarza lady Winthorpe uniosła jej podbródek.

– Zastanawiam się...

Wstrzymując oddech, dziewczyna pochyliła się ku niej, by nie uronić ani jednej sylaby. Wszystko na nic. Hrabina milczała. Długi moment ciszy w połączeniu z ciekawością sprawiły, że Susanna podsunęła pytająco:

– Zastanawia się pani...?

Z sąsiedniego pomieszczenia dobiegły czyjeś głosy, które to wznosiły się, to opadały. Susanna wydała jęk protestu. Po chwili drzwi stanęły otworem, ukazując dwie młode panny, pogrążone w pogawędce. Jeden rzut oka na osoby obecne w pokoju toaletowym i rozmowa urwała się. Wymieniwszy spojrzenia, nieznanym zniknęły za parawanem i zaczęły chichotać. Susanna wierciła czubkiem pantofelka w jasnoróżowym dywanie.

– Miłego dnia – pożegnała ją lady Winthorpe i otworzyła drzwi, by przejść do pokoju muzycznego.

Susanna stała jak przymurowana. Za jej plecami rozlegały się stłumione wybuchy śmiechu, w głowie niczym pyłki kurzu wirowały pytania. Nie wypadało dalej naciskać, a ona zawsze robiła to, co należy. Pantofelek wbił się w dywan, zajadle atakując splot nici.

Złapała drzwi, zanim zdążyły się zatrzasnąć. Na dźwięk kroków hrabina odwróciła się gwałtownie. Dziewczyna wykorzystała ten moment zaskoczenia.

– Nic nie poradzę, muszę jeszcze raz zapytać: o co pani chodziło?

– Chyba lepiej, żebym ci nie odpowiadała – rzekła lady

Winthorpe, z namysłem cedząc słowa. Wążąc każde z nich na języku. – Twoja matka nie byłaby mi wdzięczna.

I znowu Susanna dostrzegła to spojrzenie – pełne litości spojrzenie, jakim obdarza się przyszpilonego owada.

– Ale widzę, jakie masz włosy i nos, i po prostu się zastanawiam. – Lady Winthrope przeszła przez pokój muzyczny. – Tak, zastanawiam się.

Susanna dotknęła swoich włosów, a potem nosa. Co z nimi było nie tak? Czyżby hrabina umyślnie próbowała zbić ją z tropu?

Osunęła się na stołek przy fortepianie. Bezskuteczna próba uzyskania informacji wyczerpała resztki jej odwagi. Jednak w tym momencie odwaga była bez znaczenia. Pogoń za lady Winthrope niczego by nie dała, oznaczała natomiast powrót na przyjęcie.

Susanna podeszła do harfy i szarpnęła jedną ze strun. Przez materiał rękawiczki poczuła, jak gęste druty zadrgały. Zawsze chciała grać na harfie, ale matka nie pozwoliła jej się uczyć. Siedzenie z instrumentem pomiędzy nogami było, zdaniem lady Dane, wysoce niestosowne. Susanna potrąciła kolejną strunę, ciesząc ucho cichym, delikatnym dźwiękiem.

O co chodziło z tym zakochaniem? Czyżby matka darzyła uczuciem jakiegoś mężczyznę, zanim poznała ojca Susanny? Mężczyznę, którego spotkała w Hyde Parku... nie, nie tam. Hyde Park był modnym miejscem – miejscem, gdzie ogląda się innych i jest się oglądaną. Tamtejsze słońce i wiaterek mogły rozproszyć nawet najmniejszy cień skandalu.

Ale mroczne, działające na zmysły ogrody Vauxhall...

Nigdy ich nie odwiedzała, matka by jej na to nie pozwoliła. Dane i Brook bez wątpienia dobrze je znali, ale ona cieszyła się znacznie mniejszą swobodą.

Należało zapytać matkę, o co właściwie chodzi. Jej reakcja mogła dostarczyć jakichś wskazówek. Oczywiście, było wysoce prawdopodobne, że Susanna zostanie zbyta byle czym. Chociaż... Przecież skończyła już dwadzieścia lat i w następnym roku na pewno czekało ją zamążpójście. Może matce sprawiłyby przyjemność wspominki z czasów, gdy sama była debiutantką.

Susanna o mało nie parsknęła śmiechem. Lady Dane sprawiało przyjemność wyłącznie musztrowanie córki, żeby siedziała spokojnie i nie garbiła się. A gdyby tak poprosić nową siostrę o wyprawę do ogrodów? Wszak Marlowe obiecała jej przygodę jako fant za przegrany zakład. Bo właśnie przygody Susanna pragnęła z całego serca.

Matka, rzecz jasna, nigdy by na to nie pozwoliła. Dobrze wychowane panienki nie rzucają się w wir przygód. Czasami Susanna była już bardzo znużona tym dobrym wychowaniem.

Skrzypnęły zawiasy i do pokoju wślizgnęła się lady Litton, szybko zamykając za sobą drzwi. Starsza od Susanny o kilka lat, poszła do ołtarza zaraz po pierwszym sezonie i swego męża wicehrabiego zdążyła już obdarzyć dwoma zdrowymi synkami.

Dziewczyna wstała. Wyczuwając jakiś ruch, lady Litton odwróciła się gwałtownie.

– Och, to ty – warknęła. – Biegnij do mamusi. Na pewno chce, żebyś pośmiała się z jej dowcipnych uwag. – Lekceważąco skinęła dłonią.

– Moja matka nie wygłasza dowcipnych uwag. – Ta kobieta wyraźnie nie знаła lady Dane.

Ale jeszcze wyraźniej nie należało wdawać się z nią w rozmowę. Ciemne brwi wicehrabiny ściągnęły się gniewnie, a różowa kreska warg stała się jeszcze cieńsza.

– Nie o to mi chodziło.

Jasne. Chodziło jej o to, żeby usunąć nieprzewidzianą przeszkodę. Bez wątpienia lady Litton miała tu umówione spotkanie. Z przyjaciółką albo z kochankiem.

– A może pani pobiegnie do swojej mamusi? – odparła Susanna, sama zaskoczona, że wypowiada na głos takie słowa. – Teraz ja korzystam z tego pokoju.

– Więc skorzystaj z innego. – Lady Litton postąpiła naprzód, trzymając przed sobą parasolkę niczym oręż.

Nogi Susanny rwały się do ucieczki, ale nie ustąpiła na krok, chociaż w środku cała się trzęsła.

– Niech pani skorzysta z innego.

Wicehrabina wytrzeszczyła oczy. A po chwili na jej twarzy pojawił się uśmiech, fałszywy i bardzo złośliwy.

– Och, rozumiem. Twoja nowa siostra już ma na ciebie wpływ. Powiedz, moja droga, co będzie dalej? Zaczyniesz opróżniać cudze kieszenie i zadzierać spódnicę dla każdego mężczyzny w ciemnym zaułku?

Ręka Susanny uniosła się, jakby działała samodzielnie, a po chwili wylądowała, wydając głośnie plaśnięcie. Na bladym policzku lady Litton wykwitła czerwona plama. Wicehrabina przycisnęła dłoń do tego obelżywego śladu. W jej oczach malował się wyraz szoku i grozy. Susanna pomyślała, że sama pewnie wygląda podobnie.

A jednak nie była tak tchórzliwa, jak dotychczas sądziła.

I może właśnie nadszedł czas na wymarzoną przygodę.

Gideon stał na Złotej Galerii, u szczytu kopuły Katedry Świętego Pawła. W dole rozpościerał się cały Londyn. Zachodzące słońce oświetlało Tamizę, zapchaną statkami wszelkich rozmiarów i kształtów. Nad paskudnie mętną wodą sterczał las masztów niczym konary martwych drzew w zimie. Tuż za nimi poczerniałe od sadzy londyńskie domy tłoczyły się, jakby zbite w gromadę ze strachu. Dzień był upalny i ulice wypełniał tłum rozdrażnionych ludzi, którzy przeciskali się, każdy w swoją stronę. Obwoźni handlarze pchali wózki z towarem, dzieci uganiały się za psami, konie ciągnęły turkoczące powozy. Uliczny hałas czasami wręcz ogłuszał.

A wysoko nad tym wszystkim panowała błoga cisza. Tylko wiatr świszczwał w uszach i rozwiewał włosy.

– Mógłbym przywyknąć do takiego widoku – powiedział Gideon, rozkładając ramiona niczym władca lustrujący bacznie spojrzeniem swoje włosy. Odetchnął głęboko, raczej dla efektu, bo powietrze u szczytu katedry nie było o wiele czystsze niż niżej. – Czuć ten świeży powiew. Ten wiatr we włosach. To dopiero jest życie.

Jednak nawet tu, na górze, znajdował tylko częściową ucieczkę od prawdziwego świata.

Tuż za plecami Gideona stał Beezle, a jego spojrzenie było równie mroczne jak czerń brudu, który miał pod paznokciami.

– Załatwisz sprawę i możesz robić, co chcesz – powiedział cicho.

Po odejściu Satina to właśnie on został hersztem bandy młodych łotrów z Covent Garden. Od tamtej pory Gideon usiłował trzymać się z daleka, ale dawne nawyki brały górę. A do tego Beezle nie był zbyt skory, by pozwolić odejść jednemu ze swoich najlepszych kanciarzy i złodziejasków.

Gideon niechętnie porzucił widok ciemnobłękitno-pomarańczowego nieba nad Londynem.

– Jeśli zwędzę ten naszyjnik, nigdy więcej nie będę musiał oglądać twojej szpetnej gęby?

– Proszę, proszę, a myślałem, że zwędzisz go dla forsy. Sto żółciutkich, brzęczących ślicznotek zrobi z ciebie jaśnie pana.

– On jest wart dziesięć razy tyle.

– Naszyjnik jest mój i ja decyduję, czy dopuścić cię do interesu. No to jak, płyniemy w tej samej łodzi?

Gideon nie chciał płynąć z Beezle'em. Do diabła, nie chciał nawet płynąć po tym samym co on oceanie. Ale to była wielka szansa. Forsa z tej roboty pozwoliłaby mu raz na zawsze skończyć z oszustwami. Wreszcie mógłby decydować sam o sobie, rozpocząć nowe życie w nowym miejscu i pod nowym nazwiskiem. Zostać kim tylko by chciał.

Nie przetrwałby poza stolicą, gdyby najpierw się nie wzbogacił. Nowe początki były kosztowne i dlatego potrzebował Beezle'a.

Z obojętną miną kołysał się na piętach, naśladowując fircyków, którzy mieli kupę wolnego czasu i pieniędzy.

A Beezle milczał. Wyraz jego twarzy pozostał nieprzenikniony, ale Gideon mógłby założyć się o szylinga – gdyby choć jednego posiadał – że zmuszony do czekania, herszt bandy wrze gniewem. Byli podobnego wzrostu i obydwaj ciemnowłosi. Jednak na tym kończyły się wszelkie podobieństwa. Beezle miał wiecznie skrzywioną, pociągłą, ptasią twarz o

złowrogim wyrazie. Gideon zaś lubił myśleć o sobie jako o księciu birbantów. Do nikogo długo nie żywił żalu, zwykle bywał miły w obejściu i wesoły.

Wyciągnął rękę i zawarł pakt z diabłem.

Kiedy lodowate palce Beezle'a oplotły jego dłoń, Gideonowi z obrzydzenia ścisnęły się wnętrzności.

– No, to do dzieła – powiedział.

Po tym pozostawało mu już tylko udać się na George Street, do domu pod numerem szóstym. Matka Cummings wynajmowała tam pokoje za zaledwie szylinga, ale w istocie był to lupanar oraz przykrywka dla paserskiej meliny. Tamtejsze dziewczki wabiły mężczyzn do łóżka – im bardziej ich uprzednio ogłupiwszy, tym lepiej – następnie zaś pozbawiały swoje ofiary dobytku i dyskretnie znikwały. Później wszyscy wokół zarzekali się, że na oczy nie widzieli ladacznicy, która jednego czy drugiego biedaka w taki sposób oskubała. I było więcej niż pewne, że przy pierwszej okazji Matka Cummings spienięży ów łup. Jeśli istniało prawdopodobieństwo, iż ktoś w St. Giles posiada coś naprawdę cennego, to mogło chodzić tylko o nią.

Matka Cummings dysponowała licznymi kryjówkami na kradziony towar. Gideon znał większość z nich lub chociaż o nich słyszał, bo nim przystał do chłopaków z Covent Garden, setki razy spieniężał przy jej pomocy zrabowane rzeczy. Teraz zaś musiał zgadnąć, gdzie naszyjnik został ukryty, zwędzić go i przekazać Beezle'owi. Dalsza część należała już do herszta, który po sprzedaży klejnotów, miał wypłacić Gideonowi sto gwinei.

Setka tych żółtych ślicznotek to było więcej, niż Gideon potrafił ogarnąć wyobraźnią, ale póki nie wykonał roboty nie chciał snuć marzeń o zapłacie. Ostatecznie miał okraść dom pełen złodziei. Nie mógł sobie pozwolić nawet na jedną chwilę roztargnienia.

Jak na komendę zatrzymali się przed spelunką przy George Street, dokładnie naprzeciwko numeru szóstego. Nikt nie zwracał na nich uwagi, kiedy czujnie obserwowali ruch w domu Matki Cummings. Mężczyźni nieprzerwanym strumieniem wchodzili i

wychodzili. Gideon mógł całkiem niezauważony wślizgnąć się do pomieszczeń ogólnego użytku.

– Idziesz ze mną? – zapytał, kiedy minął kwadrans.

Małe oczka Beezle'a ani na moment nie odrywały się od drzwi po drugiej stronie ulicy.

– Zaczekam. Tu mi go dostarczysz.

Gideon właśnie na to liczył. Niedbale wzruszył ramionami.

– Jak sobie chcesz.

Zebrał się do odejścia, ale silne, kościste palce chwyciły go za łokieć.

– Nawet nie próbuj żadnych sztuczek. Racer i Stub trzymają straż od tyłu. Zabierasz naszyjnik i oddajesz mnie. Gdyby ci przyszło do głowy go zatrzymać, osobiście poderżnę ci gardło.

Gideon rozłożył ręce w udawanym oburzeniu.

– Zatrzymać? Ja miałbym to zrobić?

Palce Beezle'a boleśnie wpijały mu się w ciało, więc przycisnąwszy dłoń do serca dodał:

– Nie ufasz mi. To boli, Beezle. – Poklepał się po piersi. – O, tutaj.

Uścisk zelżał, ale na twarzy mężczyzny nadal malował się morderczy grymas. Gideon zatęsknił za Satinem. Stary herszt nie szczędził chłopakom razów, ale równie łatwo się uśmiechał.

Gideonowi zwykle udawało się go rozbawić.

– Przynieś naszyjnik – syknął Beezle.

– Robota, robota, robota. – Gideon strząsnął z siebie jego dłoń. – Niedługo wracam.

– Lepiej, żeby tak było.

W środku dom Matki Cummings wyglądał tak, jak Gideon go zapamiętał. Po wydeptanych schodach szło się do bawialni, gdzie uliczne dziewczki raczyły mężczyzn ginem, zanim zniknęły z nimi w pobliskich sypialniach. Pokoje na wynajem zajmowały drugie piętro, a na parterze obiadowano i ubijano interesy. Matka Cummings rzadko tu przesiadywała dłużej niż do drugiej po południu, więc jeśli złodziej chciał jej sprzedać towar, wiedział, że musi przyjść o wczesnej porze.

Do rana było jeszcze daleko – Gideon miał dość czasu na poszukiwania.

Wielka kobieta z czerwoną twarzą i poobijanymi knykciami wskazała mu schody.

– Wszystkie izby są już wynajęte, ale idźcie panie wyżej, tam was podejmą rumem.

Matka Cummings nie była głupia. Zatrudniała ochronę. Należało brać pod uwagę co najmniej jednego człowieka na posterunku. Gideon odbył niedbałą przechadzkę po bawialni, oganiając się od dziewczek, które próbowały go nakłonić, by usiadł i coś wypił. Następnie ukradkiem wymknął się na korytarz, minął pokoje sypialne i dotarł do schodów dla służby. Gdy tylko zamknął za sobą drzwi, ruszył biegiem na dół, o mało nie przewracając się o młodą ulicznicę, która siedziała na stopniach z butelką Blue Ruin.

Dziewczyna podniosła zapuchnięte, przekrwione oczy.

– Ćśś. Tylko nie wygadaj.

– To nasz sekret. – Gideon przycisnął palec do warg.

Wyminął biedaczkę, uchylił drzwi na parterze i wyjrzał przez szparę.

Znajdował się zaledwie kilka stóp od wejścia, gdzie zwalista strażniczka gderała na jakiegoś młodzieńca. Naprzeciwko miał bibliotekę Matki Cummings, o ile pomieszczenie bez choćby jednej książki mogło nosić to szczytne miano. Właśnie biblioteka wydawała mu się najbardziej prawdopodobnym miejscem do ukrycia naszyjnika.

Gideon prześlizgnął się przez korytarz i cicho uniósł rygiel.

Drzwi ani drgnęły.

Zaklął pod nosem i zerkając na strażniczkę, wydobył z kieszeni wytrych. Powolnymi, miarowymi ruchami, zrodzonymi z lat praktyki, manewrował narzędziem, póki nie poczuł, że zamek puszcza. Spojrzenie Gideona ani na chwilę nie odrywało się od olbrzymki przy wejściu. Gdyby go teraz dostrzegła, byłby skończony.

Do domu wkroczyła grupa mężczyzn, ale wszyscy gapili się na schody, najwyraźniej myśląc o tym, co ich czekało na górze.

Nie mieli powodu interesować się człowiekiem, który stał przy drzwiach w pobliżu przejścia dla służby.

Jeden ruch nadgarstka i zamek szczęknął. W uszach włamywacza ten dźwięk brzmiał ogłuszająco, ale wartowniczką nawet nie odwróciła głowy. Gideon delikatnie wysunął wytrych, ukrył go z powrotem w kieszeni surduta, obrócił klamkę i wszedł.

Biblioteka tonęła w mroku. Kiedy młodzieniec po omacku dotarł do okna i zdarł z niego kilka sukien, żeby wpuścić trochę światła, ujrzał wokół siebie sterty bezładnie rzuconych rzeczy. Na stole, obok kawałów sera i boczku, walały się jedwabne chusteczki. Mosiężne gałki i okiennice dzieliły miejsce ze stosami damskich hulek, kapeluszy i trzewików. W kącie kwakała kaczka. Obok jej klatki piętrzyły się wiadra i węglarki. Przemykając wzrokiem po co większych przedmiotach, Gideon wypatrzył wysoką komodę, która stała w przeciwległym kącie pokoju. Szybko do niej podszedł, pootwierał szuflady i zaczął grzebać. Ołów, szklane flakoniki, lustro, szczotki... żadnych świecidełek.

Sprawdził kolejną szufladę i jeszcze jedną, i jeszcze, dopóki wszystkie nie zostały dokładnie przeszukane. A jeśli stara wyjadaczka przechowywała naszyjnik gdzie indziej? W salonie? W jadalni? Mógł być wszędzie, ale to był ten jedyny pokój, do którego – z tego, co Gideon pamiętał – nie wchodził nigdy nikt poza Matką Cummings. Jeżeli naszyjnik znajdował się w tym domu, to tylko w bibliotece. A jednak, taki cenny towar... Czy zostawiłaby go bez opieki? Było rzeczą powszechnie wiadomą, że Matka Cummings nie mieszkała na stałe przy George Street 6. Może schowała kulię w jakimś innym miejscu, żeby przechować ją bezpiecznie do czasu, aż znajdzie się kupiec?

Złodziej raz jeszcze przeczesał spojrzeniem zagracone wnętrza. Szukał skrytki; czegoś, co przeoczył. Naszyjnik musiał tu być. A jeśli nie, to przyszłość jego, Gideona, rysowała się równie beznadziejnie jak los cienkiej książeczki wrzuconej w płomień.

Nie mógł na to pozwolić. Nie mógł spędzić reszty życia na sięganiu do cudzych kieszeni i włamywaniu się do cudzych domów. Chciał z tym skończyć.

Oparł plecy o zimny kominek i poklepując się po udach, skrupulatnie badał wzrokiem każde miejsce w pokoju. Musiał coś przegapić. Czemu nie znalazł żadnych damskich precjozów? Ani jednego pierścionka czy choćby kolczyka. Zamyślony, wierzgnął nogą do tyłu i trafił w palenisko. Szybko wyciągnął stopę, żeby strząsnąć zeń popiół. Ale kiedy spojrzał na but, nie dostrzegł nawet pyłku.

Przykucnął i zaczął macać.

Zimny kamień.

Ani śladu drewna albo węgla. Ciekawe. Nawet latem takie domy były pełne przeciągów. Z pewnością Matka Cummings wolała sporządzać inwentarz swoich skarbów przy ciepłe ognia. Gideon żałował, że nie zabrał ze sobą świecy, lecz oczy miał tak nawykłe do mroku, że i bez niej mógł sobie poradzić. Leżąc na plecach, zaczął wpychać barki do ciasnego kominka i wiercił się dopóty, aż je tam wcisnął. Potem sięgnął w górę i dotknął ściany komina. Posypały się strzępki sadzy i popiół, ale Gideon nie zwracał na to uwagi. Jego zręczne palce macały dookoła.

Cegła, cegła, cegła, szpara.

Uśmiechnął się triumfalnie, zmienił ułożenie nadgarstka i wsunął dłoń do otworu. A kiedy zacisnęła się na aksamitnym woreczku, wyszarpnął ją. Uwolniwszy z kominka górną część ciała, młodzieniec otworzył sakiewkę. W środku pobrzękiwało kilka pierścieni i tykał cenny zegarek.

A żeby było jeszcze lepiej, coś lśniło, błyszczało, migotało. Gideon wydobył diamentowo-szmaragdowy naszyjnik i cicho gwizdnął.

– Och, tutaj jesteś – zamruczał.

Wepchnął sakiewkę do kieszeni. Pozostawało mu już tylko podejść do drzwi, otworzyć je i uciekać ile sił w nogach.

Wtedy dobiegł go odgłos kroków. Szczęknęła klamka.

Gideon zaklął pod nosem. Włamując się, użył wytrycha. Więc dlaczego, u diabła, nie zamknął się od środka?

Teraz miał dwie opcje do wyboru: schować się i zostać znalezionym albo nie schować się i zostać znalezionym. Czule poklepał ukrytą w kieszeni aksamitną sakiewkę.

Zaskrzypiały otwierane drzwi.

– Coś wam się nie spieszyło – warknął, wsparty pod boki. – Już zacząłem myśleć, że nigdy nie przyjdziecie.

Mężczyzna i kobieta zamarli w progu, po czym wymienili spojrzenia pełne konsternacji. Gideon uznał, że to znacznie lepsze, niż gdyby próbowali go zabić, więc kontynuował swoje pretensje.

– Macie pojęcie, jak już późno? – Nie, żeby on sam coś na ten temat wiedział, jednak brzmiało to nieźle. – Czekam na was od godziny.

Wreszcie dziewczyna weszła do pokoju.

– Kim pan jest?

Gideon uniósł brew w sposób, który zdawał się podobać niewiastom. Sztukę unoszenia brwi miał opanowaną do perfekcji.

– Pytanie, kim ty jesteś, panienko? Nikt nie wspominał o takiej ślicznotce.

Nieznajoma zachichotała, co Gideon uznał za dobry znak. Zbliżył się, uniósł jej dłoń i pocałował.

– Spotkanie z tobą to prawdziwa przyjemność. Mam na imię Gideon.

Znowu zachichotała.

– Alice.

Mężczyzna, z którym przyszła – w gruncie rzeczy nieopierzony młodzik – chwycił ją za łokieć. Zapewne rościł sobie do niej prawo pierwszeństwa. Gideon mógłby przypuszczać, że przerwał im romantyczną schadzki, gdyby nie to, iż szczerze wątpił, by Matka Cummings kiedykolwiek pozwoliła na coś

podobnego w swojej bibliotece. Pokoje do wynajęcia znajdowały się wyżej. Każdy o tym wiedział.

– Nie wolno ci tu przebywać – powiadomił go chłopak.

Twarz Gideona przybrała wyraz zmieszania.

– Więc dlaczego wyznaczyłeś to miejsce na spotkanie?

Był już najwyższy czas, by pomyśleć o ucieczce. W pobliżu na podłodze leżało kilka mosiężnych kołatek. Gideon przesunął się niepostrzeżenie w ich stronę.

– Nie wyznaczyłem.

– Matka Cummings nikomu nie pozwala tu wchodzić – wyjaśniła Alice.

– Wy weszliście. – Potrzebował jednej kołatki. Tylko jednej.

– Nam ona ufa.

– Widzę dlaczego. – Ostentacyjnie zmierzył wzrokiem swoją rozmówczynię, jednocześnie zbliżając się powolutku do sterty mosiężnych przedmiotów. – Taka urodziwa dziewczyna. Jesteś głodna? Spragniona? Może byśmy stąd wyszli i trochę się zabawili?

– Z tobą nie będzie żadnych zabaw – ryknął młodzik. – Masz mnie za jakiegoś strachliwego frajera?

Machnął pięścią. Gideon uchylił się, złapał kołatkę i wywijając nią, doskoczył do napastnika. Wystarczył jeden cios, by chłopak zwałił się na podłogę z krzykiem, który bez wątpienia mógł zwrócić czyjąś uwagę. Gideon znów ujął rękę Alice.

– Następnym razem, moja słodka.

I musnąwszy pocałunkiem jej palce, czmychnął z pokoju. Pędem mknął do wyjścia, kompletnie ignorując strażniczkę, która wrzeszczała piskliwie. Chętnie posłałby jej szeroki uśmiech i pomachał na pożegnanie.

Tyle tylko, że właśnie w tej chwili trzej niscy, krępi mężczyźni, pękaci jak norfolskie pierogi, zbiegli z tupotem po schodach i odcięli mu drogę ucieczki.

Gideon gwałtownie zahamował, po czym zawrócił. Na nieszczęście młodzik, którego zdzielił w głowę, już oprzytomniał i zbliżał się, by go dopaść. Ze świeżej rany na skroni kapłała mu

krw.

– Tędy nie da rady – mruknął Gideon sam do siebie i wybrał jedyną dostępną możliwość: pomieszczenie po prawej stronie. Klamka obróciła się bez problemu, więc wpadł do środka i zatrzasnął drzwi. Wiedział, że nie powstrzyma pogoni na długo. Rozejrzał się dookoła, szukając wyjścia z pułapki. Dostrzegł tylko okno.

Właśnie w tej chwili drzwi puściły. Niewiele myśląc, Gideon szarpnął okienną ramę i wyskoczył na zewnątrz.

Znowu pomacał surdut, by się upewnić, że naszyjnik jest bezpieczny, po czym szybko ruszył przed siebie. Z coraz większej odległości słyszał, jak zbiry Matki Cummings walczą z oknem, próbując przez nie się wygramolić.

Nie mieli szans złapać Gideona.

Pędził ile sił w nogach, byle dalej od tego domu. Jednak zahamował gwałtownie, kiedy tuż przed nim wyrosli Racer i Stub.

– Gideon! – ucieszył się Racer i założył ręce na piersi.

Uciekinier, ciężko dysząc, zerknął przez ramię.

– Dokąd ci tak spieszo?

– Chyba nie próbujesz okantować Beezle’a? – dołączył się Stub.

– Ja? Skąd. – Płuca mu płonęły, nogi dygotały. Całe ciało krzychało: „biegnij”.

Odgłosy pogoni brzmiały coraz donośniej.

– Próbowałem zwiać przed... tymi tam. – Wskazał na pękatyh Norfolczyków, którym najwyraźniej udało się wreszcie wydostać na ulicę. A gdy pomocnicy Beezle’a odwrócili głowy, by sprawdzić, o kim mowa, odepchnął ich z całej siły i znowu rzucił się do ucieczki.

Galopem minął skład, gdzie Matka Cummings trzymała kradziony towar i wydostał się na George Street. Za jego plecami Racer i Stub krzyczeli do swego szefa. Racer był szybki; Gideon by mu nie umknął. Musiał go zgubić. Wiedziony tą myślą, przeciął zaułek i jednym susem przesadził połamaną taczkę, czym wzbudził zainteresowanie dużego kundla, który grzebał tam w śmieciach.

Zapewne młodzieniec wyglądał na smaczniejszy kąsek niż wszystko, co bestia dotychczas znalazła, bo chapnęła go lekko i ruszyła za nim w pogoń.

– Och, litości! – jęknął Gideon, wznosząc oczy do nieba. – Pies też?

Z kundlem skubiącym go po piętach dał nura w jakieś wejście, zatrzasnął drzwi przed psim nosem i potykając się, wbiegł po schodach na górę. Stopy ciążyły mu jak sztaby ołowiu. Ledwie zipsał, kiedy wreszcie dotarł na dach. Zgięty wpół, nie mógł złapać tchu. W nogach, które lada moment mogły odmówić posłuszeństwa, chwyciły go bolesne skurcze.

Ciężko dysząc, zerknął przez krawędź dachu i ujrzał, że Racer właśnie wchodzi do budynku. Beezle, Stub i zbiry Matki Cummings nie pozostawiali daleko w tyle. Gideon potrzebował planu awaryjnego. Jakiejś kryjówki, gdzie nikt by go nie mógł znaleźć. Gdzie byłby bezpieczny.

Mgła i opary dymu z węglowych pieców spowijały miasto szarym całunem. Po stronie południowej las masztów przypominał wycelowane w niebo kościste palce.

Palce szkieletu.

Nie, w tamtym kierunku nie.

Droga na wschód wiodła do melin i spelunek, do kolejnych łotrów, którzy będą na niego polować. Pozostawał zachód. Zachód. Hyde Park, Piccadilly, Mayfair...

Gideon zmusił znękane nogi do wykonania trzech dużych kroków w tył, po czym raz jeszcze wypróbował swoją wytrzymałość. Rozpędził się, skoczył. Wylądował z łomotem na spadzistym dachu najbliższego budynku i zaczął zsuwać się coraz niżej. I niżej.

Niech to szlag. Był skończony.

W ostatniej chwili złapał się jakiejś obluzowanej belki i chociaż czuł, że go rani, mocno zacisnął na niej dłoń. Wisiał. Krew ze skaleczonej ręki kapiała mu do oczu. Nie zważając na ból, wymierzył kopniaka w okno, które miał teraz na wysokości stóp.

Niech to szlag po raz wtóry. Szkło okazało się zbyt grube,

żeby je rozbić nogami, a przeklęta ręka rwała, jakby ją znakowano rozpalonym żelazem.

Nagle okno otworzyło się i jakaś kobieta, zadzierając głowę, obrzuciła intruza wrogim spojrzeniem.

– Jasna cholera, co tu się wyprawia?

Dobre pytanie.

Kula uderzyła w ścianę, tuż obok niego.

Bardzo dobre pytanie.

Gideon zerknął przez ramię. Ludzie Matki Cummings stali skuleni na dachu, z którego niedawno skoczył. Głowa przy głowie, obserwowali, jak jeden z nich nabija broń.

– Źle. Bardzo źle.

Popatrzył w górę. Tamtędy nie. Rzucił okiem w dół, na okno i wcale nie małą odległość, która dzieliła je od ziemi.

Żadna z tych opcji nie wydawała mu się zbyt nęcąca, ale jeszcze mniej pociągała go perspektywa, że zostanie zestrzelony. Klnąc pod nosem, puścił belkę i ześlizgnął się niżej, aż jego stopy znalazły oparcie na okiennym parapecie. Kiedy huknął kolejny strzał, kobieta cofnęła się gwałtownie, a Gideon wskoczył do izby, zanim kula uderzyła dokładnie tam, gdzie chwilę wcześniej znajdowała się jego czupryna.

– Hej! – Z bezpiecznej kryjówki pogroził pięścią napastnikom.

Uderzenie w skroń dosięgło go całkiem znienacka. Zatoczył się do tyłu i zacisnął powieki, żeby pokój przestał wirować mu przed oczami.

– Wynoś się! – wrzasnęła kobieta i znowu zaatakowała.

Gideon podniósł ręce, a jednocześnie próbował robić uniki.

– Dobrze, tylko pokaż którądy.

Pod gradem ciosów dotarł do drzwi i wypadł na korytarz, potykając się o własne nogi.

– Z pewnością jest jakiś prostszy sposób – mruknął, kiedy spieszył w dół po schodach.

Na ulicy przystanął, żeby się zorientować w terenie, po czym ruszył na zachód. Biegł truchtem, chociaż nogi ciążyły mu jak z

ołowiu. Później będzie czas na przegląd wszelkich obrażeń, pomyślał. Skręcił w boczną uliczkę i wpadł na wysoką, chudą postać.

– A dokąd to? – Beezle wyszedł z cienia.

Gideon cofnął się gwałtownie, łapiąc równowagę.

– Właśnie cię szukałem.

Rozłożył ręce w geście kapitulacji.

– Jasne, szukałeś. Oddawaj naszyjnik. – Bandyta wyciągnął dłoń.

Była brudna i podrapana, prawie jak dłonie Gideona. Długie, ostre paznokcie miały czarne obwódki. Za plecami Beezle'a, w głębi uliczki, wołali coś Stub i Racer.

– Jeśli oddasz teraz, to zabiję cię szybko.

– Doprawdy, wspaniałomyślna oferta, ale nie zamierzam jeszcze umierać.

– Trzeba było wcześniej o tym myśleć.

Beezle skoczył w jego stronę. Kątem oka Gideon dostrzegł błysk śmiertelnościanego sztyletu. Osłonił twarz ramieniem, instynktownie przykucając. Ciche powarkiwanie sprawiło, że się wzdrygnął.

Herszt zerknął do tyłu.

– Co to było?

Z mroku za nim wynurzył się kundel. Obnażone zęby były jedyną plamą bieli na tle jego czarnej sylwetki.

– Poznałeś już mego druha, Zabójcę?

Beezle zamachnął się i pies skoczył mu do gardła. Niewiele myśląc, Gideon rzucił się w drugą stronę. Pędził uskrzydłony zarówno strachem, jak dreszczem emocji. Opuścił zaułek i wypadł na ulicę, kiedy gdzieś za sobą usłyszał groźne pomruki.

– On ci na kolację nie wystarcza? – krzyknął przez ramię.

Pies zaszczekał. Gideon wyteżył siły do granic możliwości.

– Chcesz mnie pożreć, to najpierw mnie złap!

– Dlaczego tu siedzisz? – W progu stała lady Dane, trzymając wysoko lampę.

Susanna odwróciła się od szaf z książkami ojca. W

półciemnej bibliotece wodziła palcami po grzbietach jego kolekcji. Nie zawracała sobie głowy zapalaniem świec ani nie poprosiła Crawforda, żeby dorzucił do ognia w kominku. Pragnęła spokoju, jaki dawał mrok.

Ale spokój to rzecz ulotna.

– Powtarzam, dlaczego tu siedzisz?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

– Nie wzruszaj ramionami. Damie to nie przystoi.

– Przepraszam. Chciałam znaleźć coś do czytania.

Matka sapnęła i uniosła lampę wyżej, żeby skontrolować wybór lektury.

– I znalazłaś? Pamiętaj, że najpierw ja muszę udzielić zgody.

Drżąc w chłodzie wielkiej biblioteki, Susanna mocniej otuliła ramiona szalem.

– Jeszcze się nie zdecydowałam... Myślałam o Danie. – Och, niebezpieczny temat! Musiała szybko się wycofać albo zaryzykować, że zostanie zmiażdżona.

Jednak opuściła powieki i mówiła dalej.

– Czy są jakieś wieści od Dane’a i Marlowe?

Matka przycisnęła dłoń do czoła.

– Nawet nie wspominaj przy mnie o tej kobiecie. Przez nią nie dostałyśmy na dziś zaproszenia. U lorda Braybrooka odbywa się wieczór muzyczny i myślisz, że nas uwzględniono? Otóż nie. Jesteśmy niemal pariasami. To właśnie zawdzięczamy twemu bratu i jego mezaliansowi.

– Na pewno nie jesteśmy pariasami. – Teraz powinna była zamilknąć, jednak wówczas nigdy nie dowiedziałyby się. I musiałyby samą siebie nazwać tchórzem. Znowu.

– Nie cieszymy się taką popularnością, jak mogłybyśmy, ale przecież nie można winić Dane’a za to, że posłuchał swego serca. On kocha Marlowe.

– Miłość. – Hrabina powachlowała policzki dłonią w rękawiczce. – Co ty wiesz o miłości? O obowiązkach? O honorze? Jak on mógł nas tak skompromitować, poślubiając... zwykłą złodziejkę!

– Czy mama nigdy nie była zakochana?

Aż się wzdrygnęła, przestraszona własną impertynencją. Zazwyczaj Susanna nie zadawała matce pytań, nawet najbardziej podstawowego rodzaju, ale rozmowa z lady Winthroe rozbudziła w dziewczynie niewybaczalną ciekawość.

– Oczywiście – ucięła matka. – Kochałam waszego ojca.

– Nigdy nie było nikogo innego?

Wąskie wargi hrabiny zacisnęły się.

– Dlaczego pytasz?

Susanna o mało znów nie wzruszyła ramionami.

Pohamowała ten odruch w samą porę.

– Tak tylko się zastanawiałam.

– Zastanawiałaś się? – Matka wkroczyła do pokoju, wnosząc ze sobą smugę światła. – Tu nie ma nad czym się zastanawiać.

Wysłałam za waszego ojca i urodziłam mu troje dzieci. Dlaczego teraz cała wasza trójka upiera się, żeby mnie dręczyć, tego już nie potrafię pojąć.

– A była mama kiedyś w ogrodach publicznych Vauxhall? – zapytała Susanna. Czy to gra wyobraźni, czy naprawdę twarz matki pobladła?

– Oczywiście. Ale bardzo dawno temu. Od tamtego czasu ogrody znacznie podupadły. Teraz są niebezpieczne, pełne rozpustników i kurtyzan.

– Chciałabym tam pojechać.

– Wykluczone. – Ton lady Dane zabrzmiał władczo. Sama królowa nie powiedziałaaby tego lepiej.

– Jestem taka démodé, a to teraz modny park.

– Absolutnie nie – odparła matka z zaciekłością znacznie większą, niż wydawała się na to zasługiwać niewinna propozycja wycieczki. – Jest wysoce podejrzany. Vauxhall odwiedzają często kieszonkowcy i wszelkiego rodzaju łajdacy. Nawet Lambeth nie jest już bezpieczną okolicą.

Ale Susanna nie zamierzała się wycofać. Marzyła o przygodzie, a ogrody publiczne były najbardziej romantycznym i prowokującym miejscem, jakie przychodziło jej do głowy. Uznała,

że jeśli teraz tam nie pojedzie, matka będzie ją trzymała w rodzinnej rezydencji jak w więzieniu przez resztę życia. Nawet zamążpójście oznaczało tylko przenosiny do innej celi.

Chciała być wolna chociaż ten jeden, jedyny raz. Udać się gdzieś z własnego wyboru. Zobaczyć coś dla własnej przyjemności, a nie z obowiązku.

– Więc musimy poprosić Brooka, żeby nas eskortował – powiedziała. – Pod opieką inspektora, który ma swoich ludzi na Bow Street, będziemy bezpieczne.

Tego argumentu matka z pewnością nie mogła zakwestionować.

– Twój brat jest zbyt zajęty pracą, żeby go prosić o pomoc w tak niepoważnej sprawie.

Susanna osłupiała.

– Przecież mama nienawidzi pracy Brooka! Zawsze mama mówi, że on powinien więcej bywać w towarzystwie. I powiedziała mama, że te jego powiązania z Gońcami^[1] przynoszą nam wstyd. I że...

– Wiem, co powiedziałam, młoda damo – ucięła lady Dane. – Nie musisz mi tego powtarzać. A teraz mówię, że nie będziemy trudzić twego brata jakimś głupstwem.

– Ale...

Hrabina podniosła rękę.

– Ani słowa. Nie chcę już o tym słyszeć. Rozumiesz mnie, Susanno? Nie pojedziemy do Vauxhall. Nigdy.

Dziewczyna cofnęła się, zdumiona wzburzonym tonem matki. Lady Dane przycisnęła dłoń do czoła.

– Popatrz, co narobiłaś. Dostałam migreny. Edwards! – Wymaszerowała z biblioteki, zabierając ze sobą lampę. – Edwards, potrzebuję okładu – zawołała ponownie do pokojówki.

Przemierzywszy pokój, Susanna zamknęła drzwi, które stłumiły głos hrabiny, po czym wróciła do biurka ojca – a teraz już Dane'a. Po omacku zaczęła szukać krzesła, ale nogi się pod nią ugięły i osunęła się tam, gdzie stała. W gardle wzbierał jej szloch.

– Nigdy się od niej nie uwolnię.

Starła się być córką idealną. Starła się wykonywać wszystkie polecenia, ale niczego nie robiła wystarczająco dobrze. Nie mówiła dość głośno albo mówiła zbyt głośno, szła za wolno albo za szybko, jadła za dużo albo za mało, włosy miała zbyt długie lub niewystarczająco długie, figurę za pulchną bądź za szczupłą. Za każdym razem na widok matki Susanna – tak jak i teraz – kuliła się wewnątrz ze strachu, bo nie widziała, za co znów usłyszy słowa krytyki.

Czuła się wyczerpana tymi zmaganiem. Chciała mieć spokój, zasnąć i nigdy się nie obudzić. Przytłaczał ją ciężar zmęczenia, więc poddając mu się, oparła głowę o bok biurka.

Szur, szur.

Susanna przestała płakać i nadstawiła uszu.

– Jak dobrze, Edwards – powiedziała Dorothea, kiedy pokojówka wzięła od niej peniuar i pomogła jej wejść do łóżka. Chłodne prześcieradła były przyjemne w dotyku dla spuchniętych stóp.

Podczas przyjęcia hrabina zbyt wiele czasu spędziła na nogach. Musiała przeszukać cały dom, nim okazało się, że Susanna siedzi, nie wiedzieć czemu, w saloniku muzycznym. Ale, dzięki Bogu, ją znalazła. Kiedy nie zastała córki w pokoju toaletowym i nikt niczego sobie nie przypominał, myślała, że serce wyskoczy jej z piersi.

Pokojówka podała swojej pani okład.

– Proszę, milady.

– Jest idealny, Edwards. – Hrabina położyła okład na czole i przymknęła oczy.

Po kilku chwilach Edwards odwróciła go na drugą stronę.

– Czy jaśnie pani już lepiej?

– Nie, niestety nie. I zapewne nie będzie, dopóki nie zobaczę, jak Susanna wychodzi za mąż. Jak dobrze wychodzi za mąż.

Wargi pokojówki wygięły się w wyrazie współczucia.

– Coś mi się zdaje, że przez panienkę jest pani nie w sosie.

– Owszem. Wspominałam ci, że dziś zniknęła podczas przyjęcia w ogrodzie u markizy?

– Tak, jaśnie pani.

Dorothea ostrożnie opadła na poduszki.

– Martwię się o nią – powiedziała, zaciskając powieki. – Ona ma mi za złe, kiedy próbuję jej strzec. A czyż nie jestem matką? Powinnam przestać chronić własną córkę?

– Jaśnie pani ją kocha.

– Oczywiście, że kocham. Kocham wszystkie moje dzieci. Pokojówka raz jeszcze odwróciła kompres.

– Zawsze miałam poczucie, że lady Susanna jest dla jaśnie pani szczególnie droga.

– Bo jest, Edwards. – Dorothea otworzyła oczy. – Jest mi szczególnie droga. Nie sądzę, żeby wiedziała jak bardzo.

– Powinna jej pani powiedzieć.

Lady Dane znów opuściła powieki. Tego akurat nigdy nie ośmieliła się zrobić.

Szur, szur.

Znowu. Susanna zamarła.

Dom był stary, zazwyczaj trzeszczał i poskrzypywał. Ale kiedy usłyszała te odgłosy ponownie, już wiedziała, że tym razem to co innego. Skojarzyły się jej raczej z... otwieraniem okna. Biurko stało w pobliżu dwóch okien. Oba wychodziły na mały ogród, a jedno znajdowało się nawet dokładnie naprzeciwko miejsca, gdzie Susanna przycupnęła na podłodze. Kotary były zasunięte i nic się za nimi nie poruszało. Czyżby wyobraziła sobie ten dźwięk? A jeśli coś albo – uchowaj Boże – ktoś próbował wtargnąć do pokoju?

Wyjrzała zza rogu biurka i wlepiła wzrok w drugie okno. Zaparło jej dech, gdy poruszona lekkim powiewem zasłona zaszeleściła. Zdecydowanie okna nie otworzył nikt z domowników. W bibliotece panował wystarczający chłód i bez wpuszczania nocnego powietrza.

Susanna cofnęła się gwałtownie do najdalszego kąta za biurkiem. Każdy wiedział, że w Londynie nie brakowało włamywaczy, ale czy to możliwe, by złodzieje mieli czelność zakradać się do domu w obecności jego mieszkańców? Usłyszała

głuche stuknięcie i zadrzała.

Najwyraźniej ci złodzieje mieli. Co jej zrobią, kiedy ją znajdą? Zabiją? Zgwałcą? Porwą dla okupu?

Musiała uciekać. Ale jak?

Znowu zerknęła zza biurka i ujrzała koło okna dwie nogi. Za późno na ucieczkę – złodziej był już w środku. Susanna zrobiła w myślach szybki przegląd swoich rzeczy. Nie miała przy sobie niczego, absolutnie niczego, co mogłoby ją ochronić przed napastnikiem.

Teraz już słyszała jego oddech. Włamywacz dyszał jak po szybkim biegu. Przywarła plecami do dębowego biurka i wyciągnęła szyję. Kątem oka tuż przy skraju blatu dostrzegła lichtarz. Wcześniej nie zapaliła w nim świecy, więc gdyby teraz zdołała bezszelestnie po niego sięgnąć, mogłaby go użyć do obrony.

Czubkami palców wymacała krawędź blatu i przymknąwszy oczy, przesuwając dłoń, dopóki nie dotknęła chłodnego srebra. Zacisnęła palce wokół lichtarza, szarpnęła do siebie.

Lichtarz chwiał się w jej rękach. Ważył więcej, niż sądziła, ale w porę go złapała i kurczowo przytuliła do piersi.

Złodziej, ciężko stąpając, ruszył w głąb pokoju. Nawet nie starał się zachowywać cicho. Bez trudu mogła stwierdzić, co robi. Zdejmował z półki książki, a potem je odstawiał. Dobrze знаła odgłosy, które towarzyszyły wyciąganiu tomów w twardych oprawach i odkładaniu ich na miejsce. A wobec tego włamywacz odwrócony był do niej plecami.

Serce waliło Susannie tak mocno, że bała się, iż on to usłyszy. Groziło jej, że lada moment mogłaby zemdleć. Zacisnęła palce na trzonku lichtarza, aż srebrny ornament wbił się jej w ciało.

Musiała być silna. Musiała być dzielna.

Dzierżąc swoją broń w jednej ręce, drugą zebrała fałdy sukni, by się nie potknąć. I cichuteńko wstała. Złodziej najwyraźniej wyczuł jakieś poruszenie, ale zanim zdążył się odwrócić, podbiegła i zdzieliła go w potylicę.

Jęknął i runął na podłogę. Z głowy spadła mu czapka.
Zrobiłam to! Naprawdę to zrobiłam!

Susannie wyrwał się stłumiony okrzyk grozy, bo dostrzegła spływającą po karku mężczyzny strużkę krwi. O, Boże! Czyżby włamywacz nie żył? Co się z nią stanie, jeśli go zabiła? Trafi do Newgate?^[2]

Chciała obudzić Crawforda, ale przecież nie mogła go wezwać, jeżeli naprawdę zamordowała tego człowieka. Lokaj byłby zmuszony zawiadomić sędziego pokoju. Zanim kogokolwiek poprosi, lepiej, żeby się upewniła co do stanu swojej ofiary.

Niepewnie uklękła i z wahaniem sięgnęła do szyi włamywacza. Kiedyś widziała, jak doktor, badając matkę, w taki sposób sprawdzał chorej puls.

Susanna nigdy dotąd nie próbowała sprawdzać pulsu, podobnie jak nigdy nie dotykała żadnego mężczyzny, za wyjątkiem swoich braci i ojca. Jej dłoń zawisała nad karkiem nieznanego, aż wreszcie dziewczyna zamknęła oczy i zmusiła się, by ją opuścić.

Był ciepły. Głowę miał odwróconą, więc nie mogła sprawdzić, czy przyłożyła rękę we właściwym miejscu, ale tętna nie wyczuła. Przesunęła palce o ułamek cala.

Nadal nic.

Jeszcze raz nimi poruszyła, a wtedy ranny jęknął.

Gwałtownie cofnęła rękę i szarpnęła się do tyłu. Mężczyzna usiłował wstać, dźwigając barki z podłogi. Obie dłonie przyciskał do potylicy. Znowu zastękał, przekręcił głowę, by spojrzeć na swoją pogromczynię, która właśnie brała kolejny zamach, i osłonił się ramieniem. Ale Susanna nie uderzyła.

Powstrzymały ją jego oczy. Kiedy obrócił się twarzą w jej stronę, dostrzegła w nich wyraz bólu, ale też ich barwę.

Były zielone, taką żywą i śliczną zielenią, jaka kojarzyła się z dziką knieją, leśnymi polanami i wiejskim spokojem. I dlatego właśnie Susanna się zawahała.

Później mogła dojść do wniosku, że ten brak zdecydowania

był błędem.

Później mogła sobie uświadomić, że od tego momentu wszystko poszło na opak.

Ale kiedy pod błagalnym spojrzeniem złodzieja zastygła z uniesionym do ciosu lichtarzem, potrafiła myśleć tylko o tym, że ten mężczyzna jest piękny. Że chciałaby go namalować. I że znalezienie właściwego koloru farb dla jego oczu przekraczało jej możliwości.

– Lady Susanna?

Skąd wiesz, jak mi na imię? – zapytała.

A przynajmniej miał wrażenie, że o to jej chodzi. W głowie mu huczało i był to hałas zdolny obudzić umarłego. Czym ona go tak zdzieliła? Tym lichtarzyskiem?

Jasna cholera. Mógł zginąć.

A teraz znowu wymachiwała mu nim przed nosem.

– Powiedziałam: „Skąd wiesz, jak mi na imię?”

Złodziej dźwignął się i usiadł, niemal tracąc równowagę. Był twardszy niż to. Dostał solidne wciry więcej razy, niż fatygował się spać.

– Bo panią znam. – Język rósł mu w ustach, ociężały i bełkotliwy.

– Jak śmiesz odzywać się do mnie?

Włamywacz zamrugał. Jej głos wbijał mu się w mózg niczym nóż.

– Pani zadała mi pytanie – odparł. – Dwukrotnie.

– Skąd mnie znasz? – Wycelowała w niego lichtarz, jakby to była lanca i podniosła się na kolana. Oczy dziewczyny, ciemne i poważne na tle drobnej twarzy, mierzyły go badawczym spojrzeniem. Tak mogłoby spoglądać czujne zwierzątko. Zadrżała. Tak mogłoby dygotać przerażone zwierzątko. On czuł się przyparty do muru. Ale ona wyglądała na równie wystraszoną.

– Bo Marlowe to moja kompanka. – Ledwie z jego ust padły te słowa, a już uświadomił sobie, jak zabrzmiały. Prostacko. – Mam na myśli, że jesteśmy znajomymi.

– Marlowe?

Lichtarz przesunął się w niższe rejony.

– Ty z Marlowe?

Młody człowiek skłonił się lekko w jej stronę.

– Mam na imię Gideon.

Susanna znowu uniosła swoją broń i potrząsnęła nią.

– Użyję tego.
Pełne zrozumienie. Głowa nadal mu pulsowała.
– Wiem.
– Co tutaj robisz? – Nie przestając wymachiwać lichterzem, poderwała się na nogi. – Marlowe i mego brata nie ma teraz w domu.
To była ważna wiadomość.
– A gdzie są? Jeśli pośle pani po Marlowe, ona za mnie poręczy.
– Nie mogę. Wyjechali do Northbridge Abbey.
Oj, niedobrze. Gideon wstał.
– Nie zbliżaj się!
Miał ochotę wyrwać jej lichterz i wyrzucić przez okno albo – zważywszy, że mowa o srebrze – wcisnąć go sobie za pazuchę. Ale zamiast tego tylko podniósł ręce.
– Nie chcę pani skrzywdzić. Jeśli nie ma tu Marlowe, to sobie pójdę. – Trzymając obronnie ręce do góry, wykonał trzy ostrożne kroki w tył i zatrzymał się koło szafy, gdzie za książkami ukrył woreczek z naszyjnikiem.
– Co ty robisz?
Była ślicznotką, ale zdecydowanie wielką panią. Rozkazujące tony przychodziły jej całkiem naturalnie.
– Zabieram, co moje.
Macał w poszukiwaniu sakiewki i właśnie musnął ją opuszkami palców, kiedy rozległo się warczenie. W oknie, za jego plecami, ziajał znajomy kundel. Łapy oparł o framugę, a diabelskie ślepie wlepił w Gideona, jakby młody człowiek był łakomym kąskiem na obiad.
Do diabła, jakim cudem ten opętaniec go znalazł?
– Sio stąd! – Gideon machnął ręką, by odgonić swego prześladowcę.
W odpowiedzi zwierzę obnażyło kły.
– To twój pies?
– Nie. – Gdyby był jego, nie blokowałby swemu panu drogi ucieczki. – Jeśli można, wyjdę przez frontowe drzwi.

– Zostaniesz tam, gdzie stoisz. Nawet nie... – Dziewczyna nadstawiła uszu. – Ktoś idzie!

– A niech to – mruknął Gideon. Za plecami miał wściekłe bydło, przed sobą zwariowaną pannicę ze świecznikiem, a teraz kolejna osoba dołączała do towarzystwa.

Skorzystał więc z jedynej dostępnej kryjówki: dał nura pod biurko.

– Co ty wyprawiasz? – syknęła Susanna.

Na moment wystawił głowę.

– Niech im pani nie mówi, że tu jestem. – I zniknął akurat w chwili, gdy drzwi zaczęły się otwierać.

Chowając się tu, wiele ryzykował. Nie było powodu, by ufał tej kobiecie. Zapewne chciała go wydać. Ale istniała też szansa, choć niewielka – i jej się uchwycił – że lady Susanna tego nie zrobi. Może tego wieczoru fortuna jednak mu sprzyjała. W końcu zdołał pozbyć się Beezle'a i innych członków bandy, by nie wspomnieć o zbirach Matki Cummings. Przeklęty zwierzak nadal deptał mu po piętach, ale z psem mógł sobie dość szybko poradzić. Pokrzepiony tą myślą, Gideon zerknął w stronę okna. Kundel znikł.

Jedno zmartwienie mniej.

– Panienko, czy coś się stało? – To był mężczyzna i mówił jak ktoś ze służby. Spółgłoski brzmiały wyraźnie, podczas gdy u Gideona żałośnie się rozmywały. Lokaj?

– Crawford! Dobry wieczór.

Sądząc z jej głosu, Susanna była diabelnie zdenerwowana. Mógł się założyć, że o mało nie wyskoczyła ze skóry.

To już koniec. Jeszcze przed świtem wsadzą go do ciemnicy.

– Wydawało mi się, że ktoś krzyczał.

– Krzyczał? – zdziwiła się obłudnie. – Ja niczego nie słyszałam.

Lokaj, ten jakiś Crawford, odchrząknął.

– Czy ktoś tu z panienką jest?

– Nie. Ja... ja mówiłam sama do siebie.

Zapadło długie, pełne napięcia milczenie. Gideon

przypuszczał, że służący rozważa: wierzyć czy nie. Gdyby dziewczynie nie uwierzył – bo przy jej tak marnych zdolnościach do kłamstwa, kto by dał się nabrać? – musiałby zdecydować co dalej.

– Czy mam pójść po jaśnie panią? Obawiam się, że panienka zbyt wiele czasu spędza sama.

Na twarzy Gideona odmalowało się powątpiewanie. Lokaj przypuszczał, że ona czuła się samotna? Łyknął te androny, że mówiła do siebie? Lady Susannie naprawdę musiało brakować przyjaciół.

Gideon nie wiedział, jak to jest. Nigdy nie znalazł się w takiej sytuacji. Przez całe życie mieszkał w zatłoczonych izbach – najpierw w sierocińcu, potem w złodziejskiej melinie ze znajomymi łotrzykami. Co tu dużo mówić, pod biurkiem było więcej miejsca, niż zwykle miewał dla siebie.

– Och nie, nie. Wszystko w porządku – odparła dziewczyna.
– Tylko wybiorę sobie jakąś książkę i już stąd idę.

– Dobrze, panienko.

– Dobranoc, Crawford.

– Dobranoc, panienko.

Gideon odczekał, aż zapadła całkowita cisza, po czym wysunął głowę. Jego wyćwiczone oczy zdążyły wychwycić wszystko, co w tej bibliotece miało większą wartość. Za srebrny lichtarz, którego lady Susanna uparła się używać jako pałki, mógłby dostać ładny kawał grosza, ale połączoną skrzyneczkę z półki nad kominkiem i sewrską porcelanę ze stolika koło drzwi łatwiej by wyniósł, a równie łatwo sprzedał.

Jednak naszyjnik był od tego wszystkiego dziesięciokrotnie cenniejszy.

– Droga wolna?

– Poszedł – odparła Susanna, sięgając po świecznik, który uprzednio odstawiała.

– No to i ja sobie pójde. – Kolejne spojrzenie w okno upewniło Gideona, że dokuczliwa bestia zrezygnowała. Teraz miał szansę. Zbliżył się do szafy z książkami, sięgnął po swój łup, ale

kiedy wydobył rękę, była pusta. Serce podskoczyło mu do gardła, a resztki powietrza ze świstem wydobyły się z płuc. Przesunął książki, zrzucając kilka na podłogę.

Naszyjnik zniknął.

Gideon z furią obrócił się do dziewczyny. Jej twarz powiedziała mu wszystko. Lady Susanna nie umiała kłamać, nawet gdyby od tego zależała cała jej przyszłość.

– Gdzie to jest? – Ruszył ku niej.

Zacząła wymachiwać swoją bronią, ale on miał już dość tych gier. Liczył się tylko naszyjnik. Chodziło o życie.

Oszukał Beezle'a, więc gdyby nie opuścił Londynu, szybko stałby się towarem dla rezurekcyjistów^[3]. A nie mógł wyjechać z miasta bez pensa przy duszy.

– Ani kroku dalej. – Dziewczyna ścisnęła kurczowo lichtarz.

– Gdzie to jest? – powtórzył Gideon, nie podnosząc głosu. – Nie chcę cię skrzywdzić, paniusiu, ale skrzywdzę, jeżeli mi nie powiesz, co z tym zrobiłaś.

– Schowałam i nigdy tego nie znajdziesz.

Włamywacz błyskawicznym spojrzeniem omiół pokój. Wielki wazon na stole za jej plecami wydawał się najbardziej oczywistą skrytką.

– Jest w tym wazonie, tak?

Kiepska byłaby z niej oszustka. Susanna rzuciła się do porcelanowego naczynia, wydobyła zeń sakiewkę i wetknęła ją za dekolt.

– Chcesz, żebym zerwał z ciebie sukienkę, to wystarczyło poprosić. – Gideon zrobił krok naprzód.

– Tylko mnie tknij, a będę krzyczeć tak głośno, że obudzę cały dom.

Kolejny krok.

– Nie powiedziałaś służącemu, że się tu schowałam. Nie będziesz krzyczeć.

Dziewczyna znowu uniosła lichtarz.

– Będę. Masz moje słowo, że będę.

Spojrzał jej w oczy. Niech to diabli.

Nie blefowała. Była przerażona. Gdyby się do niej zbliżył, zakończyłby swój krótki, smutny żywot, dyndając na szubienicy. Albo to, albo galery. Sam nie wiedział, która perspektywa mniej mu się podobała.

Skrzyżował ramiona. W końcu mógł negocjować. W sztuce negocjacji bił wszystkich na głowę. A dodatkowo dobrze sobie radził z kobietami. Uśmiechnie się do niej czarująco i będzie po kłopotach. Jak dotąd nie spotkał niewiasty, która oparłaby się jego specjalnemu spojrzeniu.

Opuścił oczy, po czym podniósł je, serwując swojej przeciwniczce najbardziej kuszącą wersję spojrzenia, jaką zdołał z siebie wykrzesać.

Susanna zgromiła go wzrokiem.

– Nie dotykaj mnie – warknęła.

Gideon osłupiał. Dlaczego nie zmiękała? Musiał coś źle zrobić. Spróbował jeszcze raz.

– Co ci się stało? Jakoś dziwnie wyglądasz.

– Diabli nadali! – Na tę przeklętą dziewczynę Spojrzenie nie działało. Mocniej ścisnął ręce, żeby nią nie potrząsnąć. – Czego, u licha, chcesz?

– Pojechać do Vauxhall Gardens.

– Vauxhall?!

Nie było to najdziwniejsze życzenie, jakie w życiu słyszał, ale mimo wszystko brzmiało dość zaskakująco. Zwłaszcza w ustach tej ładniutkiej hrabianki.

– To pojeżdż. Co mają ogrody do mego dobytku? – Wskazał dekolt Susanny. Z rowka pomiędzy piersiami wyzierał skrawek czarnego aksamitu. W innych okolicznościach Gideon mógłby się nawet tym widokiem zainteresować. Ale teraz chciał jedynie odzyskać łup.

– Nie mogę – odparła tonem, który dawał do zrozumienia, że dla każdego powinno być to oczywiste. – Potrzebny mi ktoś, kto mnie zawiezie. Chcę, żebyś ty mnie tam zawiózł. – Ostatnie słowa zabrzmiały bardziej jak rozkaz niż życzenie.

Gideon wściekle przesunął palcami po włosach.

– Nie jestem stangretem. Oddawaj, panienko, sakiewkę i nigdy więcej nie będziesz musiała mnie oglądać.

Sięgnął do jej dekoltu, ale Susanna znowu użyła lichterza.

– Au! – Złodziej gwałtownie cofnął rękę i obejrzał ją w poszukiwaniu nowych siniaków.

– Oddam, ale dopiero po tym, jak mnie zabierzesz do publicznych ogrodów Vauxhall.

Była to sytuacja przez dżentelmenów zwana impasem. Gideon piorunował wzrokiem Susannę w nadziei, że dziewczyna się ugnie, ale ona tylko zacisnęła wargi, okazując upór, którego się nie spodziewał.

– A jeżeli odmówię?

– No cóż, wówczas przekażę to – wskazała sakiewkę – mojemu bratu. Znasz sir Brooka Derringa?

Och, znał, znał. Sir Brook był cholernym łowcą złodziei. Jednym z najlepszych w mieście.

Gideon zapragnął w coś walnąć. Chciało mu się wyć z bezsilnego gniewu. Ale tylko zacisnął zęby.

– W porządku – wykrztusił wreszcie. – Zatem chodźmy.

Mogli go zabić na jej oczach, mogła sama wykończyć się po drodze. Do diabła, skoro chciała iść do ogrodów Vauxhall, to proszę bardzo.

– W porządku? – Nieufnie zmrużyła te swoje sowe ślepia. A może ich spojrzenie stawało się przenikliwsze, kiedy spoczywały na zdobyczy? – Zabierzesz mnie?

– Właśnie to powiedziałem.

Chwycił ją za ramię i pociągnął w stronę okna, ale Susanna wbiła obcas w dywan.

– Teraz?

– Owszem, teraz. Chcę odzyskać sakiewkę. Zabiorę cię do Vauxhall, ty mi ją oddasz i rozstaniemy się jak przyjaciele.

Dziewczyna potrząsnęła głową. Piekło i szatani!

– Co znowu?

– Nie mogę wyjść tak ubrana.

– Co?!

Biała sukienka z błękitną szarfą prezentowała się uroczo, jeśli ktoś lubił tego typu stroje. Gideon przypuszczał, że bogaci dżentelmeni wprost za nimi przepadali. Chcieli, by ich kobiety były czyste i niewinne. I Susanna z pewnością tak wyglądała.

– Ale czemu?

– To suknia popołudniowa. Muszę się przebrać w strój na wieczór.

– Nie, nie, nie. – Gideon siekł ręką przestrzeń pomiędzy nimi. Żadnego przebierania. Czas był ich wrogiem. – Wyglądasz świetnie. Idziemy.

Ale ona już przesuwała się pomalutku w stronę drzwi.

– To zajmie mi tylko chwilę.

Nie uwierzył nawet na moment. Kiedy byli z Marlowe kompanami w gangu Satina, Gideon pomagał jej się ubierać więcej razy, niż potrafił zliczyć. Wiedział, że kobiece stroje notorycznie sprawiały kłopot.

Nowa taktyka.

– Zgoda. Idź się przebrać. A ja tu poczekam z sakiewką.

– Raczej nie – odparła, trzymając dłoń na klamce. – Sakiewkę zabieram ze sobą.

– Nie zamierzam spuszczać jej z oka.

Dziewczyna zbyła te słowa machnięciem ręki.

– Możesz na mnie polegać. Poza tym, jeśli ci ją oddam, uciekniesz, kiedy tylko znajdziesz się za drzwiami.

Gideon westchnął z udawanym zaskoczeniem.

– Bardzo przepraszam, ale czegoś takiego nigdy bym nie zrobił.

– Nie wierzę ci.

Przycisnął dłoń do serca.

– To boli. A gdzie zaufanie?

Susanna poklepała wciśniętą za dekolt sakiewkę.

– Tutaj. Wracam za chwilę.

I poszła.

Przez dobre trzy minuty miotał przekleństwa w stronę zamkniętych drzwi, a potem kopnął biurko. Mebel ucierpiał

znacznie mniej niż stopa Gideona, który nie poczuł się ani odrobinę lepiej.

Ogrody Vauxhall, gdzie diabeł mówi dobranoc!

Do diabła, czemu ona tak się przy nich upiera?

Ale ważniejsze pytanie brzmiało: jak ma ją tam zabrać, żeby nie wypatrzyli go kamracy Beezle'a? Będą przeszukiwać cały Londyn, każdy najbardziej zapadły zakątek, każdą melinę i spelunkę. Należało jak najszybciej opuścić miasto, a nie odbywać przechadzki po publicznych ogrodach.

Z drugiej strony, nikomu nie przyszłoby do głowy, że Gideon wybrał się do Vauxhall. Może tam na trochę się ukryje. I może uda mu się dyskretnie zwędzić Susannie naszyjnik. Wszak uchodził za zręcznego kieszonkowca. Nie tak zręcznego jak Marlowe, ale przecież potrafił okraść osobę z wyższych sfer.

Musiał zbliżyć się do dziewczyny i wsunąć dłoń za stanik jej sukni. Tyle tylko, że lady Susanna nie sprawiała wrażenia zbyt skorej, by dawać się dotykać.

Jednak noc była jeszcze młoda. Szanse Gideona mogły wzrosnąć.

Nagle poczuł, jak jeżą mu się włoski na karku, bo z ogrodu dobiegło warczenie.

Przeklęte bydlę wróciło.

– Cholera – wymamrotał, kiedy pies wskoczył przez okno i rzucił się na niego.

Serce biło Susannie tak mocno, że nie mogła złapać dość długiego tchu, by zająć się wybieraniem stroju. Wkrótce miała zobaczyć ogrody Vauxhall!

Udawała się tam w towarzystwie złodzieja, przez którego nogi miękły jej ze strachu. Ale jednak się udawała.

Matka ją chyba zabije. Albo poderżną jej gardło w jakimś ciemnym zaułku, zanim ktokolwiek w ogóle zauważy, że wyszła.

Łomot serca stawał się nieznośny.

Nie należało myśleć w ten sposób. Gideon był przyjacielem Marlowe... i przypadkowo również przestępcą.

Przestępcą, którego ona, Susanna, przechytrzyła.

Odstawiła lichtarz i zza rąbka dekoltu wyciągnęła czarny woreczek. Złodziej rozpaczliwie chciał go odzyskać, lecz jej udało się zdobyć przewagę. Podeszła do lampy, żeby lepiej widzieć, po czym szarpnęła za troczki sakiewki. Wewnątrz coś zamigotało. Wstrzymując oddech, Susanna wsunęła palce w miękki aksamit, a kiedy je wydobyła, ujrzała diamenty i szmaragdy.

Przez pełną minutę gapiała się na naszyjnik. Musiał kosztować fortunę, o ile nie były to zwykłe szkiełka.

Przysunęła dłoń bliżej światła. Nie były.

Gideon zrabował go komuś?

Oczywiście. A teraz ona zrabowała jemu. Co powinna zrobić z naszyjnikiem? Miała dość rozumu, by nie nosić takiej rzeczy przy sobie. Mogła trafić do więzienia za kradzież.

Schowa go, postanowiła. Odda przysługę i sobie, i Gideonowi, jeśli te klejnoty ukryje. A potem mu je zwróci, kiedy on wypełni swoją część umowy.

Rozejrzała się po sypialni i zdecydowała, że najlepszym miejscem dla cennego woreczka będzie szkatułka w komodzie, gdzie trzymała własne drobiazgi. Nikt nie miał powodu tam zaglądać, bo nie posiadała niczego naprawdę wartościowego.

Załatwiwszy tę sprawę, przez dłuższą chwilę męczyła się ze zdjęciem sukni. Mogła zawołać pokojówkę, ale Maggie zadawałaby pytania, a Susanna nie chciała się tłumaczyć, ani wymyślać kłamstw.

Wreszcie, rozebrana do bielizny, zaczęła grzebać wśród swoich strojów. Potrzebowała czegoś, w czym wyglądałaby na starszą i bardziej obytą w świecie. Przy tym złodzieju czuła się jak naiwna dziewczynka. Zawsze myślała, że tego typu mężczyźni mogą wzbudzić w niej wyłącznie niesmak. Ich maniery były prostackie, a nawyki higieniczne wołały o pomstę do nieba. Jednak ten Gideon wyglądał na dość przystojnego, nawet mimo okropnej blizny, która przecinała mu skroń i brew.

Po dłuższym namyśle Susanna wybrała suknię ciemnoróżową. Czerwonej nie miała. Matka nie zgodziłaby się nawet na rdzawą, toteż ten mocny odcień różu okazał się

najbardziej zuchwałym kolorem z całej garderoby. Jak na kreację balową suknia miała raczej skromny dekolt, ale górę pleców obnażała w sposób, który zawsze wydawał się Susannie śmiały.

Zanim dziewczyna wszystko należycie poupiła i wciągnęła długie, białe rękawiczki, była już ledwie żywa. Ubieranie się bez pomocy naprawdę mogło zmęczyć. Zerknęła na zegar. Zabrało jej to niemal dwa kwadransy. Gideon zapewne szalał ze złości.

Z nieodłącznym lichtarzem w dłoni szybko opuściła swój pokój, na palcach minęła sypialnię matki, a następnie przemknęła schodami na dół. Bezszelestnie otworzyła drzwi do biblioteki i równie cicho zamknęła je za sobą. Wtedy usłyszała jakieś pomruki. Odwróciła się i wydała stłumiony okrzyk. Gideon leżał na podłodze, a nad nim stał wielki, brunatny kundel.

– Co tu się dzieje?

Pies obserwował ją, szczerząc kły. Warczał coraz głośniej. Susanna wzięła się pod boki.

– Natychmiast przestań.

Zwierzak zaskomlał i ucichł. Zerknęła na złodzieja. Nawet jego pies był źle wychowany.

– Dlaczego się położyłeś? To nie pora na zabawę.

– Nie bawię się – odparł Gideon głosem pełnym napięcia.

I zamilkł, bo jego prześladowca znowu zaczął warczeć.

– Powinieneś nauczyć swego psa trochę lepszych manier.

Młodzieniec coś wymamrotał, ale przez psie warczenie nie dosłyszała co.

– Siad! – nakazała psu. – Spokój!

Zwierzę posłusznie usiadło. Hałas ustał.

– Jak ty to robisz? – spytał Gideon i odsunął się ostrożnie.

– Co robię?

– Panujesz nad nim. Gdybyś w porę nie weszła do pokoju, to bydlę rozerwałoby mi gardło. – Podniósł się i stanął koło niej, utrzymując stosowną odległość od psa.

Susanna wzdrygnęła się na widok tego, co odmalowała jej wyobraźnia.

– Więc on nie jest twój?

– Nie, już ci mówiłem. Przyczepił się do mnie parę godzin temu i musiał tu za mną przybiec. On mnie nie lubi.

Gideon wydawał się tym faktem tak urażony, tak szczerze zaszokowany, że o mało nie parsknęła śmiechem. I zapewne roześmiałyby się, gdyby akurat nie przysła jej do głowy pewna myśl. Tuż obok siedział bezpański kundel, a Susanna zawsze marzyła o psie. Jednak matka nie pozwoliła jej cieszyć się nawet taką odrobiną towarzystwa. Może to była szansa na upragnionego pupila?

– Pewnie jest głodny – powiedziała, ruszając w stronę zwierzęcia.

Gideon złapał ją za ramię i odciągnął.

– Nie podchodź za blisko.

– Nie skrzywdzi mnie – odparła Susanna, strząsając jego dłoń, chociaż skórę miał zdumiewająco ciepłą. – Prawda, maleństwo? Prawda, że nie zrobisz mi krzywdy?

Psi ogon zaczął uderzać o podłogę.

– Musimy znaleźć biedakowi coś do jedzenia.

– Musimy znaleźć pistolet i go zastrzelić.

Popatrzyła na Gideona wstrząśnięta.

– Nie mów bzdur. Nie zabiłabym psa.

– Jasne, to ja tu jestem głupi.

Niepostrzeżenie przysunęła się bliżej do kundla i wyciągnęła rękę. Obwąchiwał ją przez chwilę, a potem polizał. Susanna ze śmiechem pogłaskała go po łbie. Zwierzak przylgnął do niej, w swoim zapale omal jej nie wywracając.

– Dobry piesek. – Podrapała go za uszami. Był naprawdę okropnie zapuszczony. Kiedy cofnęła dłoń, na rękawiczce widniała warstewka brudu. – W tej chwili nie zdążę już pójść po coś do jedzenia, ale niedługo cię nakarmimy.

– Mowy nie ma, toto z nami nie idzie – zaprotestował Gideon.

– Przecież nie możemy go tu zostawić. – Zerknęła badawczo na psie podbrzusze. Trochę się zarumieniła, ale musiała sprawdzić. – A właściwie, nie możemy jej tu zostawić. – Myślisz, że ona ma

jakieś imię?

– O kurwa – wymamrotał Gideon. – Teraz jeszcze nazwie to bydlę.

Policzki Susanny pałały, ale udała, że nie słyszy tych ordynarnych słów. Podrapała psa pod brodą.

– Co powiesz na Beauty?

Zwierzę przechyliło łeb. Mogło to oznaczać, że przypadły mu do gustu pieszczoty. Albo nowe imię. Susanna wybrała tę drugą wersję.

– Podoba ci się, tak? A więc będziesz Beauty.

– Czym ja sobie na to zasłużyłem? – jęknął Gideon.

Susanna rzuciła mu przez ramię figlarne spojrzenie.

– Jestem pewna, że popełniłeś różne niewybaczalne grzechy. Z których kradzież naszyjnika nie była najmniejszym.

– Wyjęłaś go z sakiewki?

– Tak. – Energicznie skinęła głową. – I ukryłam. Nigdy go nie znajdziesz, a ja ci go nie oddam, dopóki mnie nie zabierzesz do ogrodów Vauxhall i potem bezpiecznie nie odstawisz do domu.

Spojrzał na nią spod przymrużonych powiek.

– Jest w twojej szkatułce na biżuterię, nie mylę się?

– Przestań to robić!

– Nie może tam zostać. Ktoś mógłby go znaleźć.

– Nonsens. Jest doskonale ukryty w... w swojej skrytce.

Gestem pogroźki wymierzył w nią palec, ale Beauty zawarczała, więc cofnął rękę.

– Bez naszyjnika nie idę.

– Dlaczego? Bo chcesz go znowu ukraść? A potem mnie zostawisz, żebym radziła sobie sama.

Gideon bezczelnie przybrał minę obrażonej niewinności, ale jego odpowiedź padła o sekundę za późno.

– Zostawię? Nigdy bym...

– Nie wierzę ci i ani trochę nie ufam.

Rozłożył szeroko ramiona.

– Całkowicie rozumiem. Wyraźnie nie jestem najwłaściwszym towarzystwem na wycieczkę do Vauxhall. Oddaj

mi naszyjnik i każde z nas pójdzie swoją drogą. Możesz nawet zatrzymać psa. Wręcz nalegam, żebyś go zatrzymała.

– Ją. I nie pójdziemy każde swoją drogą. Jeśli chcesz dostać naszyjnik, lepiej zabierz mnie do tych ogrodów.

Beauty zaszczekała, przyznając jej rację.

Susanna zerknęła na drzwi. Mało prawdopodobne, by niezauważona zdołała opuścić dom w towarzystwie mężczyzny i psa. Z pewnością zaraz zjawiłby się lokaj i zadał szereg pytań. Miała nadzieję, że nikt ze służby nie usłyszał szczekania, a jeśli nawet usłyszał, to uznał, iż dobiegało z ulicy.

Ruszyła w stronę otwartego okna. Kundel deptał jej po piętach.

– Tędy – zakomenderowała.

Dotychczas nigdy nie wychodziła przez okno, ale najwyraźniej nie było innego sposobu. Wyrzała. Do ziemi nie miała zbyt daleko. Znajdowali się na parterze.

– Naprawdę uważam, że powinniśmy to przedyskutować.

Susanna poczuła we włosach parny powiew i zastanowiła się, czy potrzebuje szala. Pogoda mogła zmienić się w jednej chwili. Pewnie lepiej byłoby włożyć etolę, ale zrobiło się już zbyt późno, żeby wracać po nią do sypialni.

– Idziesz pierwszy.

– A jeśli będę się upierał, że damy przodem?

Dziewczyna podniosła lichtarz i zerknęła na psa.

– Beauty się to nie spodoba.

Nie wyglądało, by Gideon bał się kolejnego ciosu świecznikiem, ale najwyraźniej czuł respekt przed jej pupilką – tyle Susanna była w stanie wywnioskować z gniewnego spojrzenia, którym obrzucił zwierzę, zanim pomaszerował do okna i zwinnie wy dostał się na dwór. Próbowwała zauważyć, w jaki sposób tego dokonał, ale poruszał się zbyt szybko. Po chwili została sama i gapiąc się na niego z góry, zaczęła rozważać, co ma zrobić. Próbowwała tak i owak, aż wreszcie Gideon westchnął i powiedział:

– Jeszcze dziś wieczorem, Truskaweczko?

Zesztywniała. To miał być przytyk do jej rudoblond włosów?

– Jak mnie nazwałeś?

– Przełóż najpierw jedną nogę, a potem drugą.

– Ale wtedy zobaczysz moje kostki.

Błysnął zębami w uśmiechu.

– I łydki, mam nadzieję, też.

– Dżentelmen odwróciłby wzrok.

– Niestety, daleko mi do dżentelmena.

Ustawivszy się bokiem, Susanna niezgrabnie wysunęła nogę na zewnątrz, próbując udawać, że obcy mężczyzna wcale nie patrzy na jej obnażone spod zadartej sukni ciało. A potem, wczepiona w okienną futrynę, rozważała, jak wyciągnąć drugą nogę, żeby się nie przewrócić. Oderwała stopę od podłogi, ale zachwiała się i jeszcze mocniej zacisnęła dłonie.

– Nie upadniesz. – Gideon sprawiał wrażenie setnie znudzonego. – Przerzuć ją i zeskocz.

Jednak nie potrafiła. Czuła się naprawdę upokorzona, że jest aż takim tchórzem.

– Ja...

– Zrób to.

– Nie dam rady!

– To oddaj mi naszyjnik i tu zostań.

– Nie. – Wyprostowała ramiona na tyle, na ile było to możliwe w tak niedogodnej pozycji.

– Sama stwierdziłaś, że nie dasz rady. A to jeszcze nic w porównaniu z resztą nocy.

Nie wiedziała, co miał na myśli i nie chciała wiedzieć.

– Nie dasz rady. Nie...

Jednym szybkim ruchem Susanna przerzuciła nogę na drugą stronę i zeskoczyła. Mogła runąć jak kłoda, ale w porę ją złapał. Osunęła mu się na pierś – szeroką, muskularną pierś, gwałtownie wciągnęła powietrze i podniosła na niego oczy.

– Brawo, Truskaweczko.

Postawił ją na ziemi. Dziewczynie trzęsły się kolana. Oddech jej się rwał. Nie była pewna, co wywołało u niej większą panikę –

skok z okna, czy interwencja Gideona.

Rozległo się szczeknięcie i tuż obok wylądowała zgrabnie Beauty.

Susanna pogłaskała psa, wdzięczna, że ma pretekst, by pochylić zarumienioną twarz.

– Bardzo ładnie.

– Idziemy! – powiedział Gideon.

Spojrzała po raz ostatni na zaciemnione okna rezydencji i ruszyła za nim w jeszcze ciemniejszą noc.

Gideon złapał ją za nadgarstek i prowadził coraz dalej od domu. Idąc szybkim krokiem, starał się kryć w mroku. Szajka Beezle'a mogła być wszędzie, nawet w Mayfair. Przetną St. James's i dostaną się do Vauxhall promem, postanowił. Nie była to tak bezpośrednia trasa jak przez nowy most, ale Gideon czuł awersję do Tothill Fields^[4]. Tamta okolica działała mu na nerwy.

Jego towarzyszka wystroiła się w jedwabną suknię balową i długie rękawiczki. Gdzie, do licha, myślała, że się wybiera? Kiedy wychodziła przez okno, zauważył jej śliczne, różowe pantofelki. I tu tkwił prawdziwy problem. W takim obuwiu nie sposób było chodzić. Co za idiotyzmy wymyślali ci bogacze.

– Czy daleko jeszcze do twego powozu?

– Co?

Głowa Susanny wykonała gwałtowny ruch. Niemożliwe, by dziewczyna widziała coś w tych egipskich ciemnościach, ale uniosła lewą stopę i badawczo się jej przyglądała.

– Nikt ci nigdy nie wspomniał, że niegrzecznie jest odpowiadać „co”? Mówi się „słucham” albo „proszę”.

Wcale nie żartowała. Naprawdę sądziła, że może tam stać i wygłaszać mu kazania na temat dobrych manier albo pleść o powozach.

Chwycił ją za ramię i przyparł do drzewa. Susanna zatoczyła się, odzyskała równowagę, a potem wydała stłumiony okrzyk przestrawienia. Jeśli była taka potrzeba, Gideon potrafił reagować błyskawicznie.

Kundel zawarczał, a on odpowiedział w podobnym tonie.

– Słuchaj, Truskaweczko. – Pochylił się do jej ładnej twarzy i tych wielkich, brązowych oczu. – Za cholere nie obchodzą mnie twoje zasady. Wpakowałem się w to dla przeklętego naszyjnika, a nie dla lekcji... kindersztuby.

Susanna drgnęła, oszołomiona. Ale Gideon miał w zapasie

jeszcze kilka niespodzianek.

– Twój język jest godny ubolewania. Przypuszczam, że skoro znasz takie słowa jak kindersztuba, to wulgaryzmów używasz celowo.

– Do diabła, przypuszczaj sobie, co chcesz.

Prychnęła, wyrażając kompletny i całkowity niesmak. Gideon znał to uczucie.

– Zaprowadź mnie do powozu. Chcę, żeby ten wieczór rychło się zakończył.

Boże, litości!

– Nie będzie rychło żadnego powozu.

– Co?

Złodziej uśmiechnął się ironicznie.

– Chciałaś powiedzieć: proszę?

Wargi Susanny zacisnęły się.

– Z pewnością masz jakąś bryczkę?

– Nie.

– Dwukółkę?

Milczenie wystarczyło za całą odpowiedź. Lekka bryza przyniosła woń czegoś rozkosznego i kobiecego, łechzcząc mu nozdrza.

To ona.

Ich ciała były blisko siebie. Palce aż go swędziały, by dotknąć pasa bladej skóry, gdy cienki szal, którym tak kurczowo Susanna się otulała, zjechał z jej ramion. Gideon nigdy nie dotykał podobnej kobiety, takiej czystej, jasnej i słodko pachnącej.

– Jeśli nie masz żadnego środka transportu, to proponujesz, żebyśmy czym podróżowali do Vauxhall?

– Nie proponowałem, żebyśmy podróżowali dokądkolwiek.

– Semantyka. – Dała nura pod jego ramieniem i odsunęła się, a pies natychmiast zajął miejsce obok swojej pani. Nagły brak bijącego od niej ciepła i zapachu był tak dotkliwy, że Gideon musiał oprzeć się o drzewo, by jednym szarpnięciem nie przyciągnąć dziewczyny z powrotem.

Susanna poklepała Beauty.

– Będziemy musieli wezwać dorożkę, żeby zawiozła nas do... a jak w ogóle ludzie dostają się do Vauxhall Gardens?

– Przez most albo promem. Nie mamy powozu, więc przeprawimy się. Łódź można wynająć na Whitehall albo na Schodach Westminsterskich.

Susanna ruszyła przed siebie – w złym kierunku. Po kilku krokach zauważyła, że Gideon został.

– Mógłbyś się pospieszyć?

– A dokąd ty idziesz? Rzeka jest tam. – Ruchem głowy wskazał południe.

Po twarzy dziewczyny przemknął wyraz rozczarowania.

– Dorożkarz będzie znał drogę. – Dźgnęła palcem w stronę ciemnej ulicy. – Na Old Bond Street powinniśmy znaleźć dorożkę.

– Ile masz forsy?

Jej brwi zbiegły się w jedną linię.

– Forsy?

– Dudków. – Wymownie potarł kciuk. – Grosiwa. Szylingów.

– W ogóle. – Dłoń dziewczyny zacisnęła się wśród splątanych psich kudłów.

– No, jasne. – Gideon wepchnął ręce w kieszenie i podszedł spacerowym krokiem. – Zapewne nigdy za nic sama nie płaciłaś.

– Mylisz się. – Susanna opuściła oczy, udając, że patrzy na psa. Nawet gdyby ten złodziej niczego więcej jej nie nauczył, to wyćwiczyłby ją w przekonujących kłamstwach.

– Powiem ci coś w sekrecie – przysunąwszy się blisko, wyszeptał jej do ucha.

Obronnym gestem uniosła ramię i zerknęła na Gideona spod opuszczonych rzęs.

– Ja też nie mam złamanego szylinga.

Nie była to prawda. Miał kilka szylingów, dość, by zapłacić za przeprawę przez rzekę, ale za mało na dorożkę, łódź oraz bilety wstępu do ogrodów.

Chociaż biletów nie zamierzał kupować.

Dziewczyna gwałtownie uniosła głowę, a Beauty wydała ostrzegawcze szczeknięcie.

– Co my teraz zrobimy? Potrzebujemy pieniędzy.
Wzruszył ramionami i jeszcze głębiej zanurzył ręce w kieszeniach.

– Znam miejsce, gdzie da się znaleźć diamentowy naszyjnik. Mógłbym go zwędzić. Mielibyśmy więcej grosza niż nam potrzeba.

I wreszcie by się od niej uwolnił.

– Nie.

Wlepiając wzrok w ciemności, Gideon udawał głęboki namysł. Postanowił dać jej czas. Niech sobie uświadomi, że to jedyna możliwość.

– Więc musimy udać się tam pieszo. – Znacząco spojrzał na rąbek jej sukni. Różowy jedwab zdobiły koronki i kwiatki z materiału. Równie niepraktycznego stroju Gideon w życiu nie widział.

A przecież pragnął go dotykać – i dotykać ciepłej skóry pod jedwabiem – bardziej niż chciał się do tego przyznać.

– Nie mogę iść. – Bez wątpienia była przewidywalna. – W moich pantofelkach już jest dziura.

– No to nie ma wyjścia. – Złapał ją za rękę, ignorując psie warczenie. – Wracamy po naszyjnik.

Sam nie wiedział, jakim cudem zdołała zaryć piętami w bruk. Gdyby mocniej szarpnął, mógłby zrobić jej krzywdę albo zostałby zaatakowany przez psa. Więc tylko powiedział ostro:

– To był twój plan, Truskaweczko. Jak zamierzałaś dotrzeć do Vauxhall, nie mając pieniędzy i tak obuta?

Zamiast udzielić odpowiedzi, Susanna wbiła w niego pałający wzrok.

– Idę. Z tobą albo bez ciebie.

Odwróciła się i poszła. A raczej pokuśtykała.

Cholera jasna.

Dogonił ją w kilku susach. Znów rzuciła mu to swoje spojrzenie spod rzęs i dreptała dalej. A on patrzył przed siebie, ale zwolnił kroku, żeby się do niej dostosować.

– Potrzebujemy trzewików albo trochę grosza, albo tego i

tego – oznajmił.

– Nie musisz się kłopotać o moje pantofle. Całkiem mi wystarczają.

Gideon roześmiał się. Teraz księżniczka udawała, że nie jest rozpieszczona. I niechby jej tam było, gdyby nie miał pętli na szyi.

– Akurat, już kulejesz. Nie zamierzam nieść cię przez pół miasta. A nawet jeśli dasz radę, musimy zapłacić za łódź i w Vauxhall za bilety wstępu. – Mógł przemycić Susannę do publicznych ogrodów, ale nie zdołałby bez opłaty przeprowadzić się przez rzekę. Kąpiel w mętnych wodach Tamizy należała do ostatnich rzeczy, na jakie miał ochotę.

Ale może wcale nie musiał tłuc się aż tak daleko.

– Nie zawrócę. W żadnym razie.

Jasne. Dopóki porządnie się nie wystraszy. Wtedy pobiegnie na wypródki do domu i rzuci mu naszyjnik do stóp.

– No to nie mamy wyboru. Znajdź mi frajera.

Stała jak wryta.

– Słucham?

– Tak mówimy o dżentelmenie, któremu planujemy sięgnąć do kieszeni.

Pod wpływem mieszaniny szoku i zgrozy twarz Susanny oblała się czerwienią.

– Nie zamierzam brać udziału w kradzieży.

Gideon ciasno splótł ręce na piersi.

– Ukradłaś mój naszyjnik.

– Nie jest twój... to żaden argument! Nie będę się zniżać do złodziejstwa.

Odczekał, by dotarło do niej znaczenie własnych słów.

Jeszcze bardziej się zaczerwieniła.

– Miałam na myśli... Nie chciałam cię obrazić. – Naciągnęła szal wokół ramion, osłaniając się nim jak tarczą.

– Nie możemy wrócić do twojej rezydencji po pieniądze i nie możemy załatwić sprawy sposobem. Mam rację, królewno?

– Nie jestem królową.

Dobra. A on nie był złodziejem.

– Po prostu będziesz musiał jakoś inaczej zdobyć dla nas gotówkę – wybrzydzała.

Oczywiście, że musiał, bo Królowna Truskaweczka nie zamierzała brudzić sobie rączek. Właśnie na to liczył.

– Jest jeszcze jedna, ostatnia, możliwość.

Palce przebierające wśród frędzli szala znieruchomiały i Susanna całą uwagę poświęciła Gideonowi. Tę dziewczynę łatwiej było złapać na przynętę niż głodną rybę. A przynajmniej tak mu się wydawało, bo dotychczas nigdy ryb nie łowił. Które to niedopatrzenie zamierzał naprawić, gdyby wreszcie opuścił Londyn i uwolnił się od życia Gideona Harrowa.

– Odwiedzimy pewnego mojego kamrata.

Podciągnęła szal pod samo gardło.

– A cóż to za... znajomy?

– Taki, który może pomóc człowiekowi, kiedy ten potrzebuje butów i gotówki.

– Możemy mu ufać?

Oczywiście, że nie mogli. Gideon nikomu nie ufał. Natomiast Truskaweczka była dalece zbyt ufna. W przeciwnym razie nie opuściłaby w jego towarzystwie swego wygodnego, bezpiecznego domu.

– Ufać? – Młody człowiek rozłożył ramiona. – Powierzyłbym mu własne życie.

Beauty zaszczekała, więc zgromił ją spojrzeniem. Susanna też zerknęła na swoją pupilkę.

– Będziesz nas chronić, prawda?

Pies pokiwał ogonem.

– Pani pozwoli – Gideon złożył przed nią głęboki ukłon, jaki raz czy dwa widział w wykonaniu mężczyzn z wyższych sfer. – Tędy, proszę.

Poszła za nim niczym jagniątko za matką.

Natomiast przekłety kundel zaczął skomleć, ale ani drgnął.

– Chodź, Beauty! – zawołała Susanna.

Dopiero wtedy, z ostatnim żalosnym skowytem, pies ruszył się z miejsca.

Przemierzać londyńskie ulice pieszo i wieczorem było zgoła innym doświadczeniem, niż mknąć po nich powozem, zaprzężonym w czwórkę koni. Między innymi dlatego, że miasto cuchnęło. Odór nieumytych ciał, smród odpadków, fetor końskiego łajna w połączeniu ze stojącym, rozgrzanym powietrzem dosłownie ją zatykał.

Gideon śmiał się, kiedy zakryła nos jedwabną chusteczką, nasączoną zapachem lawendy.

– To ci się wydaje okropne? Tylko poczekaj, Truskaweczko.

Jego słowa napęliły ją mieszaniną strachu i podniecenia. Strach rozumiała. Strach należało odczuwać. Ale podniecenie było całkowicie nie na miejscu. Matka niechybnie doznałaby szoku – co tylko sprawiało, że Susanna jeszcze bardziej pragnęła rozkoszować się przygodą.

Tłum dookoła gęstniał, więc mocno ścisnęła szal i zabrany z domu lichtarz.

– Gdzie jesteśmy? – spytała, wdzięczna losowi za złodzieja u jednego boku, a psa u drugiego. Kobiety o twardym spojrzeniu i blade, mizerne dzieci przyglądały się jej z brudnych wejść do domów. Wrzaskliwi mężczyźni gapili się na nią i gwizdali, kiedy ich mijała. Co do sukni, Gideon miał rację. Trzeba było włożyć pelerynę.

– Nigdy nie byłeś w St. Giles? To dzielnica ruder przy wschodniej granicy Mayfair. Ręczę, że po raz pierwszy zobaczyłaś swoich sąsiadów.

– Myślisz, że jesteśmy tu bezpieczni?

– Bezpieczni? Nie. A jeśli nadal będziesz wymachiwać przed nosem tą szmatką, to ani chybi ktoś ci ją wyrwie. I może uznać, że ciebie też warto zabrać do kompletu.

Susanna ukryła chusteczkę w rękawiczce, niegdyś nieskazitelnie białej, a teraz czarnej od psiego futra i czego tam jeszcze dotykała. Zważywszy na powodzenie, jakim cieszyły się jedwabne chustki, również rękawiczek powinna była pilnować.

– Nareszcie – westchnął Gideon, zatrzymując się gwałtownie przed wysłużonymi drewnianymi drzwiami. Pokrywały je

paszkwile i ogłoszenia o cudownych lekach. Widocznie właścicielom to nie przeszkadzało.

Zastukał, po czym zerknął na Susannę przez ramię. Nieopodal płonęło ognisko, a wokół niego siedzieli mężczyźni i piekli mięso. W czerwonym blasku płomieni blizna na czole Gideona wyglądała naprawdę groźnie. Jego oczy lśniły niczym kocie ślepia.

– Pozwól, że ja będę mówić – powiedział.

Dziewczyna skinęła głową, zanurzając palce w ciepłe kudły na psim karku. Gardło miała zaschnięte, stopy pulsowały jej z bólu. Cienkie podeszwy nie uchroniły delikatnych pięt i podbicia przed ostrymi kamieniami. Balowe pantofelki okazały się fatalnym wyborem.

Popatrzyła na swego przewodnika. Może i tu popełniła błąd w ocenie.

Drzwi zaskrzypiały i uchyliły się. Przez szparę spojrzęło na nich ze zdumieniem czyjeś jasnoniebieskie oko.

– Gideon Harrow do pana Strykera.

A więc naprawdę tak się nazywał. Gideon. Imię biblijne. Czyżby jego rodzice – bo przecież musiał mieć jakichś rodziców? – byli pobożnymi chrześcijanami? Może metodystami? Jej matka udawała się do kościoła tylko wtedy, kiedy inaczej nie wypadało i mówiła o metodystach jak o wcielonych diabłach.

– Arrow? Czego chcesz?

Susanna wstrzymała oddech. Oczekiwała miłszego powitania. Jej dłoń wtuliła się głębiej w sierść Beauty. Wydawało się, że pies zwęszył kłopoty, ale na razie jeszcze ostrzegawczy pomruk nie narastał w jego gardle.

– Otwieraj, Stryker. Jest ze mną dama. – Gideon użył buta, by rozewrzeć drzwi szerzej. Ukazała się wychudła twarz, otoczona siwymi włosami i porośnięta siwą szczeciną. Teraz już i drugie załzawione oko patrzyło na Susannę z uwagą.

– Ano prawda. – Kąćki ust Strykera opuściły się drwiąco. – I pewien jesteś, że ją chcesz tam zabrać?

– Nie mam wyjścia. – Wepchnąwszy się do środka, młody

człowiek niecierpliwie skinął na swoją towarzyszkę. –
Truskaweczko?

Susanna powoli uniosła stopę i postawiła na pierwszym z trzech stopni. Za plecami gospodarza panowały absolutne ciemności. Zerknęła przez ramię. Zgromadzeni przy ognisku mężczyźni wpatrywali się w nią drapieżnym wzrokiem.

– Wchodzisz, czy nie, Truskaweczko? Sugerowałbym, żebyś weszła, ale jeśli wolisz, możesz zaryzykować i zostać.

Beauty warknęła. Dziewczyna pogładziła ją po łbie, wetknęła lichtarz pod pachę, uniosła dół sukni i pokonała resztę schodków. Spojrzenie wyblakłych oczu Strykera przesunęło się na psa.

– Zwierzę zostaje na dworze.

– Nie – zaprotestowała, przyciągając Beauty do siebie.

Gideon zamknął oczy, jakby cierpiał męki.

– Truskaweczko, zostaw ją na schodkach.

Susanna bez słowa potrząsnęła głową. Nie zamierzała rozstawać się z psem.

– Kundel nie wchodzi – powtórzył Stryker. – Na pewno ma pchły.

– To powinien poczuć się jak w domu – mruknął pod nosem Gideon.

– Beauty nie ma pcheł! – oburzyła się Susanna, ze zdumieniem słysząc pasję w swoim głosie. – Przyznaję, że potrzebuje kąpieli, ale nie widziałam, żeby się choć raz drapała.

Pies drgnął, wyciągnął szyję, po czym napał łbem na tylne rejony swojej właścicielki. Susanna zacisnęła usta i z pełną świadomością rzuciła wyzwanie mężczyznom.

– Niech zaczeka w sieni – negocjował jej towarzysz. – Wejdziemy tylko na chwilę.

Gospodarz coś mu odburknął, zadzierając podbródek i Gideon ruszył w ciemność. Susanna powlokła się za nim, czując przy udzie ciepło psiego ciała.

Tymczasem Stryker hałaśliwie zasuwał po kolei wszystkie rygle, a kiedy się odwrócił z łójówką w ręku, kościsty palec wycelował w Beauty.

– Siedzieć!
Kundel posłusznie opuścił zad i zajął miejsce przy drzwiach.
– Gdzie twoja banda? – zapytał Gideon.
– A gdzieżby indziej? – Starzec wzruszył ramionami. – W kuchni. – Gładząc siwą szczecinę na brodzie, zmrużył załzawione oczy. – Gdzieś ty ją znalazł?
– Długo by mówić.
– Mam czas.
– Ja nie.
Nagle, nim dziewczyna zdążyła odtrącić jego rękę, Gideon szarpnął w górę rąbek różowej sukni.
– Co ty sobie wyobrażasz?
– Pokazuję twoje pantofelki.
– Te? – Stryker spojrzał i pokręcił głową. – Do niczego.
Niewiarygodna bezczelność! Susanna wyprostowała się jak struna.
– Właśnie dlatego chcemy je przehandlować. Ona potrzebuje pary solidnych trzewików. I to właściwego rozmiaru, żeby mogła w nich iść.
Stryker w zamyśleniu poskrobał policzek.
– Przehandlować? A na co mi one? Nikt przy zdrowych zmysłach, by ich nie kupił.
Tego już było za wiele. Susanna gwałtownie wciągnęła powietrze.
– Trzeba panu wiedzieć, że to dzieło Madame Durand. Gdyby miał pan jakieś pojęcie o modzie, którego w oczywisty sposób pan nie ma, wiedziałby pan, że Madame Durand jest jedną z najwyśmienitszych modystek w Londynie.
– Mody... co? – Obrośnięta, pokryta zmarszczkami twarz zmięła się w fałdy.
– Stryker. – Gideon otoczył ramieniem wychudłe plecy kamrata. – One są jedwabne.
Prawdę mówiąc, pantofelki były satynowe, ale ich właścicielka nie sprostowała błędnej informacji.
Młody człowiek poufale poklepał Strykera.

– Podeszwy mają z najlepszej koźlęcej skóry.

Teraz już Susanna rozumiała, do czego jej towarzysz zmierza, więc wysunęła pantofelek tak, by śliczna, różowa satyna ukazała się w pełnej krasie. Szkoda było je oddawać. Idealnie pasowały do tej sukni. Jednak nie mogła włożyć się w nich po Londynie.

– Wstążki są w doskonałym stanie – wsparła wysiłki Gideona. – Ani trochę nie wystrzępione czy pomięte. – A w każdym razie były w doskonałym stanie, kiedy je w swojej sypialni zawiązywała. – Dama zapłaciłaby za takie pantofelki... – Nie miała pojęcia, ile ktokolwiek mógł za nie dać. Nigdy nawet nie widziała rachunku. –... zapłaciłaby sporo.

Stryker utkwiał wzrok w stopach dziewczyny i z namysłem pocierał szczękę.

– Kłopot w tym, że niedużo tu dam.

– Ale mnóstwo ulicznych dziewczek. – Gideon powiedział coś cicho Strykerowi do ucha i staruch zachichotał.

Susanna oblała się rumieńcem. Nic nie wiedziała o ulicznych dziewczkach ani o sprawach z rodzaju tych, o których szeptali mężczyźni, kiedy kobiet nie było w pobliżu. Przypomniało jej się, jak w dzieciństwie zazdrościła braciom wędrującym po łąkach w ich wiejskich dobrach, podczas gdy ona musiała zawsze trzymać się blisko domu.

Stryker rozłożył kościstą dłoń.

– Chcę obejrzeć.

Susanna poczekała, aż Gideon wyrazi zgodę. Kiedy to uczynił, rozejrzała się za krzesłem.

– Jest tu gdzie usiąść, żebyś je zdjęła?

– Ano równie dobrze możecie wejść do kuchni. – Gospodarz zagłębiał się coraz bardziej w mrok korytarza. – Tam se posiedźcie, póki nie znajdę prawdziwych butów.

Gideon ani drgnął, zaś Susanna tkwiła przy nim. Nie wiedziała, na co natknie się w kuchni i bez niego nie miała odwagi tego sprawdzać. Nogi się pod nią trzęsły i uginały, ale pocieszała się myślą, że przecież to znajomy Marlowe. A ona nigdy by nie

pozwoliła, żeby coś się Susannie stało. Może właśnie Marlowe przysłała do niej przystojnego złodziejaska. W końcu jeszcze przed ślubem z Dane'em przegrała zakład i obiecała szwagierce przygodę.

Bo jak dotąd to była przygoda.

– Kto jest na dole? – spytał Gideon.

– Jak zwykle. – Głos Strykera dobiegał z nieprzeniknionych ciemności.

– Więc lepiej tu poczekam.

Susanna obrzuciła go badawczym spojrzeniem. Czy wszędzie ktoś na niego czyhał?

– Masz tam na dole wrogów? – zapytała.

– Mam ich wszędzie. A ty? – W spojrzeniu jego zielonych oczu błysnęło coś nowego. Cynizm?

– O żadnym mi nie wiadomo.

– To mnie nie dziwi. Nie przeżyłaś jeszcze dostatecznie dużo, żeby się różnym ludziom narazić.

Z bliżej nieznanых przyczyn Susanna poczuła się urażona. Sama nie umiała powiedzieć dlaczego. Zdawałoby się, że brak wrogów jest czymś pozytywnym, ale w jego ustach brzmiało to, jakby – znowu – dowiodła swojej niedojrzałości.

Gideon pokręcił się po sieni i szukając Bóg wie czego, zajrzał do przyległej izby. Susanna nie pojmowała, jak mógł tam w ogóle cokolwiek zobaczyć. W tym domu nie było świec ani lamp. Nawet łojówka Strykera rzucała tylko blady, nikły blask.

– Nie chcę tak żyć, żeby przysparzać sobie nieprzyjaciół.

– To smutne. – Młodzieniec krążył po pustym pokoju i sprawdzał każdy kąt. – Żadnego wroga nie mają tylko ci, którzy nie mają własnych opinii. Tacy, co to chowają głowę w piasek i milczą, żeby na pewno nikogo nie obrazić. Czyli prawdziwi tchórze.

W życiu nikt jej bardziej nie ubliżył. Susanna gapiła się na swego rozmówcę z otwartymi ustami. Pies krótko warknął.

– Jeśli to ja jestem tchórzem, dlaczego się tu chowamy? – zapytała, krzyżując ramiona.

Gideon przerwał przeszukiwanie i podszedł do niej.

– Chcesz zobaczyć, dlaczego się tu chowamy?

Kiedy ujął to w ten sposób, z miejsca jej się odechciało. O mało nie odpowiedziała przecząco, ale wówczas on jeszcze bardziej by nią pogardzał. Naprawdę miała już tego dosyć.

– Zaprowadź mnie na dół – zażądała stanowczym tonem. – Chyba że zbytnio się boisz. – Proszę, proszę, bój się.

Gideon wziął ją za okrytą rękawiczką dłoń i pociągnął w mrok.

Pokonał drogę do kuchennych schodów raczej na pamięć, niż dlatego, że coś widział. Oczy przywykły mu już do ciemności, ale wokół nadal było cholernie czarno.

Kiedy z kuchni napłynęły głosy mężczyzn, drobne palce mocniej objęły jego dłoń. Gideon zwalczył chęć, by odpowiedzieć krzepiącym uściskiem. Przecież miał Susannę nastraszyć. Żeby przestała się upierać przy wyprawie do ogrodów Vauxhall.

– Chciałbym móc liczyć na tę rękę później – mruknął, tłumiąc czułą stronę swojej natury. – Pani wystawi pazurki, madame.

– Słucham? – Próbowała się wyrwać, ale jej na to nie pozwolił.

W głębi duszy pragnął wziąć dziewczynę w ramiona i zapewnić, że jest bezpieczna. Że będzie jej bronił. Ale prędzej podciąłby sobie gardło, niż powiedział coś równie głupiego. Winił ją za swój zamęt. Ta hrabianka wyglądała, jakby mocniejszy wiatr mógł ją zdmuchnąć. Smukła i delikatna, o jasnej, niemal półprzezroczystej skórze, przypominała laleczkę, której miejsce było w sklepie z zabawkami, a nie w zaułkach St. Giles.

Nawet jej oczy były lalczyste. Szeroko otwarte jak u sowy, ale tysiąc razy piękniejsze. Miały barwę głębokiego brązu i gęstą firankę rzęs, która opadała, omiatając policzek, kiedy coś Susannę wprawiało w zakłopotanie.

– Tutaj ostrożnie – ostrzegł, gdy dotarli do zejścia. – Stąpaj powoli.

Słaby blask przenikał ciemności u podnóża schodów.

Słyszając, że ktoś się zbliża, mężczyźni w kuchni zamilkli. Gideon zerknął do tyłu na swoją towarzyszkę i o mało sam się nie potknął. Susanna miała zaróżowione policzki, oczy ciemnobrązowe, a te jej włosy...

W przyćmionym świetle wyglądały bardziej na miedziane niż rudoblond.

Odzyskawszy równowagę, poprowadził ją na dół. Wiedział, że jego kamratom starczy jeden rzut oka, żeby pożarli ją żywcem.

A niech mnie, jeśli to nie ten hultaj, co się tak obłowił.

Gideon powitał zebranych ukłonem. Grupa mężczyzn otaczała obdrapany stół, przy którym stało tylko jedno krzesło, zresztą popsute. Na palenisku tlił się skąpy ogień, a nad nim wisiał sporych rozmiarów, czarny kociołek. Wszędzie walały się nieumyte miski i puste dzbany po piwie. W kącie kuchni chudy kot szarpał kość, szukając niedojedzonych kęsów mięsa.

Światło dwóch brudnych lampek tańczyło po ścianach, malując na nich upiorne wzory. W jego blasku twarze przypominały bardziej diabelskie niż ludzkie oblicza.

Gideon poczuł, jak żołądek podchodzi mu do gardła. Towarzystwo nie mogło już być gorsze: Rum, Lighter, Jonesy, Dab, Corker i Mill. Sześciu czartów z londyńskiego półświatka.

– Panowie – powitał ich z wymuszoną galanterią. – Jak zawsze, miło was spotkać.

– Święta racja – odparł Corker, łysy drab ze zrośniętymi brwiami. – Bardzo miło. Jest cena za twoją makówkę. Nie wiem, co tam podgrandziłeś Beezle’owi i mam to gdzieś. Jonesy – ostro skinął głową na małego, chudego człowieka, który nieustannie zacierał dłonie – skocz no po Beezle’a.

Gideon uniósł ręce.

– Panowie chwila, moment. To tak się traktuje kamrata?

– Kamrata? – Mill splunął czymś ciemnym i obrzydliwym. – A komuś ty kamrat? Tylko sobie.

– Nieprawda. W zeszłym roku we dwóch obrobiliśmy tamten dom.

– A jakże, i dałeś nogę ze srebrami. Tylko one były cosik warte – odparł Mill piskliwym głosem.

Sprawy wyglądały kiepsko. Gideon dokonał szybkiego bilansu. W ten czy inny sposób okantował każdego z nich.

– Kompletnie nieporozumienie – zbył pretensje Milla.

– A jak wtedy policaje nas osaczyły? – wtrącił się Rum. Jego ciche słowa zlewały się ze sobą. – Samem musiał się z nimi załatwić.

– Rum. – Głos i wyraz twarzy Gideona miały świadczyć o głębokim ubolewaniu. – Nie moja wina, że nie potrafiłeś przeleźć przez okno. Ale posłuchaj...

– Nie, to ty posłuchaj – powiedział Lighter, robiąc krok w jego stronę. Był olbrzymem, więc chodził nieustannie przygarbiony, żeby uchronić głowę przed uderzeniem w sufit.

Gideon cofnąłby się, ale tuż za nim zastygła skulona ze strachu Truskaweczka. Został wzięty w dwa ognie. Mięiste łapsko chwyciło go za gardło i poczuł, że traci grunt pod nogami. Majtając stopami nad podłogą, rozpoznał od razu, kiedy wzrok jego prześladowcy padł na dziewczynę. Morderczy błysk w oczach olbrzyma zgasł niczym zdmuchnięty płomień świecy.

– A to kto? – spytał Lighter zdumionym tonem.

Z karkiem unieruchomionym w muskularnych paluchach kamrata, Gideon nie mógł obrócić głowy, więc tylko zazezował w stronę Susanny. Nawet ściskając cholerny lichtarz, potrafiła wykonać dyg godny królowej.

– Panowie – powiedziała, opuszczając gęste rzęsy. – To prawdziwa przyjemność was poznać.

Lighterowi opadła szczeka. Gideon zaczął się wiercić, by uwolnić gardło z uścisku, ale olbrzym nie zamierzał go puścić. Wśród nagle zapadłej ciszy słyhać było tylko syk ognia w lampach. Mill też gapił się z otwartymi ustami i gwałtownie mrugał. Corker i Jonesy wyglądali, jakby zbyt mocno dostali po łbach, a Rum gmerał przy brudnym, zmiętym fularze, usiłując go rozprostować.

Pierwszy doszedł do siebie Corker.

– Kim jesteś, panienko?

Gideon ledwie znał swoją towarzyszkę, więc nie mógł wywnioskować, czy była bardzo zdenerwowana, ale nawet jeśli tak, nie dała tego po sobie poznać. Uśmiechała się promiennie, a miała ten rodzaj uśmiechu, który rozświetlał słonecznym blaskiem

najciemniejsze zakątki ponurej izby.

– Nazywam się Susanna.

– Susanna – zapiszczał w nabożnym zachwycie Mill.

– Przyszła panienska z nim? – Lighter potrząsnął swoją ofiarą. Gideonowi na moment pociemniało przed oczami.

– Tak, dzięki wspólnej przyjaciółce. Może panowie ją znacie? Marlowe?

– Znamy, znamy – wymamrotał Rum. – Posłała Satina do City College.

– Do Newgate – przetłumaczył Gideon rzeżącym głosem.

– I krzyżyk mu na drogę. – Jonesy pochylił się, żeby splunąć, po czym najwyraźniej zmienił zdanie i głośno przełknął.

– O tym nie słyszałam – odparła Susanna, podchodząc bliżej do światła. Jej jasna, zaróżowiona skóra i lśniące włosy sprawiały, że wśród tych brudnych mężczyzn wyglądała jak anioł. Mill cofnął się o krok.

– Wiem tylko, że pan Harrow zgodził się udzielić mi pomocy w pewnej osobistej sprawie i... – obdarzyła Lightera miłym uśmiechem – byłabym wdzięczna, gdyby go pan postawił. Wygląda, jakby nie mógł oddychać.

Nie odrywając od niej spojrzenia, Lighter rozwarł dłoń i Gideon głucho uderzył o podłogę.

– Bardzo dziękuję. Widzę, że panowie są zajęci. Kiedy tylko pan Stryker wróci z moimi trzewikami, zabiorę pana Harrowa i nie będziemy już więcej przeszkadzać.

– ‘Arrow nigdzie nie idzie – oznajmił Corker.

Gideon roztarł stłuczone przy upadku ramię i dźwignął się na nogi. Co to, do diabła, było? Dlaczego Truskaweczka nie szlochala w kącie albo nie leżała zemdlna? Spośród sześciu diabłów oczarowała przynajmniej trzech. Ale nie Corkera. Corker mógłby ją wypłoszyć z powrotem do Mayfair. Nie skrzywdziłby jej. Nikt z tej ferajny nie zrobiłby krzywdy kobiecie, ale nie byli to również mili jegomości.

– Słucham? – zdziwiła się grzecznie Susanna.

– Za ‘Arrowa wpadnie nam trochę forsy. Zabieramy go do

Beezle'a.

– Och. – Jej twarz wyrażała bezbrzeżny smutek. Gideon mógłby przysiąc, że w spuszczonych oczach załśniły łzy. Gdyby były autentyczne, sam siebie zadenuncjowałby Beezle'owi.

Susanna podniosła wzrok, w którym malowało się błaganie.

– To doprawdy fatalna wiadomość.

– Czemu? – zapytał Mill, a Rum pokiwał głową.

– Bo zapewne oznacza koniec mojego marzenia.

Jonesy dźgnął palcem w kierunku Gideona.

– To ma być to marzenie?

Susanna obrzuciła swego towarzysza szybkim spojrzeniem.

– Ach, nie. Oczywiście, że nie.

Gideon założył ręce na piersiach. Dlaczegoś poczuł się urażony. Powiedziała to tak, jakby sam pomyślał, że mógł stanowić obiekt czyichś westchnień, brzmiał absurdalnie. Należało ją poinformować, iż jednak pewna liczba dam – no dobrze, może niedokładnie dam, ale kobiet – o nim marzy.

– Pan Harrow zaoferował się zabrać mnie do ogrodów Vauxhall. To jest właśnie moje marzenie. Rozumieją panowie... – Ostentacyjnie rozejrzała się za czymś, na czym mogłaby usiąść.

Dab, który do tej pory stał z tyłu, pospiesznie podał jej popsute krzesło.

– Proszę, panienko.

– Dziękuję – powiedziała, uśmiechając się i twarz mężczyzny zapłonęła czerwienią niczym rozżarzony węgielek.

Susanna z gracją zasiadła na rozklekotanym meblu.

Zachowywała się, jakby to był tron. Starannie ułożyła fałdy sukni i splotła dłonie na lichtarzu.

– Moim marzeniem jest wizyta w ogrodach Vauxhall. Czy panowie tam kiedyś byli?

Kilku mężczyzn zaprzeczyło. Ale Corker i Lighter twierdząco pokiwali głowami.

– Są cudowne? – zapytała, wodząc spojrzeniem od jednego do drugiego.

– Nie są – wtrącił się Gideon. – To jeszcze jedno miejsce,

gdzie chodzą się pokazywać różne fircyki.

– Dla mnie były cudowne – powiedział Lighter.

Głos miał melancholijny, spojrzenie odległe. Gideona ogarnęła chęć, by pstryknąć kamratowi palcami przed nosem i zawołać: „Pobudka”.

– Naprawdę? – zaciekawiała się Susanna.

Zamiast dać mu porządnego szturchańca, pozostali złodzieje zachęcali olbrzyma, by mówił dalej.

– Była tam muzyka. I tańce. I ta muzyka była najpiękniejsza na świecie. Brzmiała jak anielskie śpiewy.

– Anielskie śpiewy? – parsknął szyderczo Gideon.

Mill spiorunował go wzrokiem.

– Proszę, niech pan mówi dalej. – Wydawało się, że Truskaweczka chłonie każde słowo Lightera. Dab, który nadal tkwił przy jej krześle, patrzył w nią, jakby wreszcie spotkał swoje bóstwo.

– Jak tylko usłyszałem to granie – ciągnął olbrzym – z miejsca zapomniałem o całym świecie. Stałem przez całą noc i słuchałem.

– I w ogóle pan nie tańczył?

Opuściwszy wzrok, Lighter popatrzył na swoje wielkie cielsko.

– A która by tam ze mną chciała zatańczyć?

– Z takim dużym, postawnym dżentelmenem jak pan? Która by nie chciała?

Gideon jęknął.

– Nie widzicie, co ona robi?

– Ja tam widzę, że przeszkadzasz, żeby nam powiedziała o swoim marzeniu – odezwał się Rum gderliwie. – Zamknij pysk.

– Dziękuję – odezwała się Susanna. – Nigdy nie byłam w Vauxhall Gardens, ale jestem pewna, że tamtejsza muzyka sprawiłaby mi tyle samo przyjemności co panu... – Powoli podniosła oczy na olbrzyma.

– Lighter – przedstawił się.

– Co panu Lighterowi. Ale proszę mi wierzyć, mam jeszcze

ważniejszy powód, żeby wyprawić się do publicznych ogrodów.

– A co to takiego? – zapytał Jonesy.

Susanna popatrzyła po kolei na każdego z nich: na Daba, Jonesy’ego, Lightera, Milla, Ruma i wreszcie na jedyne go, który miał sceptyczną minę – Corkera.

– Miłość – odparła z prostotą.

– Miłość? – ożywił się Corker.

– Nie – zajęczał Gideon. – Nie. Ty też?

– Czy był pan kiedyś zakochany, panie...?

– Corker – podpowiedział jej Dab. Po czym wskazując na każdego z mężczyzn, podał ich nazwiska. Jeśli nawet wydały się jej one dziwne^[5], w najmniejszym stopniu tego nie okazała.

– A więc, panie Corker?

– Zakochałem się właśnie tam, w ogrodach – wyznał zapytany.

Dziewczyna zaklaskała z przejęcia.

– Naprawdę?

Tego Gideonowi było już za wiele.

– Miłość, rzeczywiście – prychnął. – Jakaś ulicznica, która za szylinga poszła z tobą do Ciemnej Alei.

Corker wyrznął mięsistą pięścią w stół. Błat zaskrzypiał i zadygotał.

– To nie tak, Gid. Ona nie była żadną dziwką. – Popatrzył na swoje dłonie. – Przynajmniej myślę, że nie. – Splótł palce, potem je rozplótł. Rozmiarem przypominały kielbaski, ale poruszały się niemal elegancko. – Była piękna i miła.

Gideon przewrócił oczami. A wtedy Dab, szybki jak błyskawica, przyparł go do ściany. Ze stłumionym przekleństwem Gideon odepchnął go od siebie.

– Nigdy żeś nie miał marzeń? – warknął Dab.

– A i owszem. Marzę, żeby uciec z tego cholernego miejsca. Jak najdalej od cholernego Beezle’a. I za cholere nie obchodzi mnie muzyka. Albo miłość. – Rzucił Corkerowi pogardliwe spojrzenie.

– Nie słuchaj go – zapiszczał Mill. – Wszyscy wiedzą, że

latami kochał się w Marlowe. A ona go nie chciała.

– Idź do diabła! – Gideon rzucił się w stronę Milla, ale Lighter wyciągnął rękę, skutecznie tarasując mu drogę.

– Jeśli ma panienka marzenie, żeby iść do Vauxhall, to powinna tam panienka iść – powiedział Jonesy. – Sam panienkę zaprowadzę.

Wystąpił naprzód i stanął przed Susanną niczym rycerz z dawnych opowieści.

– Nie! – Gideon zanurkował pod ramieniem Lightera i odsunął na bok Jonesy’ego. – Ja z nią idę.

Dab ruszył ku niemu.

– Nie, jeśli ona nie zechce.

– Miss Susanno, to byłby zaszczyt zaprowadzić tam panienkę – wymamrotał Rum, podchodząc do dziewczyny.

– Dla mnie również – dodał Mill.

Gideon z desperacji wbił palce we włosy. Jak tak dalej pójdzie, połowa londyńskich złodziejasków będzie eskortować Truskaweczkę i on nigdy nie odzyska swego naszyjnika. Chyba że poszłaby w towarzystwie tych sześciu łotrów. A wtedy mógłby znowu zakraść się do jej domu, przetrząsnąć go i...

– Panowie – odezwała się wreszcie Susanna, przerywając spór, który z nich lepiej się nadaje, żeby ją odprowadzić. – Żałuję, ale obiecałam już panu Harrowowi.

– Na ‘Arrowa jest cena – przypomniał jej Corker. Groźnie zmarszczone brwi niemal ocieniały mu oczy. – Lecim z nim do Beezle’a.

– A nie mogą panowie wziąć go do tego Beezle’a jutro? Pan Harrow jest mi potrzebny tylko na jedną noc, a potem będzie całkowicie do waszej dyspozycji. – Wyciągnęła rękę, jakby podawała im Gideona na półmisku.

Brwi Corkera obniżyły się jeszcze bardziej.

– Proszę, panie Corker. Zwłaszcza pan rozumie, jak ważna jest miłość. A to moje marzenie, by odnaleźć miłość w ogrodach Vauxhall, nie dotyczy mnie samej. Chodzi o... – Powiodła po ich twarzach błagalnym wzrokiem, który mógłby zawstydzić aktorów

z Drury Lane. – Chodzi o moją matkę.

– O matkę panienci? – pisnął Mill.

– Tak. – Susanna podniosła się z krzesła. – Obawiam się, że dotychczas przynosiłam jej rozczarowanie. Więc pomyślałam, że gdyby mi się udało odnaleźć mężczyznę, którego kiedyś kochała, to wówczas może i mnie mogłaby pokochać. Chociaż trochę.

– Rozczarowanie? – obruszył się Lighter, stojąc na szeroko rozstawionych nogach, potężnych niczym pnie drzew. – Panienska jest idealna.

– Gdybyż tylko to była prawda. Obawiam się, że nie jestem taka utalentowana, jak moja matka oczekiwała. I potrafię być odrobinę impulsywna i...

– Uparta – dodał Gideon.

Dab lekko go trzepnął.

– Och, zamknij jadaczkę.

– Ale to prawda. Bywam uparta. – Susanna wlepiła wzrok w czubki swoich stóp, nadal obutych w cienkie pantofelki.

Gideon ze świstem wypuścił powietrze. Gdzie, do diabła, podział się ten Stryker?

– Więc jeśli dacie mi, panowie, szansę, żebym to jedno, jedyne marzenie urzeczywistniła, będę panom bardzo wdzięczna.

Lighter popatrzył na Daba, Dab na Milla, Mill na Ruma, Rum na Jonesy'ego, a ten na Corkera. Corker zaś westchnął boleśnie.

– Idźcie. Niech się paniencie uda z tym marzeniem.

– Co za marzenia? – dobiegł ze schodów głos Strykera. – Lepiej, żeby dotyczyły dzisiejszego wypadu na miasto i towaru, który da się spieniężyć albo będziecie marzyć pod czyimś innym dachem. – Podniósł wyżej parę trzewików, oblepionych zaschniętym błotem. – Proszę. Nie za piękne, ale bez dziur.

Susanna zamrugała, przerażona myślą, że miałyby włożyć te zdarte, pokryte sadzą, stare buciory. Widocznie uznała jednak, że lepiej się nie sprzeciwiać, bo usiadła, z gracją zdjęła pantofelki i odebrawszy trzewiki od Strykera, wsunęła w nie stopy, jakby to było królewskie obuwie wyszywane klejnotami.

Wstała, poruszała palcami, żeby sprawdzić, czy nic ich nie uciska, po czym wręczyła Strykerowi swoje satynowe pantofelki.

– Dziękuję, sir.

– Nie jestem sir. Pewnie już wam obydwójgu kiszki marsza grają. – Oстрым ruchem kciuka wskazał na Milla. – Daj im potrawkę.

Mill pospiesznie napełnił dwie miski, ustawił je na stole i dołożył kawałek chleba. Bez zbędnych ceregieli Gideon zaczął ładować jedzenie do ust.

Susannie brązowa breja wydała się mało apetyczna.

– Zachowam swoją porcję dla Beauty.

– Dla psa? – spytał Stryker. – Kundel już dostał trochę ochłapów. Najadł się do pełna.

– Och. – Susanna popatrzyła na swoją miskę. – W takim razie sama zjem... to. – Zamknęła oczy i przełknęła pierwszą łyżkę potrawki. Danie smakowało znacznie lepiej niż wyglądało, ale i tak przymuszała się, żeby je dokończyć.

Wreszcie odsunęła puste naczynie.

– Moje wyrazy uznania dla kucharki.

Stryker wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Powiem Nancy. Idę o zakład, że nigdy dotąd żadna dama nie pochwaliła jej kuchni. To teraz, moi ludzie do roboty, a wy lepiej już ruszajcie. Niedługo lunie. – Zerknął na Corkera, a potem na pozostałych. – Chyba, że któryś z was ma jakieś „ale”?

Corker wyszczerzył zęby, jednak nie zaprotestował.

– A więc dobrze – oznajmił Gideon, popychając przed sobą Truskaweczkę w stronę schodów. – Komu w drogę, temu czas.

– Lepiej się pilnuj – zawołał za nim Jonesy. – Jutro po ciebie przyjdziemy.

– Też będę za wami tęsknił.

W międzyczasie ulice niemal całkiem opustoszały. Zniknęli objijający się na każdym rogu mężczyźni i kobiety. Daleki łoskot grzmotów zmusił ich, by poszukali schronienia. Powietrze pachniało deszczem. Skłębione na mrocznym niebie chmury zapowiadały burzę. Przy odrobinie szczęścia można było dotrzeć

do Vauxhall przed ulewą. Inaczej szykowała się długa, zimna i mokra noc.

– Jestem bardzo... wdzięczna za te trzewiki – powiedziała Susanna. – Ale rozwiązaliśmy tylko połowę problemu.

Nie oglądając się na nią, Gideon zbiegł po schodkach na ulicę.

– Masz na myśli, że nadal jesteśmy bez grosza?

– Tak.

Wszystko wskazywało na to, że nie zamierzał na nią czekać, a ona nie chciała, by ją zostawił, więc pospiesznie go dogoniła.

– Nie sądzę, żeby było czym się martwić. – Wiatr szarpał mu cienki surdut i porywał słowa, więc zdołała dosłyszeć tylko ich część.

– Dlaczego? – zapytała, podnosząc głos, by się przebić przez grzechot niesionych ostrymi powiewami śmieci i świst wichru w uszach.

– Bo nie miałem pojęcia, że masz taki talent.

– Talent? – Musiała coś źle zrozumieć.

Zatrzymawszy się na środku ulicy, odwrócił się i wskazał na dom Strykera.

– A co to, do diaska, było?

– Ale...

– To, co tam wyprawiałaś. Przekonałaś tych sześciu drabów, że powinni cię chronić przede mną. Bóg mi świadkiem, że jesteś ostatnią osobą, która potrzebuje ochrony. Przypominam, że to ty zwędziłaś mój naszyjnik.

– Nie był twój. Tylko... zwędziłaś go jakiemuś nieborakowi.

– To żaden argument! – Dźgnął w jej stronę palcem. Po niebie przetoczył się grzmot i Susanna podniosła oczy. Wydawało się, że burza jest coraz bliżej.

– Rzecz w tym, Truskaweczko, że nie potrzeba nam ani pensa. Bez wątpienia potrafisz omamić każdego mężczyznę, żeby nam dał wszystko, czego chcemy.

– Jeśli sugerujesz, że użyłabym kobiecych wdzięków, żeby kogoś skusić do wypełniania moich poleceń... Mylnie mnie pan

osądza, szanowny panie.

Gideon przymknął powieki. Błyskawica oświetliła surowe płaszczyzny jego twarzy. Mógłby być z tego niezwykle szkic, gdyby Susanna miała przy sobie papier i ołówki.

Pierwsza duża kropla deszczu wylądowała na jej karku.

I jakiś dach nad głową.

– Nie miałem na myśli tego rodzaju wdzięków, Truskaweczko. Ciebie pewnie nawet nikt jeszcze nie pocałował.

Bezczelność Gideona na tyle ją zszokowała, że Susanna, nie zdołała się odciąć. Oczywiście, miał rację, ale skąd to wiedział? Skąd wiedział, że nie była kobietą doświadczoną? Ostatecznie stawiała czoło sześciu zbirom, a wielki Gideon Harrow też robił to, czego chciała.

Pocałunek to dla niej drobiazg. Nie na takie rzeczy było ją stać.

– Lepiej chodźmy – zakomenderował Gideon. W jego oczach pojawił się cień nadziei. – Chyba że masz dość i chcesz wracać do domu?

– Nigdy.

– Wiedziałem, że tak powiesz. – Ciężko stąpając, ruszył przed siebie. Susanna musiała pobiec, żeby za nim nadążyć.

Nim zdołała złapać oddech, kompletnie straciła rozeznanie, gdzie się znajdują. Gideon prowadził ją przez labirynt wąskich ulic, zaułków i starych budynków, a nawet przez cmentarz. Tymczasem pojedyncze krople deszczu zmieniły się w kapuśniaczek. Ubranie Susanny przesiąkło wilgocią. Dziewczynie było zimno.

Rozległ się kolejny grzmot, tak donośny, że aż podskoczyła, a Beauty zaczęła skomleć. Łoskotowi towarzyszyła ściana deszczu, jak gdyby rozdarły się niebiosa i wypuściły morze wody. Z ręką na psim karku Susanna brnęła za Gideonem przez oślepiającą ulewę, ledwie dostrzegając jego sylwetkę. Ulicami już zaczęły rwać strumienie, które, mimo solidnych trzewików, moczyły dziewczynie stopy.

– Lepiej gdzieś wejdźmy – krzyknął Gideon. – Bo inaczej

zaraz odpłyniemy.

Przytaknęła i rozejrzała się. Wszystkie sklepy już pozamykano, jednak po drugiej stronie ulicy był szynk. Damy nie chadzały do szynków, a już na pewno nie do takich, na jaki ten wyglądał, ale naprawdę nie miała wyboru.

– Tam? – Wskazała oświetlone okno.

– Nie. To knajpa. Zbyt wiele osób może mnie rozpoznać.

– Właściwie ilu ty masz wrogów?

– Nie chcesz znać odpowiedzi. Idziemy. – Złapał ją za rękę i przez wodę po kostki pociągnął w stronę zabudowań. Susanna była zadowolona, że jej nie puszcza. Przy tak ulewnym deszczu i rwącym strumieniu wokół stóp łatwo mogła się potknąć albo zabłądzić. Gideon prowadził ją, omijając większe odpadki – polano, deskę, martwe zwierzę – które spływały ulicą.

– Beauty! – zawołała, chociaż ta dreptała tuż za nią. – Nie oddalaj się.

Wreszcie pchnął drzwi jakiegoś budynku, ale nie ustąpiły. Susanna przywarła plecami do futryny, usiłując znaleźć choćby znikomą osłonę przed burzą, a pies przycupnął koło swojej pani. Klnąc na czym świat stoi, Gideon napał na drzwi z całych sił. Bez rezultatu.

– Nie możesz się włamać?

– Nie przy takiej pogodzie. – Woda lała mu się po twarzy, ciemne włosy przywarły do czoła i policzków. Co prawda zasłoniły zaognioną bliznę na skroni, ale w tym momencie wyglądał raczej na niebezpiecznego niż przystojnego.

Dał krok do tyłu, odwrócił się i zaczął szturmować drzwi, waląc w nie ramieniem. Zadrżały, ale zamek trzymał mocno. Z grymasem bólu Gideon roztarł siniaka.

– Może powinniśmy spróbować gdzie indziej.

– Nie prosiłem o dobre rady – warknął. Beauty szczerką ostrzegawczo, a Susanna w dowód uznania ją pogłaskała.

Odstąpiwszy tym razem dalej, Gideon przygotował się do skoku i z rozpędu znowu zaatakował. Dziewczyna przymknęła powieki. Kiedy rzucił się na drewnianą zaporę, poczuła

zaskakującą siłę uderzenia. Deski zaskrzypiały i pękły z trzaskiem, więc otwarła oczy. Górna część drzwi przesunęła się do wewnątrz. Nie był to wielki otwór, ale gdyby Gideon zdołał się przez niego przecisnąć, mógłby otworzyć zamek od środka. Poruszając obolałym ramieniem, młodzieniec przyjrzał się wybitej dziurze. Jedyne problem polegał na tym, że nie mógłby się w niej zmieścić.

– Podaj mi stopę – zakomenderował.

– Co?

– Ty wchodzisz. Podaj stopę. Podsadzę cię.

– Nie ma mowy! A jeśli tam ktoś jest?

– To się grzecznie przywitasz i powiesz, żeby następnym razem otworzył to diabelskie cholerstwo.

No, jasne. Susanna miała już dość.

– Przestań złorzeczyć. Co jak co, ale właśnie teraz potrzebna nam boska pomoc.

– Słoneczko, Pan Bóg nie odemknie dla nas tych drzwi. Ty to zrobisz. Podaj mi stopę.

Popatrzyła na Gideona. Woda lała się jej na głowę i wpadała do oczu. Odpowiedział twardym spojrzeniem.

– Dobrze.

Schylił się i splótł palce.

– Lepiej nie próbuj gapić się na moje kostki.

Gideon walnął ręką w ścianę.

– Myślisz, że to wszystko po to, żeby zajrzeć ci pod spódnicę? Kobieto, nie dałbym ani ćwierć pensa za te widoki. Nie ma tam nic, czego bym już nie widział.

Znowu złączył dłonie i potrząsnął nimi. Susanna wsunęła stopę w to zaimprovizowane strzemię, wdzięczna, że strugi deszczu przesłaniają jej zarumienione policzki. W towarzystwie Gideona ciągle robiła z siebie idiotkę. Nie mogła już się doczekać, kiedy dotrą do publicznych ogrodów i nie będzie musiała dłużej go znosić.

Dźwignął ją do góry. Dziewczyna chwyciła za krawędź drzwi, żeby się podeprzeć, po czym przez dziurę wrzuciła swój lichtarz. Usłyszawszy, jak upadł, z impetem wepchnęła ciało do

wąskiego, prostokątnego otworu, krzywiąc się, kiedy drewniane zadry zahaczyły o jedwab i rozdarły go przy ramieniu.

Gdyby wiedziała, że to tak będzie, oddałaby ten cholerny naszyjnik na pierwsze słowo prośby.

I teraz to ona zaklęła!

– Wpełzaj! – popędzał ją Gideon.

Próbowała. Tylko że najwyraźniej uwięzły jej biodra. Mogła poruszać nimi bardziej energicznie, ale wyszczerbione deski wbijały się w skórę przez cienki materiał. Susanna nie chciała całkiem go zniszczyć.

– Nie mogę. Porwę suknię. Pomóż mi zejść.

Nie była pewna, co Gideon odpowiedział, ale zabrzmiało to jak: „Diabła tam pomogę!”

Nagle poczuła na pośladkach męskie dłonie i wrzasnęła z oburzenia.

Daleki od tego, by się przejąć, pchnął ją mocniej.

– Natychmiast zabierz ręce! – krzyknęła. Jej głos zgubił się w huku pioruna i szumie deszczu.

Jeszcze jedno pchnięcie i podłoga pomknęła ku niej lotem błyskawicy. Susanna wyciągnęła ręce, żeby złagodzić upadek. Pomimo starań, uderzyła czołem i łokciem o ziemię – aż jęknęła z bólu. Łkając, przeturlała się na plecy, a następnie, palec po palcu, zaczęła ściągać poszarpane rękawiczki.

Gapiała się na ciemny sufit. W uszach jej dzwoniło, w głowie łomotało. Noga paliła ją żywym ogniem, jednak miała wrażenie, że czoło ucierpiało najbardziej.

– Truskaweczko!

Poczuła wściekłość. To był ten złodziej. Wepchnął ją przez wyłom w deskach i o mało nie zabił. A teraz chciał, żeby mu otworzyła.

– Co z tymi sakramenckimi drzwiami?

Miała ochotę odesłać go do diabła, ale pamiętała, że na zewnątrz czeka jej pies. Nie mogła pozwolić, żeby Beauty trzęsła się na deszczu, ani uznać, że Gideon zaopiekuje się zwierzęciem.

– Truskaweczko! – wrzasnął znowu.

– Słyszę cię! – odwrzasnęła. Mama padłaby trupem, gdyby ją teraz usłyszała. Susanna darła się jak przekupka.

Podniosła się z jękiem i pokuśtykała do drzwi. Obiema rękami macała po drewnie, dopóki nie trafiła na masywną sztabę. Nic dziwnego, że złodziej nie był w stanie jej naruszyć. Wytrych też by tu nie pomógł.

Pchnęła belkę, ale ta ani drgnęła. Susanna napięła mięśnie i spróbowała jeszcze raz. I jeszcze. Opierając głowę o drzwi, przełknęła łzy. Nie zamierzała się mazać. Niespełna godzinę wcześniej stawiała czoło sześciu przerażającym mężczyznom. Była silna. Nie rozplakała się.

Okropnie rwała ją noga. Dziewczyna pochyliła się i przycisnęła do niej dłoń. Palce zrobiły się śliskie od czegoś gęstszego niż woda.

Były zakrwawione.

Nic dziwnego, że tak bolało.

– Susanno?

Użył jej prawdziwego imienia. Musiał być mocno zaniepokojony, że zostawi go na dworze. I zostawiłaby, gdyby nie pies.

– Sztaba blokuje drzwi – zawołała. – Próbuję ją podnieść.

– Podważaj ramieniem – odparł Gideon. – Pewnie się zaklinowała.

– Jasne, moim ramieniem – burknęła Susanna. Ramię doskwierało jej, bo pokaleczyła się, wpełzając przez wyszczerbiony otwór. Jednak teraz przykucnęła, podłożyła je pod belkę i zaczęła pchać do góry, używając mięśni nóg i ignorując ból przeszywający golenie. Wreszcie, gdy zadyszana chciała się poddać, sztaba drgnęła.

– Mam ją! – zawołała Susanna. Podniecenie pulsowało w całym jej ciele.

Nie czuła już żadnych dolegliwości, tylko napierała z całych sił. Podważyła belkę, złapała w obie ręce i cisnęła na ziemię. Drzwi otworzyły się. Światło błyskawic wydobyło z mroku ociekające deszczem sylwetki Gideona i psa.

– Zrobiłam to! – powiedziała, szczękając zębami. Letni deszcz przyniósł znaczne ochłodzenie. Susanna zadygotała i o mało nie upadła.

Gideon rzucił się, żeby ją złapać.

– Cholera, co ci się stało?

– Nic. Ja tylko... – Zerknęła w dół, zobaczyła krew na jedwabiu i zachwiała się. Ramiona Gideona nadal ją otaczały i podtrzymywały.

Skądś dobiegło szczekanie psa, a potem zaczęła spadać, spadać, spadać.

Och, nie, tylko nie to.

Oczy Truskaweczki zamknęły się, kończyny zwiotczały. Ale on nie przyjmował tego do wiadomości. Gideon nie uznawał omdleń. Wniósł dziewczynę pod dach i posadził, opartą o ścianę. Beauty podeszła do swojej pani. Skomlać, zaczęła lizać jej twarz, za co nawet poczuł do tej bestii odrobinę sympatii.

Podczas ulewy dzielnice nędry zawsze tonęły w wodzie i błocie, więc każdy, kto nie miał gdzie mieszkać lub mieszkał w piwnicznej izbie, szukał wówczas schronienia. Domknawszy drzwi, Gideon z powrotem zablokował je ciężką belką. U góry, wśród rozłupanych desek, pozostała dziura. Niewiele mógł z nią zrobić, jednak chciał, by wejście było zamknięte na tyle, na ile się dało – zabezpieczone przed deszczem i nieproszonymi gośćmi.

Beauty nadal skomlała, lecz mimo mroku Gideon zdołał dostrzec, że Truskaweczka już przytrzymuje ją na odległość ręki, by uchronić się przed dalszym oblizywaniem.

– Na chwilę prawie mi odpłynęłaś.

– Ta krew... – Dziewczyna szczykała zębami tak bardzo, że chcąc zrozumieć, co mówi, musiał przysunąć się bliżej i nad nią pochylić. – Nie jestem przyzwyczajona do takiego widoku.

– Krew? – Gideon złapał ją za ramię i pod palcami poczuł wychłodzoną skórę. Była wilgotna, ale nie śliska od krwi. Potrafił to odróżnić.

– Zabierz ręce!

– Gdzie się zraniłaś? – Nie zważał na to, w jaki sposób małe dłonie daremnie usiłowały go odepchnąć. Kiedy dotknął jej nogi, Susanna zeszywniała i krzyknęła. Odsuwał warstwy przemoczonego jedwabiu, dopóki nie dotarł do nagiego ciała powyżej kostki.

– Puść mnie.

– Och, zamknij się choć na chwilę.

W psim gardle zabulgotał groźny pomruk. Gideon odpowiedział podobnym.

– A już zaczynałem cię lubić – warknął.

Krew ściekała po jej nodze, gęściejsza i cięższa niż deszczówka, ale po prostu mogła być zmieszana z błotem. Do diabła, miał nadzieję, że rana nie krwawiła tak obficie, jak się wydawało. Czego by teraz nie dał za świecę albo lampę. Albo za ciepły koc.

Pod jego rękami Susanna gwałtownie dygotała. Gideon zaklął po cichu. To jeszcze jeden powód, dla którego nie chciał mieć jej na głowie. Mogła sobie być ponętna, ale należała do tego rodzaju dziewcząt, które łatwo się przeziębają i schodzą z tego padołu. A potem Gideon dostałby stryczek za morderstwo.

– Poczekaj tu – powiedział. – Muszę wyjść na kwadrans.

– Zostawiasz mnie? – Sprawiała wrażenie niemal przerażonej.

– Nie możesz znieść rozstania ze mną nawet na chwilę?

– Będę szczęśliwa, jeśli nigdy więcej cię nie zobaczę! – rzuciła wojowniczo.

Ucieszył się, słysząc, jak żywo zareagowała. Nie utraciła nic ze swojej zaciętości.

– A jednak zobaczysz. Idę do szynku. Potrzeba nam różnych rzeczy.

– Do szynku? Niedawno mówiłeś, że masz tam zbyt wielu wrogów.

– Bo mam.

Zacząła oponować, ale już jej nie słuchał.

– Trzymaj psa przy sobie. Myślę, że mało kto jest na tyle głupi, żeby w taką pogodę pałętać się po ulicy, ale lepiej nie ryzykujemy.

– Nie możesz mnie zostawić!

Jednak Gideon podszedł do drzwi i uniósł przeklętą sztabę. Nadal lało. Większa ilość wody nie robiła już żadnej różnicy jego ociekającemu ubraniu, lecz i tak postawił kołnierz surduta, podciągając go niemal na głowę. Może nie była to

najskuteczniejsza osłona przed deszczem, tym niemniej pozwalała ukryć twarz.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Gideon wtopił się w gromadę mokrych i brudnych mężczyzn, którzy tłoczyli się w szynku. Część z nich wypila już tyle ginu, że mało co ich obchodziło. Odsunął na bok jakiegoś nieprzytomnego obdartusa i położył na kontuarze cztery pensy – ostatnie, jakie miał. Lepiej, żeby odzyskał wreszcie ten naszyjnik. A w międzyczasie musiał ukraść to, czego nie mógł kupić.

Szynkarz za barem nakrył monety dłonią.

– Co ma być?

– Flaszka ginu, kawałek chleba.

– Tu nie gospoda. Nie ma chleba.

Gideon wyciągnął rękę.

– To oddawaj moją forszę.

Szynkarz parsknął. Podbródki mu się trzęsły, kiedy zanosił się śmiechem.

– Zobaczymy, co da się zrobić.

Brzęknął monetami w zaciśniętej pięści i z trzaskiem postawił na kontuarze małą butelkę. Wałkując ją w dłoniach, Gideon rzucił ukradkowe spojrzenie za siebie.

Diabli nadali. Przy stole po prawej stronie popijał Jack Gipson. A Gipsonowi był winien trochę grosza. Wcisnąwszy twarz w podniesiony kołnierz, młodzieniec zerknął na lewo.

Wspaniale. Tam dla odmiany sterczał Dagget. Herszt złodziejasków z Fleet Street nienawidził Gideona prawie tak bardzo jak Satina. Powodem był dawny spór o terytoria, który wygrała banda z Covent Garden. Dagget nigdy im tego nie zapomniał i jego chłopcy gnębili konkurentów, kiedy tylko mieli okazję. Dzięki Marlowe, Satin trafił do kryminału, więc wściekłość Daggeta skupiała się obecnie na Gideonie.

– Proszę.

Gliniasty klocek stuknął przed nim o kontuar.

– Co to ma być?

– Chleb. – Szynkarz wyciągnął butelkę ginu i przesunął w

stronę gościa przy odległym krańcu baru.

– Świeży?

Podbródki zatrzęśły się, jeszcze nim ciężkie łapsko sięgnęło po kłopotliwego klienta. Znów uratował go tylko szybki refleks. Gideon złapał swoje nabytki i odskoczył w chwili, gdy czubki grubych paluchów musnęły mu szyję. Jeszcze zdążył wyszczerzyć zęby w triumfalnym uśmiechu, po czym potknął się o czyjąś wielką stopę. Wylądował na siedzeniu, a bochenek chleba grzmotnął go w policzek.

– Będę miał siniaka – mruknął i spojrzał w górę. Prosto w brzydką gębę Daggeta.

Herszt złodziei z zadowolenia wytrzeszczył wylupiaste oczy. Rozdęły mu się szerokie nozdrza.

– Gideon Harrow – przemówił chrapliwym, zduszonym głosem. Plotki głosiły, że Dagget uciekł kiedyś spod szubienicy, ale pętla prawie zdążyła zmiażdżyć mu gardło. Z pewnością brzmiał jak człowiek, który o mało nie zadyndał.

– No, no, no – ciągnął opryskliwie. – Patrzcie tylko, kogo tu lichy przygnało.

– Dla ścisłości, to był pies – odparł Gideon, z pomocą dłoni przesuwając się do tyłu niczym wyrzucony na ląd krab. – A skoro o tym mowa, szczeniak jest głodny. Pora iść. – Poderwał się z podłogi i ruszył biegiem w stronę schodów, które wiodły do pokojów na piętrze. Musiał jeszcze zdobyć choć odrobinę żaru.

– Harrow! – ryknął Dagget.

Gideon skrzywił się. Kto by przypuszczał, że ten łajdak potrafi narobić tyle hałasu?

– Harrow? – dołączył kolejny głos.

Tak donośnie wywołany młodzieniec mógł założyć się o dziesięć funtów – oczywiście, gdyby je posiadał – że ów głos należał do Jacka Gipsona. Nie odważył się jednak zatrzymać, by zerknąć za siebie, bo na karku czuł paskudny oddech Daggeta. Więc uciekał ile sił w nogach.

– Na górę nie wolno! – zawołał szynkarz.

Gideon pokonał resztę stopni po dwa naraz i wpadł w

pierwsze otwarte drzwi, jakie dostrzegł. Zatrzasnął je, podparł rozklekotanym krzesłem, które i tak nikogo by nie powstrzymało i prześlizgnął się do następnego pokoju. W jednym z jego kątów na małym łóżku wielka kobieta, całkiem naga oprócz pantofli, siedziała okrakiem na jakimś mężczyźnie. Ujeżdżała go z takim wigorem, że aż pot spływał jej po plecach.

– Nie przeszkadzajcie sobie – powiedział uprzejmie Gideon.

Kobieta wrzasnęła i cisnęła weń pantoflem. Gideon zrobił unik, po czym pomknął w stronę paleniska. Drzwi w sąsiednim pomieszczeniu puściły właśnie w chwili, gdy pochwycił z podłogi jakąś białą szmatkę – damski czepeczek – osłonił nią rękę i sięgnął po kawałki rozżarzonego węgla.

– Mam.

Drugi pantofel trafił go w skroń. Zatoczywszy się do tyłu, nieszczęśnik zaklął i z dłonią przy obolałej głowie, próbował znaleźć drogę ucieczki. Drzwi, przez które tu wpadł, blokował Dagget, a spod drugich wydzierła się na nich naga olbrzymka.

Gideon obrócił się dookoła w poszukiwaniu okien, a kiedy żadnego nie znalazł, zaczął planować, jak tu przetrzymać tęgie lanie. Herszt złodziei roześmiał się i groźnie uniósł ręce.

– Posłuchaj, Dagget...

Za plecami kobiety zaskrzypiały otwierane drzwi i do pokoju wpełchnął się szynkarz.

– Jean! – ryknął rozwścieczony. Po czym zaatakował intruza w – zapewne swoim własnym – łóżku, a naguska skoczyła mężowi na plecy.

W tym momencie Gideon zrejterował.

Jednak na drodze stanął mu Dagget. Uchyliwszy się przed pięścią, która szczęśliwie nie dosięgła jego nosa, uciekinier kamiennym bochenkiem wyrznął napastnika w brzuch, a kiedy Dagget zgiął się z bólu, wyminął go i dotarł do schodów. Ale zbiegając na dół, gwałtownie wyhamował, bowiem u ich stóp ujrzał Jacka Gipsona.

– Trafnie odgadłem, że poprobujesz tędy.

– Należy się nagroda – wysapał Gideon pomiędzy jednym a

drugim oddechem.

– Nagroda? Jaka nagroda?

– O, taka! – I cisnął czepek z gorącymi węgielkami.

Pochwyciwszy zawiniątko w locie, Gipson z krzykiem przerzucił je z ręki do ręki, po czym upuścił i wybiegł na deszcz ochłodzić zaczerwienione dłonie.

Nie zwlekając ani chwili dłużej, Gideon pokonał resztę schodów, podniósł czepek za wstążki i uciekł.

– Nie zbliżaj się! Jestem uzbrojona.

– W co? W wachlarz?

– Gideon? – W głosie Susanny zabrzmiała nadzieja.

Błyskawica, która właśnie rozcięła niebo, oświetliła skuloną w kącie postać z lichtarzem.

Jego dobry znajomy lichtarz. Gideon nadal miał na głowie pamiątkę po ich pierwszym spotkaniu, a teraz jeszcze bolała go twarz od pantofli szynkarki. Co za cholerna noc.

– Tak. Więc odwołaj tego obronnego psa.

– Beauty, to swój.

Przeklęta Beauty doskonale wiedziała, kto przyszedł. Po prostu go nie lubiła.

Gideon znów założył sztabę na drzwi, zamykając ich oboje w środku, a intruzów pozostawiając na zewnątrz.

– Już się bałam, że coś się stało. Nie było cię całą wieczność.

– Spotkałem kilku starych druhów.

Kolejny błysk rozświetlił mrok. Gideon ruszył w głąb ich kryjówek, gdzie sterczały resztki zrujnowanych schodów.

Susanna wyraźnie się obraziła.

– Więc hulaleś, kiedy ja tu po ciemku umierałam ze strachu.

– Coś w tym rodzaju.

Schylił się. Na posadzce leżała sterta starych broszur i gazet.

– Co ty tam robisz?

– Gromadzę materiał na podpałkę.

Wśród przeciągającej się ciszy zebrał naręcz papierów. Niektóre były tak stare, że mogły się rozpaść natychmiast po dotknięciu rozżarzonego węgla.

– Ale tu nie ma kominka. Ani pieca.

– Nie szkodzi. – Upuścił papiery na środku pomieszczenia.

Z nadgarstka Gideona zwisał czepek. Wystarczyło, że ujął go za brzegi i odwrócił do góry nogami, a wysypał całą zawartość prosto w stertę podpałki. Przez długą chwilę nic się nie działo. Gideon kucnął i zaczął dmuchać na węgielki, żeby zapłonęły. Rozkaszał się, dym wypełnił mu nozdrza, ale dmuchał dalej, delikatnie. Jakaś stara gazeta zaczęła się tlić, potem następna.

Mógł podsycać ogień. Podpałki mieli dość na godzinę, czy coś koło tego, więc zrobił sobie przerwę i zaczerpnąwszy tchu, wydobyl z kieszeni butelkę.

Ponad płomieniem jego spojrzenie napotkało oczy Susanny. Przytknął flaszkę do ust, pociągnął łyk ginu, skrzywił się, pociągnął następny.

– Pijesz? W takiej chwili?

– Pozwól, Truskaweczko, że dam ci pewną radę – odparł, czując, jak pali go w gardle. – Kiedy mężczyzna dostarcza ci ogień, picie i jedzenie – cisnął na ziemię pakunek w kształcie cegły – podziękuj i trzymaj język za zębami.

Dziewczyna zacisnęła usta. Widać było, że toczy jakąś wewnętrzną walkę.

– Dziękuję – powiedziała w końcu cicho.

W odpowiedzi uniósł do góry butelkę.

– Proszę bardzo. A teraz wypij trochę.

– Nie. Stąd czuję ten obrzydliwy zapach.

Podrzuciwszy do ogniska kolejne zwitki papieru, Gideon usiadł koło Susanny i oparł się plecami o ścianę.

– Łyczek cię nie zabije, a pomoże ci się rozgrzać. Tylko jeden. Reszta pójdzie na przemycie nogi.

– Masz zamiar wylać mi to na nogę?

Wydał potwierdzający pomruk.

– Widziałem raz, jak doktor to robił. Powiedział, że alkohol czyści rany lepiej niż woda. – Wręczył dziewczynie gin. – Dalej, Truskaweczko. Pij na zdrowie.

Susanna zmarszczyła nos.

– Nie mogę!

– Nie wachaj. Pij. No, już.

Zacisnął jej nozdrza i podetknął butelkę. Susanna posłała mu mordercze spojrzenie – mniej niż skuteczne, skoro trzymał ją w taki sposób – i upiła łyk. Natychmiast spróbowała wypluć, ale Gideon przesunął dłoń na jej usta.

– Przełykaj.

Z furją w oczach zrobiła, co kazał. Puścił ją, a ona rozkasłała się gwałtownie.

– Och! Ty łotrze!

– Zaczekaj parę chwil. Zaraz będzie ci cieplej. A teraz obejrzę twoją nogę.

Wyprostowała się sztywno.

– Nie ma mowy!

Gideona ogarnęła nieodparta chęć, by dopić gin do dna i uwolnić się od tej marudy na kilka godzin.

– Truskaweczko – powiedział, zdobywając się na cierpliwy ton – ognisko nie będzie się palić przez całą noc. Daj mi zobaczyć, czy bardzo się zraniłaś.

– Nie mogę ci pokazać nóg.

Beauty zaszczekała, przyznając swojej pani rację.

– Posłuchaj, już widziałem kobiece nogi. Twoje to nic nowego.

Susanna zmierzyła go sceptycznym spojrzeniem.

– Nie sądzisz, że gdybym miał w planach gwałt, to do tej pory bym to zrobił? Widok twojej brudnej, poplamionej krwią łydki nie pchnie mnie w odmęty lubieźności.

Na te słowa wreszcie się uśmiechnęła.

– O, więc jednak potrafisz. – Gideon radośnie wyszczerzył zęby. – To przez te odmęty lubieźności? Uznałem, że źle brzmią.

Parsknęła krótkim, gardłowym śmiechem.

– Jesteś zupełnie inny, niż myślałam.

– Podciągnij spódnicę. – Mógł się założyć, że dotychczas żaden mężczyzna tak do niej nie mówił.

Susanna zamknęła oczy i uniosła rąbek sukni, odsłaniając kolana. Jej pończochy wisiały w strzępach, jedną goleń pokrywała skorupa krwi. Tak jak przypuszczał, miała paskudne skaleczenia.

Natomiast tym, czego nie przewidział, był nagły przyływ pożądania, które ogarnęło go, gdy ujrzał jasną skórę tej drugiej, nieporanionej łydki. Tak, to prawda, oglądał już niejedne kobiece nogi, ale nigdy takich jak te. Były barwy kremowej, kształtne; ani zbyt pulchne, ani za chude. Jej skóra miała różowawożółcisty odcień – możliwe, że tylko w blasku ognia, ale Gideon tak nie sądził. Z brzydkich trzewików wyzierały szczupłe kostki. Widział ich kruchy zarys i ogarnęła go przedziwna chęć, żeby jej kostkę pocałować, żeby dotknąć tego delikatnego ciała.

– O, dobry Boże.

Spojrzenie Gideona błyskawicznie pomknęło ku twarzy, która zbieleła jak płótno. Wargi dziewczyny trzęsły się.

– Nie mogę na to patrzeć. Chyba mi słabo.

– Żadnych omdleń. Żadnych waporów. – Wepchnął jej w rękę butelkę i siłą przysunął do ust.

Niechętnie, ale jednak Susanna pociągnęła odrobinę ginu. I tym razem przełknęła bez protestu.

– Nie jest tak źle – powiedział Gideon, ujmując w palce falbaniastą halkę i ścierając nią trochę brudu i krwi. Susanna sapnęła.

– Bardziej zaboli, kiedy będę przemywał. Lepiej wypij jeszcze łyk, żeby się wzmocnić.

– Nie. – Potrząsnęła głową. – Daj mi spokój.

Gideon podniósł rękę. Butelka, którą trzymał, zamigotała w blasku ognia.

– Twój wybór, ale jeśli wda się zakażenie, to kto wie, co się może zdarzyć. Widywałem chłopaków z takimi skaleczeniami. Po kilku dniach z rany zaczyna sączyć się żółtozielone świństwo, a potem kończyła cała czernieje i odpada. W ten sposób ciągle ktoś traci rękę albo nogę. Chyba nawet jakaś przepływała ulicą, kiedy wracałem.

– Kłamiesz.

Przechylił głowę na bok.

– Rób, co chcesz – to twoja noga. Zresztą całkiem ładna.

Dziewczyna gwałtownie wciągnęła powietrze.

– Powiedziałeś, że nie będziesz patrzeć na mnie pożądliwie.

– Nie, powiedziałem, że cię nie zniewolę. A teraz, mam polać ranę, czy zaryzykujesz, że noga może ci szernieć i zgnieć?

– Daj mi jeszcze – zażądała.

Gideon podał jej gin.

Tym razem łyknęła tak solidnie, że musiał oderwać jej butelkę od ust.

– Wystarczy. Mam tylko tyle.

Ale Susanna rozkaszała się i pewnie nawet go nie usłyszała. Wreszcie podniosła oczy, przyciskając dłoń do gardła.

– Zrób to – szepnęła.

– Jesteś pe...?

– Zrób! – Jej głos brzmiał chrapliwie, ale nie musiała po raz kolejny powtarzać.

Jedną ręką Gideon przytrzymał jej zdrową nogę, by się nie ruszyła, a w drugiej uniósł butelkę. Zamierzał polać ranę natychmiast, ale jego uwagę przykuło ciepło i gładkość, które wyczuwał pod dłonią. Zerknął w dół, żeby sprawdzić, czy aby dotyka nagiej skóry, a nie jedwabiu sukni.

Jego ciemna ręka spoczywała na jej bladym ciele; jego palce niemal całkowicie obejmowały jej łydkę. Jak to, u licha, możliwe, że Truskaweczka miała taką miękką skórę? Mimo błota i deszczu, wydawało mu się, że wyczuwa leciutką woń kwiatów. Jakiś rodzaj mydła? Czy to był zapach jej sukni? Ciała? Nigdy nie znał kobiety, która by pachniała w podobny sposób, tak rozkosznie i świeżo.

– Gideonie?

– Och, dobrze. – Znowu uniósł butelkę. I polał.

Susanna wrzasnęła i wyrznęła go kolaniem w szczękę.

Trzymając się za twarz, z krzykiem upadł do tyłu.

– A niech to wszyscy, wszyscy diabli! – Szczęka bolała go tak jak wtedy, kiedy pewien młodociany złodziejaszek zamierzył się na niego pogrzebaczem. Najpierw policzek, potem skroń, a

teraz podbródek.

– Przepraszam! – Dziewczyna kurczowo złapała swego towarzysza za ramię. – Bardzo przepraszam.

Gideon usiadł.

– Nic mi nie jest. – Odtrącił jej rękę. Nie chciał, żeby mu współczuła. – Myślę, że teraz jesteśmy kwita.

Suknia znów zakrywała ją po kostki, więc zapytał, wskazując na rąbek spódnicy:

– Mogę?

Dziewczyna skinęła głową. Gideon uniósł warstwy tkaniny i przyjrzał się swojej robocie. Noga wyglądała znacznie lepiej, rana była niemal całkowicie oczyszczona z ziemi i sadzy. W świetle ognia nie widział zbyt dobrze, ale nie wyglądała na głęboką.

– To tylko zadrapanie – powiedział, opuszczając rąbek sukni.

– Zadrapanie?

Bezpieczniej było się cofnąć. Jego twarz nie zniosłaby już kolejnego uderzenia.

– Poważne zadrapanie.

– Nienawidzę cię – oznajmiła Truskaweczka, opierając głowę o ścianę.

Gideon cisnął w płomień kolejny zwitek papierów. Ze wszystkich sił próbował skupić wzrok na ognisku. Nic to nie pomogło. Oczyma wyobraźni widział łagodne linie kształtnych nóg. W opuszkach palców czuł mrowienie, tak bardzo pragnął dotykać tej niesamowicie miękkiej skóry.

– Możesz mi wierzyć, że z wzajemnością. – Więc jeśli tak czuł, dlaczego chciał znów zobaczyć jej nogę? Truskaweczka nie należała do typu kobiet, które go zwykle pociągały. Nie żeby kiedykolwiek miał okazję ten jej typ bliżej poznać.

Za swój ideał Gideon uważał Marlowe, ciemnowłosą, z intensywnie niebieskimi oczami i pełnym, ponętym ciałem, które zręcznie potrafiła skrywać. Marlowe była uroczą oszustką o bystrym umyśle i większej dawce odwagi niż niejeden znany mu mężczyzna.

A ta dziewczyna...

Zerknął na Susannę.

Nie przypominała Marlowe.

Truskaweczka, wysoka i szczupła, też posiadała krągłości – widział je wystarczająco dobrze, kiedy uniosła skraj sukni – ale jej krągłości były subtelnie zarysowane. Nie tak, jak bujne kształty, które preferował u niewiast. I poza tym miała rude włosy. Mniej rude niż Szkoci czy Irlandczycy, ale o delikatnym odcieniu blond z domieszką bladej czerwieni. Częściowo upięte, zwisały prawie do ramion, a reszta wilgotna i potargana spadała na plecy.

Może ta rudość tylko mu się przywidziała w blasku ognia.

Jednak ogień nie mógł go omamić co do długości i gęstości loków. Musiały sięgać co najmniej do pasa i były tak obfite, że mógłby z nich ukłęcić solidną linę.

Susanna otworzyła oczy. Pies trącał ją nosem, więc obróciła głowę, by na niego spojrzeć. Nagle gwałtownie się wyprostowała. Wyglądała, jakby zobaczyła szczura.

– Gideonie!

– Gdzie go widzisz? – spytał młodzieniec, rozglądając się dookoła. Szczury były paskudnymi, małymi gałganami. Już tyle razy został ugryziony, że odczuwał do nich osobistą niechęć.

– Ona jest biała. Pod tym całym błotem i sadzą jest biała!

Zajęło mu moment, zanim się zorientował, że mówiła o Beauty. Pewnie deszcz zmył z sierści trochę brudu. Gideon nazwałby ten kolor raczej szarym, ale po zastosowaniu mydła i kolejnym płukaniu psie futro mogło okazać się bieluteńkie.

– Co tylko dowodzi, że pozory mylą. – Dołożył do ognia następną porcję papierów.

Truskaweczka podniosła głowę – jeszcze jeden pukiel włosów opadł jej na ramiona – i obrzuciła swego rozmówcę przeciągłym spojrzeniem.

– Brook, mój brat, zawsze powtarza, żeby nie sądzić po pozorach.

Gideon chrząknął. Jej brat – a co więcej, inspektor, przyjaciel Gońców z Bow Street i niezawodny łowca złodziei. Harrow nie kochał łapsów, ale kiedy zdarzyło mu się z nim współpracować,

Brook Derring zyskał jego zaufanie.

Co było nie lada wyczynem.

– Przypuszczam, że on wie to lepiej niż ktokolwiek. Zbyt wielu go atakowało i próbowało wbić mu nóż w plecy.

Truskaweczka pokręciła głową.

– Nie to miał na myśli. A w każdym razie nie sądzę, żeby to.

Jej słowa brzmiały nieco bełkotliwie, ale przestała obejmować się ramionami. Gin ją rozgrzał. A ogień i pies u jej boku też pomogły.

– Tylko mi nie mów, że słynny sir Derring powiedział ci, że pod tym całym gnojem i smrodem Saffron Hill albo Bethnal Green znalazł szachrajów o złotych sercach. Spędziłem w dzielnicach nędzy większą część życia. Wierz mi, każdy ich mieszkaniec o sercu ze złota sprzedałby je przy pierwszej nadarzającej się okazji.

– Nawet ty? – zapytała Susanna.

– Zwłaszcza ja. Przypadkiem nie zacznij mnie uważać za jakiegoś bohatera w rodzaju twego brata. Ja tylko zabieram cię do Vauxhall, żeby odzyskać mój naszyjnik.

– To nie jest twój na...

– Mam w nosie ciebie i całą tę paplaninę o marzeniach. Mogło ci się udać z Lighterem i Corkerem – czemu, u licha, wszystkie te nonsensy przekonały Lightera i Corkera? – ale u mnie nic nie wskórasz.

– Więc pod tym brudem – wskazała na jego pierś – twoje serce jest równie czarne?

Gideon przyjrzał się swojej koszuli. Ciągle jeszcze była nadzwyczaj biała.

– Kogo nazywasz brudnym?

– Powiedziałam to metyfo... metefo... me... – Zirytowana podniosła rękę. – W przerośni. Przerośnia to...

– Wiem, co to przerośnia. I wiem, co znaczy metaforycznie. Jestem złodziejem, ale nie kompletnym ignorantem. Umiem czytać.

– Naprawdę?

Z niesmakiem odsunął się od niej i wrzucił do ognia kolejny

zwitek papieru. Zapas podpałki już się kończył, a deszcz nadal padał. Groziło im, że spędzą tu całą noc. Do diabła, w końcu znajdowali się w Londynie. Mogło tak lać przez tydzień.

– Przepraszam – odezwała się Susanna. – Znowu sądziłam po pozorach.

– Dla mnie to bez różnicy.

Co było kłamstwem. Robiło mu to różnicę. Obchodziło go, jak wygląda w oczach Truskaweczki. Nie wiedział, dlaczego miałby się przejmować, co jakaś panienska w różowych jedwabiach – wolna od wszelkich trosk – może sobie o nim pomyśleć.

Ale się przejmował.

Zapadła cisza. Słyszeć było tylko trzask płomieni i szum deszczu, który siekł czarne, ciężkie jak węgiel niebo i spływał z obmytych dachów. Truskaweczce opadły powieki. Gideon uznał, że dziewczyna zdrzemnie się na parę minut.

– To wszystko prawda, co twoi kompani mówili o Marlowe?

Pytanie zaskoczyło go, nie tylko dlatego, iż sądził, że Susanna już prawie zasnęła. Po prostu było całkiem nieoczekiwane.

– Kompani? Możesz mi wierzyć, łotry Strykera już od dawna nie są moimi kompanami. O ile w ogóle kiedykolwiek byli.

Uchylił się od odpowiedzi, wszczynając spór o słowa – niezawodna strategia, z której często korzystał.

– No, to ci mężczyźni – powiedziała Susanna. Lekkim machnięciem ręki skwitowała jego opór. – Czy to prawda o tobie i Marlowe? Że byliście kochankami?

Po raz kolejny utrafiła w sedno sprawy, którą raczej wolałby zachować wyłącznie dla siebie. Gideon nie słynął z mocnych pięści. To, że był szybki i sprytny, nie zawsze pozwalało mu wygrać walkę. Ale znał kilka trików i manewrów.

– I co, pobiegiesz do lorda Dane’a, jeśli ci powiem... – Urwał, bo przypomniał sobie, z kim rozmawia. Skupiona na jego słowach, Truskaweczka wychyliła się trochę do przodu. Piersi lekko napięły cienki jedwab sukni.

Tylko nie zacznij wgapiać się w jej cycki. Już wystarczało, że

nie potrafił wyrzucić z pamięci obrazu nóg.

– ...jeśli powiem, że ją miałem?

Chociaż użył najmniej ordynarnego określenia, jakie znał, policzki Susanny i tak zapłonęły. Musiała być niewinna niczym dziecko. Z przyjemnością patrzył na rumieńce rozlewające się po jej twarzy. Podobała mu się barwa, którą dodawały jasnej skórze. Niemal miał ochotę znów czymś dziewczynę zaszokować.

– Nie, nie doniosę hrabiemu. Mój brat kocha Marlowe. Nie sadzę, żeby go obchodziło, co robiła albo czego nie robiła – posłała Gideonowi stalowe, wyzywające spojrzenie – zanim się pobrali.

Gideon parsknął i czubkiem buta przesunął tłące się papiery.

– Obchodzi, obchodzi. Mężczyzn zawsze obchodzi, gdzie kobieta się obracała. A zwłaszcza mężczyzn takich jak twój brat – dżentelmenów. Chcą mieć żony nietknięte przez cudze brudne łapska. – Uniósł ręce i wymownie poruszył palcami.

– A tobie na tym nie zależy? – Popatrzyła na niego szeroko otwartymi oczami, jakby wstrząsnęła nią zuchwałość własnego pytania. Z pewnością była to pierwsza rozmowa o tych sprawach, jaką Truskaweczka w życiu prowadziła.

– Moja osoba nie ma tu nic do rzeczy – odparł. Nie mógł udzielać Susannie lekcji – jaka by ta wizja nie była kusząca – i nie chciał myśleć o Marlowe z jej świeżo poślubionym mężem w łóżku. Nawet jeśli wspomnienie tej pary teraz zdawało się dręczyć go mniej niż zwykle.

– Ależ ma – zaproponowała Susanna. – Pytałam, czy to prawda, że byłeś zakochany w Marlowe.

– Miłość. – Gideon uśmiechnął się szyderczo. – Jeszcze jedno pojęcie, które wy, ludzie z wyższych sfer, wymyśliliście, żeby robienie zwierza o dwóch grzbietach wydawało się... – ciągnął z namysłem. Rzadko korzystał z tego zardzewiałego zasobu słów. Przyjemnie było wydobyć je z zakamarków pamięci i znowu użyć. – Wydawało się czymś wzniosłym i czystym. Ja nawet nie wiem, co to jest miłość.

Podskoczył, czując na dłoni dotyk ciepłych palców.

Niech to wszyscy diabli.

Mógł się założyć o każde pieniądze, że teraz się nad nim litowała. Z jego własnej cholernej winy.

Całkowicie wbrew instynktowi, mimo wszelkich środków obronnych, wyjawiał tej dziewczynie znacznie więcej, niż kiedykolwiek zamierzał.

Zabierz rękę. – Strząsnął jej dłoń i poderwał się z podłogi. Nie chciał rozmawiać o Marlowe. Mimo ciepłego ciężaru przytłaczającego kończyny i przyjemnego szumu w głowie, Susanna zrozumiała, że Gideon musiał tę kobietę kochać. I wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nadal ją kochał.

Trudno było się dziwić goryczy, z jaką mówił o miłości. Czy jego ktokolwiek darzył tym uczuciem? Czy ktoś go obejmował, gładził po włosach, całował w czoło? Przecież na pewno miał kiedyś kochającą matkę.

Pomyślała o swojej mamie i o dzieciństwie pozbawionym głaskania, czułości, całusów. Możliwe, że on nie wiedział, czym jest miłość.

I może z nią, Susanną, było podobnie.

Spróbowała wstać i o mało nie wpadła do ogniska. Pies ze skowytem zaczął ją poszturchiwać w plecy.

– Jesteś zalana – stwierdził Gideon, powracając w krąg światła.

– Nieprawda! – zaprotestowała. Damy nigdy nie bywały w takim stanie.

– Wytrąbiłaś co najmniej ćwierć butelki. O ile nie raczysz się ginem regularnie, jesteś zalana.

– Damy nie piją ginu – oznajmiła z godnością.

– Skoro tak twierdzisz.

Podniósł prostokątną bryłę, którą wcześniej rzucił na ziemię. Owinięta była cienkim płótnem. Susanna rozpoznała w nim chustkę do nosa. Pod chustką znajdował się kawałek czegoś brązowego i twardego.

– Co to jest?

– Chleb.

Parsknęła śmiechem. Jednak gdy Gideon nawet się nie uśmiechnął, spoważniała.

– Och, mówisz serio.

Dotknęła palcami sztywnego bochenka. Nie ugiął się ani odrobinę.

– Ten piekarz powinien zmienić zawód. – Zachichotała.

Wcale nie chciała chichotać. Nie powiedziała niczego, co by było szczególnie zabawne.

Gideon spróbował odłamać piętke chleba, a kiedy jego wysiłki spełzły na niczym, parokrotnie walnął bochenkiem o ziemię. Wreszcie zdołał oderwać pokaźny kawałek. Podsunął go Susannie na wyciągniętej dłoni.

Dziewczyna potrząsnęła głową.

– Ty najpierw.

– Musisz mieć coś w żołądku oprócz Blue Ruin. Ta potrawka, którą częstował nas Stryker, była wodnista i mało syta.

– Dlaczego ten gin nazywa się Blue Ruin? Nigdy tego nie rozumiałam. – Przy drugim podejściu zdołała stanąć na nogi i znów się zachwiała. Krąg płomieni zbliżył się niebezpiecznie, ale tym razem pies nie zareagował.

Tym razem złapał ją Gideon.

O Boże.

W momencie, gdy jej dotknął, było już po niej.

Otoczyły ją muskularne ramiona i natychmiast ogrzały.

Okazał się wyższy niż sądziła. Sięgała mu zaledwie do podbródka. Z miejsca to zauważyła, bo wlepiła wzrok prosto w jego odsłoniętą szyję. Zauważyła, bo mogła poczuć woń jego obnażonej skóry, leciutki zapach deszczu, dymu, męczyzny.

Zapach męczyzny był upojny.

Dotyk męczyzny był oszalamiający.

Jej dłonie spoczywały płasko na żebrach Gideona. Te twarde piersi były murem obronnym, a szerokie ramiona blankami. Podniósłszy oczy, dostrzegła połąć kilkudniowego zarostu powyżej jabłka Adama. Ciemne włoski sprawiały wrażenie szorstkich. Susanna wyobraziła sobie, jak ta szczecina drapałaby delikatne opuszki palców. Jak cudownie nieprzyzwoicie muskałaby wrażliwe wargi.

– Co ci się stało? – spytała, próbując dotknąć blizny przecinającej mu brew.

Gideon złapał dziewczynę za nadgarstek i przycisnął jej rękę do ściany. Delikatne ciało otarło się o chropowate drewno. Ich palce splotły się i Susanna poczuła, że krew w niej wrze. Nie potrafiła oderwać spojrzenia od jego oczu. Nie mogła zaczerpnąć tchu. Nie umiała sprawić, by świat przestał wirować niczym drewniany bączek.

– Za bardzo zbliżasz się do ognia, spłoniesz – powiedział Gideon cichym, przepełnionym emocjami głosem.

Z trudem przełknęła ślinę.

– Chcesz spłonąć?

– Nie – odparła. A jednak w głębi duszy trochę chciała. Ogień jej zagrażał, ale ciepło tak rozkosznie rozlewało się po całym zmarzniętym ciele.

– Teraz ty odpowiedz na moje pytanie.

Jej głowa opadła do tyłu i oparła się o ścianę. W ten sposób Susanna mogła patrzeć na niego do góry. Stał o wiele za blisko. Powinien był się cofnąć. A ona powinna była nalegać, by ją puścił.

Tyle tylko, że gdyby się oddalił, to – wedle wszelkich obaw – przyciągnęłaby go znów do siebie. A potem już nie dałaby rady się powstrzymać od dotykania go.

– Słucham – szepnęła.

– Czy u Strykera powiedziałaś prawdę? Wyprawiałaś się do Vauxhall, bo szukasz ukochanego matki?

– Tak. I nie. I... Sama nie wiem. Nie mogę myśleć, kiedy stoisz tuż obok. Nie mogę myśleć, kiedy mnie tak trzymasz.

Wargi mężczyzny drgnęły nieznacznie. Ciepło jego palców przeszło rękę Susanny i spłynęło aż do środka klatki piersiowej. Dziewczyna poczuła łomot serca, jakby ten żar promieniował na całą pierś. I chociaż już nie marzła, jej sutki ściągnęły się i stwardniały.

– Rozpraszam cię, Truskaweczko? – zapytał ledwie dosłyszalnie.

Teraz już obydwójce szeptali. Wiedziała, że to nieroztropne.

Tak się rozmawia z przyjacielem. Z powiernikiem. Z kochankiem.

A on nie był dla niej żadnym z nich.

– Gdybyś mógł się odsunąć...

– Nie chcę się odsuwać.

– Ale ja nie wpadnę do ogniska. Znowu dobrze trzymam się na nogach.

Parsknął śmiechem, głębokim i aksamitnym.

– Doprawdy? Mogę sprawić, że ci się zakręci w głowie.

– Już sprawiłeś. – Rzeczywiście to powiedziała? – Poważnie.

Twoja ręka... – Susanna spojrzała w stronę, gdzie jego ręka przyciskała jej dłoń do ściany. – Jesteś taki ciepły.

– A ty jesteś tak niewiarygodnie miękka i gładka.

Uwolnił palec i przeciągnął nim po wewnętrznej stronie analogicznego palca dziewczyny. Truskaweczka zadrżała. Żar buzujący w jej piersi spłynął do brzucha. Jak Gideon mógł z nią wyczyniać podobne sztuki?

– Nigdy nie dotykałem skóry takiej jak twoja – wyznał.

Teraz palec Gideona gładził wnętrze jej dłoni. Susanna zachwiała się i gwałtownie wciągnęła powietrze. Żar sięgał już naprawdę nisko, wszędzie czuła mrowienie. Zaciśnęła uda, próbując zapanować nad dolnymi partiami ciała, które pulsowały.

– Chyba wypiałam więcej, niż powinnam – szepnęła. – Jednak nie trzymam się na nogach tak dobrze, jak należy.

– Nigdy nie byłaś całowana, prawda?

Spojrzenie Susanny ześlizgnęło się na jego wargi i zaraz znowu pofrunęło ku oczom. Gideon zadał jej impertynenckie pytanie. Nie wątpiła, że powinna udzielić mu ostrej reprimendy za to, że miał czelność to pomyśleć, a co dopiero wypowiedzieć na głos. Ale słowa zamarły jej w gardle. Jego oczy były takie ciemne, za bardzo pograżone w mroku, by dało się dostrzec w nich cokolwiek. A jednak wiedziała, że gdyby mogła zobaczyć je wyraźnie, ujrzałaby, iż są pełne pożądania.

On jej pragnął.

Nikt dotychczas nie pragnął jej w taki sposób. Widywała już błysk żądzy w męskim wzroku, lecz nigdy tego uczucia nie

odwzajemniała. Nigdy nawet z żadnym mężczyzną – wyjąwszy własnych krewnych – nie rozmawiała na temat bardziej osobisty niż pogoda.

I nigdy nie była całowana. Dlaczego ktoś miałby ją całować? Żyła pod czujnym okiem przyzwoitek; jej cnoty strzeżono dla przyszłego męża.

Uświadomiła sobie, poniewczasie, że naraża tę cnotę na niebezpieczeństwo. Co należało wziąć pod uwagę, nim wyruszyła w towarzystwie Gideona. Myślała, że z nim jest bezpieczna, a wcale nie była.

I nie chciała być.

– Nikt nigdy nawet nie próbował mnie pocałować – zwierzyła mu się.

Gideon uniósł brwi, jakby szczerze się zdziwił.

– Pozwoliłabyś na to?

– Nie. – Jej wzrok przywarł do jego warg. Ledwie mogła prosto ustać. Łomot serca był tak głośny, krew tak napierała na bębunki w uszach, że Susanna znowu się zachwiała.

– A mnie byś pozwoliła, żebym cię pocałował?

– Nie.

Parsknął stłumionym śmiechem.

– Kłamiesz.

Miał rację. Słyszała kłamstwo we własnym głosie, chociaż nie przypominał on już całkiem jej głosu. Brzmiała jak zdyszana, zdesperowana kobieta.

Gideon uniósł rękę, którą dotąd opierał koło niej o ścianę i pieszcząc policzek Susanny, wsunął dziewczynie pukiel włosów za ucho. Gwałtownie złapała powietrze.

– Nie rób tego – wyrwał się jej błagalny, stłumiony okrzyk.

– Przerazam cię?

Nie odpowiedziała. Jak miała wytłumaczyć, że własna reakcja przerażała ją daleko bardziej niż on sam.

Oderwał jej rękę od szorstkich desek. Jego palce ześlizgnęły się do wnętrza małej dłoni, drażniąc linie na skórze, wędrując po różowej powierzchni. Puls Susanny bił w rytm tych ruchów.

Oblewały ją żar i pożądanie. Podbrzusze miała rozgrzane w taki sposób, że wiedziała, iż musi być podniecona. Rozpaczliwie zapragnęła przycisnąć dłoń do tego intymnego miejsca i uwolnić się od napięcia.

Tymczasem on ujął ją za nadgarstek i zaczął kreślić na nim kręgi. A potem, nie odrywając wzroku od pięknych, brązowych oczu, uniósł rękę Truskaweczki ku swoim wargom. Jednak nie przywarł do niej ustami, tylko ciepłym powiewem oddechu muskał spód jej palców.

Na grzbiecie Susanna nadal czuła chłód i wilgoć, ale tam, gdzie ich ciała niemal się stykały, było jej rozkosznie ciepło. Ogień trzaskał, jego blask dogasał, pomarańczowe refleksy tańczyły na ścianach i powale. Z dworu słabo dobiegało bębnienie londyńskiego deszczu.

Pochyliwszy głowę, Gideon napotkał spojrzenie spod opuszczonych gęstych rzęs.

– Czy mogę ucałować twoją dłoń, pani?

Kpił sobie. Na pewno sobie kpił. A mimo to Susanna przyłapała się na tym, że mu potakuje. Ożył jej w pamięci wers z sonetów Shakespeare'a, które ośmielała się czytać tylko w mroku nocy:

„By ucałować czule wnętrze dłoni twojej...”^[6]

Nawet nie wiedziała, jak wiele erotyzmu kryje tych sześć słów. Wszystko w niej zastygło w oczekiwaniu, kiedy Gideon powoli zbliżał usta do jej środkowego palca. Wreszcie leciutko przylgnął wargami do zagięcia, gdzie palec krzyżował się z dłonią.

Całował jej dłoń. Susanna przymknęła oczy. Delikatne pieszczoty napełniały ją słodyczą. Ten pierwszy pocałunek był niewiarygodnie doskonały, niewiarygodnie podniecający. I absolutnie niezaspakajający.

Gideon cofnął się, ale nadal czuł pod palcami tętno tłukące o cienką skórę nadgarstka Truskaweczki. Z bezgraniczną delikatnością uwolnił jej rękę. Dziewczyna wpatrzyła się w nią bez słowa. Mogłaby przysiąc, że choć ręka wyglądała tak samo jak przedtem, skóra musiała być gorąca w dotyku. Wydawała się

płonać.

Kiedy podał Susannie kawałek chleba, tym razem przyjęła poczęstunek bez dyskusji. Szarpiąc zębami twardą skórkę, zapatrzona w dogasające płomienie, z trudem przełykała kęs po kęsie. Obok ogniska spokojnie drzemała Beauty. Jak mogła przespać cały ten chaos ostatnich minut?

Osunąwszy się plecami po ścianie, Susanna przycupnęła koło psa, który uniósł łeb. Rozwarła dłoń, podsuwając pupilce resztkę kromki. Beauty ochoczo poderwała się z ziemi i pożarła chleb jednym chapsnięciem.

– Nie oddawaj psu naszego jedzenia! – jęknął Gideon.

– Jej to smakuje.

Bez większego trudu odłamała kolejny kawałek, a zwierzę i ten połknęło pośpiesznie. Gideon wyrwał jej z rąk bochenek.

– To nie dla kundla.

– Przecież nie nadaje się dla ludzi!

Była zadowolona, że pies zapewnił im zmianę tematu. Nie chciała dalszych rozmów o całowaniu. Nie chciała omawiać tego, co pomiędzy nimi zaszło i tego, co mogłoby zająć, gdyby Gideon jeszcze kiedyś jej dotknął. Chciała tylko zamknąć oczy i spać przez tydzień, nie myśleć o niczym ani o nikim.

Gideon pchnął ją delikatnie, by znów oparła się o ścianę.

– Ty już padasz, Truskaweczko. Odpocznij trochę. Ulewa nie skończy się tak szybko.

– Nie jestem zmęczona – odpowiedziała, ziewając. Ciężkie powieki zamykały się jakby bez jej udziału. Pozwoliła im na to, mówiąc sobie, że to tylko na chwilę.

– Dawaj albo matka pożałuje, że cię w ogóle urodziła.

– Już żałuje!

Dziewczyna usiadła tak gwałtownie, że świat zawirował jej przed oczami. Opuściła powieki i przycisnęła dłoń do grzbietu nosa. Pies warknął. Uciszyło go przenikliwe syknięcie, które dobiegło zza pleców Susanny. Przed sobą ujrzała wyciągnięte męskie nogi. Ze zdziwienia zmarszczyła brwi i spłonęła rumieńcem, kiedy dotarło do niej to co oczywiste.

Spała oparta o Gideona. Nic dziwnego, że nie zmarła. Najprawdopodobniej leżała przytulona do jego piersi. Na samą myśl o tym poczuła napięcie w podbrzuszu. Powinna była się zawstydzić, ale to doznanie tylko bardziej ją rozgrzało.

– Przecie mówię, jestem przy forsie. A teraz dawaj.

Susanna zerknęła przez ramię na swego towarzysza.

– Co się...?

Zatkał jej usta, żeby zamilkła. Próbowwała się uwolnić, dźgając go łokciem w brzuch, umięśniony i płaski. Palce Gideona czuć było dymem z ogniska. Pochylił się bliżej i Susanna zadrżała, kiedy jego włosy połaskotały ją w policzek.

– Ani słowa. Ani mru-mru.

Skinęła głową, ale i tak nie rozluźnił uścisku. Przez wyłom w deskach ukośnie padało światło, przecinając złocistymi smugami podłogę wokół niej. Usnęła kołysana bębnieniem deszczu, ale teraz krzyki ulicznych sprzedawców i turkot kół wskazywały, że już przestało padać.

A za ścianą wrzała kłótnia.

– Najpierw forsa do ręki. Złoto – warknął jeden z mężczyzn.

– A jaką mam pewność, że mnie nie oszwabisz? – biadolili drugi.

– Nijaką. Lepiej szybko wracaj, bo innemu ją przehandluję.

Susanna wyprostowała się. Ją?

– Ani słowa – szeptem powtórzył Gideon.

Chwycił go za nadgarstek i szarpnęła w dół.

– O co oni się kłócą? – zapytała cichutko.

– Nie nasza sprawa. Nasza to siedzieć w ukryciu, póki nie pójdą – odparł ledwie słyszalnie. Ostrze światła prześlizgnęło mu się po twarzy, przecinając gładką skórę blizny.

– Ale...

Podniósł palec i zgromił Susannę wzrokiem, co jeszcze dzień wcześniej by ją przeraziło. Teraz już nie budził w niej takiej trwogi.

– Daj mi dwie godziny – zza ściany dobiegł głos kupującego.

– Przyniosę forse.

– Dwie godziny. Ani minuty dłużej.
Dziewczyna usłyszała stukot podeszew.

– Czekam w Trumnie u Joego.

Znowu rozległo się szuranie kroków, a potem coś jakby szloch dziecka. Z lichtarzem w dłoni skoczyła na równe nogi, zanim Gideon zdążył ją powstrzymać. A próbował. Jego ręka popęzła w jej stronę, ale zbyt wolno i palce pochwyciły tylko jedwab rękawa. Susanna wyrwała się. Dopadła do drzwi. Nogi się pod nią uginały i trzęsły jak u świeżo narodzonego źrebaczka. Złapała za krawędź wyrwy w deskach i podciągnęła się dość wysoko, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

W pierwszej chwili nie zobaczyła nic, oprócz domu po drugiej stronie błotnistej ulicy oraz kupy śmieci spiętrzonej przy jego schodkach. Potem popatrzyła w prawo i kątem oka dostrzegła męski kapelusz.

Poczuła, że Gideon obejmuje ją w talii, więc odepchnęła się od niego i wydzwignęła jeszcze wyżej. Nieznajomy odszedł już kawałek, wystarczająco daleko, by mogła widzieć, że wlecze za rękę jakieś maleństwo.

Gwałtownie złapała powietrze, zeskoczyła na ziemię i zaczęła gmerać przy drzwiach.

Gideon przycisnął dłonią belkę, która je blokowała.

– Co ty wyprawiasz?

– Tam jest dziecko! – Susanna wskazała na drzwi. – Ten łotr sprzedaje dziecko.

– Jeśli wyjdiesz, równie dobrze może przehandlować ciebie.

Odsunęła go na bok i podważyła rygiel.

– Nigdy na to nie pozwolisz.

Z jakiegoś powodu Gideon nie wepchnął belki na miejsce, nim dziewczyna całkiem ją uniosła. Ciężkie drewno głucho uderzyło o podłogę. Drzwi stanęły otworem. Pokonawszy jednym susem schodki, Susanna wrzasnęła:

– Stać! Hej, wy tam!

Mężczyzna odwrócił się, a jej serce podeszło do gardła. Może należało posłuchać Gideona.

Gideon gapił się w ciemną przestrzeń, gdzie jeszcze przed chwilą były zaryglowane drzwi. Słowa Truskaweczki kompletnie go oszołomiły.

Ufała mu.

Wierzyła, że ją obroni.

Nikt nigdy w ten sposób o nim nie myślał. Nawet Marlowe na nim nie polegała ani nie oczekiwała, że będzie ją osłaniał przed okrucieństwem Satina.

Marlowe była sprytna.

Truskaweczka nie.

– Niech mi pan odda to dziecko!

Zachowywała się, jakby chciała zginąć. Niewiarygodna odwaga. Albo niewiarygodna głupota. A może to jedno i to samo.

Pies popędził ze szczekaniem do drzwi, po czym obejrzał się na niego.

– Idę – powiedział Gideon. Nie był ani odważny, ani głupi, ale czemuś jej słowa trafiły do najgłębszych zakamarków jego duszy. Takich, które starannie chronił. Nie mógł opuścić Truskaweczki. Nie mógł, skoro w niego wierzyła.

Wyskoczył na ulicę i dogonił Susannę. Mimo całej swojej brawury, dziewczyna nie odeszła daleko.

– A kto mnie zmusi? – zapytał mężczyzna.

Upewniwszy się, że Truskaweczce nie dzieje się nic złego – przynajmniej na razie – Gideon rzucił okiem na jej przeciwnika. I wydał gardłowy pomruk.

To musiał być Daniel Gilfroy.

Albo, jak go powszechnie nazywano, Dan Sztylet. Wszyscy wiedzieli, że zawsze miał przy sobie ręcznie wykonane sztylety. Śmiercionośną broń, której nie obawiał się użyć, żeby wypruć komuś flaki, wydłubać oko czy oberznąć ucho.

Gideon złapał Susannę za ramię i przyciągnął do siebie, w bezpieczne miejsce.

A potem przesunął wzrok niżej i przyjrzał się dziewczynce. Chyba nie miała wiele więcej niż trzy lata, jednak on nie znał się na dzieciach. Równie dobrze mogła być pięcio- lub sześciolatką,

tyle że niską na swój wiek. Jej buzię pokrywały smugi brudu, brązowe włosy sterczały splątane. W wielkich, niebieskich oczach Gideon ujrzał przerażenie. Ale ani śladu łez. Ta mała całe swoje krótkie życie spędziła w dzielnicach nędzy i zbrodni, i pewnie już się nauczyła, że łzy jej nie zbawią.

– Ja cię zmuszę – oznajmił głośno.

Nadgarstek mężczyzny wykonał błyskawiczny ruch i w dłoni Dana Sztyleta błysnął prymitywny sztylet.

– No, dalej! – Nie puszczając ramienia dziecka, bandyta skinął na Gideona długim ostrzem.

– Nie chcę wdawać się w bójkę.

– Ale się wdałeś. I nawet ci nie poderżnę gardła, ‘Arrow. Zostawię ten przywilej Beezle’owi. Gość cię szuka.

Gideon uniósł ręce, usiłując wyglądać na rozsądnego, chociaż wiedział, że to niewiele pomoże.

– Masz ochotę napić się ginu. Idź i to zrób. A ja odprowadzę tę małą do matki. – Wskazał głową na dziewczynkę. – Bess Castle, prawda?

– Znasz ją? – zdziwiła się Susanna.

Gideon zignorował jej pytanie. Nawet na moment nie mógł spuścić Dana z oka.

– Chcesz dzieciaka? – Sztylet uśmiechnął się szyderczo. – Musisz zabulić.

– Panu nie wolno jej sprzedawać! – oznajmiła Truskaweczka, wymachując lichtarzem w słusznym gniewie. Zostawiwszy Gideona, przesunęła się bliżej do dziecka. Ta kobieta naprawdę była durna. Jeszcze krok albo dwa i Dan Sztylet mógł ją rozplatać na pół. – To jest człowiek, a nie... jakiś mebel.

Oczy Dana zwęziły się. Zmierzył dziewczynę spojrzeniem z góry na dół. Najwyraźniej jej język uświadomił mu, że należała do wyższych sfer.

– Proszę, proszę. – Pchnął dziewczynkę pod ścianę domu. – Co my tu mamy?

– Jestem Susanna Derring. A pan to kto?

W rubryce Głupota Gideon odhaczył kolejną pozycję.

Truskaweczka nie miała nawet na tyle rozumu, żeby dać krok do tyłu, kiedy Dan Sztylet przesunął się w jej stronę.

– Chcesz tę małą, paniusiu? – zapytał.

Kiwnęła głową.

– To proponuję wymianę. Ty za nią.

– Nie ma mowy.

Gideon pociągnął Susannę do siebie i nim Sztylet znalazł się na wyciągnięcie ręki, zasłonił dziewczynę własnym ciałem.

– Żadnych wymian, Dan.

– Nie dam wam tej smarkuli za frajer. Jest moja. To zapłata za wyświadczone usługi.

– Jakie usługi? – znowu wtrąciła się Susanna.

– Bess nigdy nie odstąpiłaby dziecka – powiedział ostro Gideon. Znał tę kobietę. Wiedział, że wariowała na punkcie córeczki. Stanowiła jeden z nielicznych przykładów prawdziwego macierzyństwa, z jakimi zetknął się w dzielnicach biedoty, gdzie wiele matek było gotowych przehandlować własne potomstwo za kolejną szklaneczkę ginu albo pełny brzuch.

Dan przerzucał sztylet z ręki do ręki.

– Dzieciak jest mój, na sprzedaż albo na wymianę. Jeśli go chcecie, płąćcie.

– To karygodne! – krzyknęła Susanna zza ramienia swego obrońcy.

– O, jak elegancko – parsknął Dan, dalej bawiąc się sztyletem. – Podejdź no bliżej, paniusiu, a nauczę cię kilku nowych słówek.

Skoczył z nienacka i Gideon nie zdołał w porę zareagować. Ujrzał zbliżające się ostrze, wiedział, że zrani mu twarz. Mógł tylko mieć nadzieję, że nie sieknie po oczach. W obronnym odruchu zacisnął powieki, ale cios nie padł.

Natomiast coś wielkiego i ciężkiego pozbawiło Gideona równowagi.

Zatoczył się i oboje z Truskaweczką, która przywarła do jego pleców, wylądowali na ziemi. Nogi im się zaplątały, więc uwolnił je jednym wierzgnięciem, poderwał się i runął na Dana z

pięściami, gotów do bójki.

Nadgarstek Sztyleta tkwił pomiędzy zaciśniętymi szczękami Beauty. Dan usiłował odtrącić kundla, ale bestia nie puszczała jego ręki. Kopnął, kundel dalej trzymał.

– Nie rób memu psu krzywdy – wrzasnęła Susanna.

Chwyciwszy dziewczynę za ramię, Gideon wypchnął ją na ulicę. W końcu zauważył, że w międzyczasie zgromadziła się niewielka grupa gapiów. Jeśli Beezle dotąd nie był świadom, gdzie zniknął jego przeciwnik, teraz już zapewne wiedział i lada moment mógł się pojawić. Musieli uciec i ukryć się, zanim nadciągnie banda z Covent Garden.

– Łap dzieciaka i zmykaj – rozkazał Truskaweczce. – Dogonię cię.

– Ale Beauty...

– Dopilnuję jej. Szybko! – Znów ją pchnął, żeby pobiegła.

Przynajmniej raz Susanna rzeczywiście go posłuchała. Złapała w garść dół sukni i okrążając bandytę szerokim łukiem, dopadła do dziecka. Gideon dostrzegł jeszcze, jak się pochyliła, żeby coś dziewczynce powiedzieć. Jednak właśnie wtedy Dan wreszcie uwolnił się od psa i Beauty, żałośnie skowycząc, wylądowała pod ścianą budynku. Z ręki mężczyzny kapiała krew, ale była to zaledwie powierzchowna rana. Dan Sztylet sięgnął za pazuchę i wydobyl kolejny sztylet.

– Najpierw wypatroszę ciebie, ‘Arrow, potem psa. – Podchodził coraz bliżej.

Gideon ani drgnął. Musiał skupiać na sobie uwagę Dana, dopóki Truskaweczka nie ucieknie.

– A potem znajdę tę małą dziwkę i pokroję jej ładną bużkę!

Ręka ze sztyletem wystrzeliła w stronę Gideona, który dla zmyłki uskoczył w prawo. Ból przeszył mu ramię, kiedy ostrze przebiło rękaw surduta. Cięcie nie było głębokie, ale Dan dopiero zaczynał.

Gideon wiedział, że jeśli szybko nie zrejteruje, to Beezle dokończy robotę. Obrócił się, by znów stawić czoło napastnikowi. Za plecami Dana pies, potrząsając łbem, dźwigał się na łapy. I

cicho warczał.

Jedyna szansa, pomyślał młodzieniec, bo Dan Sztylet już postępował w jego stronę, a sztylet stanowił nieprzyjemną perspektywę.

Jedyna i ostatnia.

Mężczyzna zamierzył się na Gideona, który odskoczył chwiejnie do tyłu, wciągając brzuch, by uchronić go przed ostrzem. Podeszwa buta stuknęła o ścianę domu. Dan parsknął śmiechem i zbliżył się jeszcze bardziej. Planował uderzyć z prawej, czy z lewej? Gideon musiał zrobić unik i wiedział, że jeśli źle wybrał, był już jedną nogą w grobie. Nożownik uniósł sztylet. Gideon sprężył się do skoku.

Nagle jasny, niewyraźny kształt wystrzelił tuż przed nim i zbił napastnika z nóg. Pies i człowiek poturlali się po ziemi, aż w końcu pies stanął zwycięsko na piersi Dana Gilfroya, zwanego Sztyletem. Warcząc groźnie, Beauty kłapała nad nim zębami. Gideon dłużej już nie czekał. Ruszył biegiem w tę stronę, w którą umknęła Truskaweczka. Ale nim skręcił za róg, głośno zagwizdał.

Psie uszy zastrzygły gwałtownie.

– Chodź, Beauty!

Beauty szczeknęła i popędziła za nim długimi susami.

Spiesząc z psem u boku, Gideon omijał przechodniów, wózki handlarzy i chciwe ręce kieszonkowców.

Krew tętniła mu w żyłach, czuł dreszcz emocji po kolejnej udanej ucieczce. Ale był pewien problem.

Truskaweczka zniknęła.

Jesteś bezpieczna, skarbie – powiedziała Susanna, ciągnąc dziewczynkę na dół po schodkach i przyciskając ją do ich bocznego muru tak, by obie były niewidoczne z ulicy. Podczas gdy w skąpanym deszczem Mayfair na ogół pachniało świeżością, tutaj unosił się wyraźny smród. Ulewa zmyła liczne śmieci i odpadki pod same progi domów i teraz, kiedy weszło słońce, wszystko to zaczynało cuchnąć.

Słyszając łkanie, Susanna pogłaskała brązowe, skołtunione włosy.

– Nie bój się, nic ci nie zrobię. Odprowadzę cię do mamy.

– Mamusia!

– Tak, do twojej mamusi. – Uklękła i spojrzała małej w twarz. – Ale teraz musisz być bardzo cicho. Nie chcemy, żeby ten zły człowiek nas znalazł, prawda?

Dziewczynka rozwarła szeroko błękitne oczy i zaczęła kręcić głową z takim zapalem, że aż rozczochrane loki opadły jej na czoło.

– Jesteś bardzo grzeczna – szepnęła Susanna. – Jak ci na imię?

– Jemima – odszepnęła dziewczynka. – Ale mamusia mówi do mnie Jemma.

– A ja mam na imię Susanna. Posiedzimy tu cichutko jak myszki, dopóki mój przyjaciel, Gideon, nas nie znajdzie. On cię odprowadzi do mamusi, Jemmo. Dobrze?

– Dobrze.

Susanna stanęła na palcach, żeby zerknąć, co się dzieje na ulicy. Zobaczyła stopy – tuziny stóp. Było bardzo wątpliwe, by potrafiła rozpoznać buty Gideona, gdyby akurat przechodził obok. Wspięła się jeszcze odrobinę wyżej i przesunęła wzrokiem po twarzach. Nikt nie wyglądał znajomo. Nagle jakiś mężczyzna dostrzegł ją i wyraźnie zdumiony, zmarszczył brwi, więc dała nura

na dół, mocniej ściskając swój lichtarz. Mimo że wyglądała jak kompletny oberwaniec i tak tutaj nie pasowała.

Jej suknia, choć pomięta i ubłocona, została uszyta z jedwabiu. Rękawiczki dawno już się zgubiły, toteż każdy mógł zauważyć białe ręce i dłonie pozbawione odcisków. A włosy? Aż strach pomyśleć, w jakim musiały być stanie. Gdyby matka ją teraz zobaczyła...

Matka!

Gwałtownie wciągnęła oddech. Dziecko zerknęło na nią z niepokojem, więc zdobyła się na uśmiech pełen otuchy, której wcale nie czuła.

W ogóle nie wzięła pod uwagę, że zniknie na całą noc. Ani nie pomyślała, co się będzie działo, kiedy Maggie odkryje rano, że panienki nie ma i nie spała w swoim łóżku. Dopiero teraz wyobraziła sobie popłoch matki na tę wieść. Brook, gdyby akurat nie było go w domu, zostanie pilnie wezwany. Potem brat zrobi to wszystko, co robią śledczy i ustali, że Susanna uciekła.

A matce pęknie serce.

Poczuła, że jej serce też prawie pęka. Okazała się wyrodną córką. Jak mogła spowodować takie zmartwienie?

Dlaczego nie przewidziała tego wszystkiego, nim pochopnie wymusiła na złodzieju, żeby ją zabrał do ogrodów Vauxhall? Powinna była natychmiast wrócić do domu.

Tyle tylko, że wcale nie chciała tam wracać.

Jemma wpatrywała się w nią, mrugając, milcząca i nieruchoma, więc Susanna postanowiła znowu zobaczyć, co się dzieje. Teraz już dookoła panował tłok. Nawet gdyby wyruszyła szukać Gideona, nigdy by go w tej ludzkiej ciżbie nie znalazła. Spędziła całe życie pod kloszem, ale wiedziała o Londynie wystarczająco dużo, by zdawać sobie sprawę, że na ulicach tego miasta samotne kobiety nie są bezpieczne. Nie miała gdzie się ukryć, ani dokąd pójść.

Czuła, jak Jemma tuli się do jej boku. Dziecko ssało kciuk i wyglądało na kompletnie wyczerpane. Czy była w stanie je ustrzec, skoro nie potrafiła chronić nawet samej siebie?

– Uważaj! – rozległ się męski głos, więc znowu wspięła się na palce, żeby sprawdzić, co się dzieje. W pobliżu przebiegał jakiś człowiek. Widziała tylko jego nogi i buty. Musiał bardzo się spieszyć, bo odpychał wszystkich z drogi. A za nim podążał pies.

– Beauty!

Jemma wyciągnęła palec z ust i podniosła wzrok na swoją opiekunkę.

– Zaczekaj tu – powiedziała Susanna, pochylając się nad dziewczynką. – Za chwilę wrócę.

Wargi małej zadrżały, jakby słyszała już kiedyś tę zapowiedź od kogoś, kto okazał się niesłowny.

– Obiecuję, Jemmo. A kiedy ja coś obiecuję, to nigdy, przenigdy nie łamię obietnicy.

Jemma wytrzeszczyła na nią oczy, aż osiągnęły rozmiar jajek drozda i niemalże ich barwę.

Susanna położyła dłoń na jej chudziutkim ramionku.

– Obiecuję, że zaraz wrócę – powtórzyła. – Wierzysz mi?

Dziecko bez słowa skinęło głową.

– Dobrze. – Z suknią uniesioną prawie do kolan, przeskakując po dwa schodki, dziewczyna popędziła na górę. – Gideonie! Gideonie! – Wiedziała, że jeśli teraz go nie znajdzie, będzie zgubiona.

Kilku mężczyzn odwróciło się, żeby na nią popatrzeć, lecz żaden z nich nie był Gideonem. Nigdzie nie mogła go dostrzec – przeszkadzały w tym gromady ludzi i zakręty wijące się ulicy. Ale przecież on miał ze sobą psa.

– Beauty. Do mnie! Beauty!

Drzwi u podnóża schodów, gdzie czekała Jemma, otwarły się.

– A co to za hałasy? – krzyknął kobiecy głos.

Po drugiej stronie ulicy jakiś podejrzany typ już od dobrej chwili przyglądał się Susannie pożądliwym wzrokiem. Teraz ruszył w jej kierunku.

– Beauty! – wrzasnęła Susanna. Nawet dla niej samej zabrzmiało to rozpaczliwie.

– Cóż ci pomóc, skarbie? – zagadnął, zbliżając się nieznajomy i rozłożył szeroko brudne łapska.

– Nie! – Dziewczyna cofnęła się ku schodom. – Jemmo, chodź. – Wyciągnęła do dziecka rękę i poruszyła palcami.

Mała dłoń zacisnęła się na nich kurczowo.

– Proszę dać nam spokój.

– Proszę dać nam spokój – powtórzył mężczyzna, przedrzeźniając jej sposób mówienia. – Jesteś tu nowa, co? – Szedł prosto na nią i nie wyglądało, żeby zamierzał zrezygnować. Mogła rzucić się do ucieczki, ale kiedy zerknęła w prawo, dostrzegła innych mężczyzn, którzy obserwowali ją z zainteresowaniem. Popatrzyła w lewo. Stamtąd nadciągała gromada wyrostków. A niech to!

– Chodź no tu, skarbie. – Mężczyzna był już tak blisko, że Susannę dobiegł smród jego potu. Wyciągnął rękę; odtrąciła ją z całej siły.

– Ej!

Gardłowy pomruk uciszył go w jednej chwili. Dziewczyna uśmiechnęła się z ulgą, bo pomiędzy nogami swego prześladowcy dojrzała Beauty. Która szczyrzyła zęby. Jemma wciągnęła powietrze i zaczęła cichutko płakać.

– Nie, nie! Jemmo, to mój pies. On nas nie skrzywdzi – uspokoiła ją Susanna, po czym ostro spojrzała na niedoszęłego napastnika. – A ciebie jak najbardziej. Odejdź albo cię nim poszczuję.

W rzeczywistości nie miała pojęcia, czy zwierzę posłuchałoby rozkazu. Na szczęście natręt odsunął się. Ale kątem oka dostrzegła, że przepycha się w ich stronę kolejny mężczyzna, więc zebrała siły do ataku.

– Hola! – Gideon wysoko uniósł ręce. – Odwołaj Beauty, Truskaweczko! Przybiegłem cię ratować.

Susanna wbiła w niego gniewny wzrok – miała nadzieję, że równie skuteczny, jak spojrzenia, którymi zawsze karciła ją matka.

– Skoro chciałeś mnie ratować, trzeba było przybiec trzy minuty temu.

Gideon wzruszył jednym ramieniem.

– Och, jeśli chcesz, żebym sobie poszedł... – Jego słowa ścichły, jakby już się oddalał.

– Nie!

Uśmiechnął się szeroko. Miała ochotę go kopnąć. Ale z równą łatwością mogłaby go pocałować. Kiedy tak szczyrzył zęby w uśmiechu, przypominał niesfornego chłopca.

– Potrzebuję twojej pomocy, żeby odprowadzić Jemnę do domu.

Oczy Gideona spoczęły na dziecku, po czym szybko obejrzał się za siebie niczym człowiek ścigany. Łotr, który uprowadził Jemnę i kamraci Strykera wspominali o jakimś Beetle'u.

Nie, nie Beetle'u.

Beezle'u.

Susanna nie wiedziała, czy to imię, czy nazwisko, ale mogła się założyć, że właśnie tego człowieka bał się zobaczyć jej towarzysz, kiedy nerwowo zerkał do tyłu.

– A więc chodźmy. – Gideon złożył kpiący ukłon przed grupką gapiów. – Panowie wybaczą. – Podał dziewczynie ramię, a ona je przyjęła. Nieszczególnie chciała pozwolić, żeby ją eskortował, ale w zaistniałych okolicznościach wydawało się to najmądrzejszym posunięciem. Wyciągnęła rękę do dziecka, które zacisnęło małą dłoń wokół dwóch jej palców. Beauty po raz ostatni warknęła ostrzegawczo i ruszyła w podskokach za swoją panią.

– Jesteś tym brzdącem od Bess Castle? – spytał Gideon, nie spuszczając oka z mijanych przechodniów.

– Tak – odparła dziewczynka cichutko.

– Jak wpadłaś w ręce Dana Sztyleta?

– Ten łajdak tak się nazywa? – zdziwiła się Susanna, przez chwilę zapominając poruszać nogami. – Rodzice dali mu na imię Sztylet?!

Gideon zachichotał i nawet Jemma uśmiechnęła się nieśmiało.

– Tak ochrzczili go jego kompani. Naprawdę nazywa się Daniel Gilfroy. A przynajmniej tak twierdzi. – Wyciągnął szyję,

żeby lepiej widzieć buzię Jemmy.

– Czy twoja mama cię sprzedała?

– Nie! – Dziecięcy głosik zabrzmiał czysto i donośnie. – Sam mnie wziął.

– Jako zapłatę za co?

Jemma nie odpowiedziała. Skręcili w ciemny zaułek, gdzie wznosiły się podupadłe kamienice czynszowe.

– Ona pewnie nie wie – wtrąciła się Susanna. – Takie rzeczy często się zdarzają?

– Każdego dnia. Ale po Bess bym się tego nie spodziewał.

Dziewczyna popatrzyła na ciemną główkę dziecka. Jakie życie czekało tę małą? Ile czasu zdąży upłynąć, nim Dan Sztylet znów po nią przyjdzie? I tym razem nie będzie już w pobliżu nikogo, kto by go powstrzymał.

Jemma wskazała na jeden z budynków.

– Słusznie, jesteśmy na miejscu – potwierdził Gideon.

Zdawało się, że tej kamienicy nie sposób odróżnić od innych. Ale przecież Jemma zna własny dom, pomyślała Susanna, spoglądając w górę.

– Beauty, zaczekaj tutaj – zakomenderowała. Pies usiadł na podeście przed wejściem. Wyprostowany, z wysoko podniesionym łbem, wyglądał jak posąg Anubisa.

We trójkę weszli do ciemnej sieni, która śmierdziała uryną. Coś – dałby Bóg, że kot – umknęło im spod nóg, stukając pazurkami o podłogę.

– Tędy. – Gideon ruszył przodem po skrzypiących schodach bez poręczy.

Susanna usiłowała nie dotykać ściany, jednak trzymała się blisko niej, na wypadek gdyby któryś stopień nagle się zarwał. Klatka schodowa była mroczna i wilgotna. Gdzieś nadal kapła woda – pozostałość po ostatnich deszczach. Stukot kropli niósł się echem w całym budynku.

Kiedy dotarli do trzeciej kondygnacji, Jemma przepchnęła się obok dorosłych. Znała drogę nawet w ciemnościach. Popędziła w głąb korytarza i zaczęła walić w drzwi na samym jego końcu.

Zasłaniając nos rękawem, by nie dopuścić smrodu zepsutych ryb i gotowanej kapusty, Susanna pospieszyła za dziewczynką. Gdzieś jakaś para kłóciła się donośnie. Ich wrzaski przenikały przez cienkie ściany.

– Czego chcesz? – spytał kobiecy głos z mieszkania, do którego dobijała się Jemma.

– Mamusiu!

Głos już więcej się nie odezwał, lecz po chwili drzwi stanęły otworem i młoda dziewczyna padła na kolana, szeroko rozkładając ramiona. Jemma rzuciła się w nie, po czym wybuchnęła płaczem. Szepcząc słowa pociechy, matka utuliła ją w objęciach. Wreszcie – z ręką na małej, ciemnej główce – podniosła zdumione oczy.

Susanna osłupiała. Bess Castle sama była niemal dziewczynką. Miała co najwyżej dziewiętnaście lat, ledwie dość, by rozkwitnąć. A jednak już jakiś czas temu urodziła dziecko?

Jej wzrok przez chwilę błędził po twarzy Susanny. Potem Bess rzuciła szybkie spojrzenie na Gideona i kiedy go rozpoznała, obezwładniła ją ulga.

– Zwróciłeś mi ją. Dziękuję.

– Nie mnie dziękuj. To wszystko jej zasługa. – Ruchem głowy wskazał Susannę.

Bess znów ciekawie zerknęła na niecodziennego gościa.

– Proszę do środka. – Odsunęła się z przejścia, a Gideon szarmancko przepuścił swoją towarzyszkę w drzwiach.

Z uczuciem skrępowania Susanna przekroczyła próg pokoju. Starła się nie gapić, ale ogromnie ją ciekawiło, jak żyły Bess i Jemma.

I ani trochę nie bała się tego dowiedzieć.

A jednak ich lokum wyglądało gorzej, niż sądziła. Była to maleńka klitka, która z trudem mogła pomieścić cztery osoby. Część podłogi zajmował siennik. Wnosząc z okrywającego go cienkiego koca, służył matce i dziecku jako łóżko. Na drewnianej skrzynce, pełniącej rolę stołu, stały wyszczerbiona filiżanka i czajnik. O piecu nawet nie było co mówić. Brakowało nawet kominka, żeby ogrzać tę izbę w zimie. W kącie wisiała sukienka, a

obok podobna, tylko w dziecięcym rozmiarze.

– Niewiele tu tego – powiedziała Bess ze spojrzeniem utkwionym w jedwabiacz gościa.

Susanna szybko dygnęła.

– Proszę mi wybaczyć, nie przedstawiłam się. – Wymownie zerknęła na Gideona. To on powinien był ją przedstawić. – Susanna Derring. Pan Harrow jest moim przyjacielem.

Pan Harrow skrzywił usta, wyraźnie tym oświadczeniem rozbawiony.

– Dziękuję za przyprowadzenie Jemmy. Mówiłam, że zapłacę, jak tylko będę mogła, ale on nie chciał czekać.

– To mieszkanie należy do Dana Sztyleta?

Bess pokiwała głową.

– Większość tego piętra należy. Dotychczas zawsze płaciłam czynsz na czas, ale straciłam posadę.

– Jaką posadę? – wtrąciła się Susanna.

Bess pogładziła chudziutkie plecy córeczki.

– Byłam szwaczką w pracowni przy St. Martin's Lane. Ciężko harowałam, naprawdę. I nigdy się nie spóźniałam. Ale bratanica właścicielki potrzebowała pieniędzy. Pani Gordon nie mogła płacić nam trzem, więc musiałam odejść.

– Kiedy to było?

– Dwa tygodnie temu. I jeszcze nic nie znalazłam. – W oczach Bess błysnęły łzy.

– On wróci – powiedział Gideon. – Nie możecie tu zostać.

– Wiem.

Ruchem głowy wskazał dziewczynkę.

– Opiekuj się nią.

Wziął Susannę za łokieć i pokierował w stronę drzwi, ale strząsnęła jego dłoń. Zamierzał zostawić tę nieszczęśnicę, nawet nie próbując jej pomóc?

– Czy macie kogoś, do kogo możecie pójść? – spytała matkę Jemmy. – Przyjaciółkę? Krewnych?

Bess pokręciła głową.

– Nikogo.

– To gdzie będziecie mieszkać?
Kobieta nie odpowiedziała, tylko mocniej przytuliła swoje dziecko.
Gideon trącił Susannę w ramię.
– Truskaweczko, chodźmy, zanim wróci Dan.
Ani drgnęła, więc znowu ujął ją za łokieć i pociągnął. Zrobiła dwa kroki, po czym zaryła obcasami w podłogę.
– Nie. Ja nie idę.
Gideon głośno jęknął.
– Owszem, idziesz. – Schwyciwszy Susannę za ramię, raz jeszcze spróbował ją wyprowadzić.
– Nie! – Zwróciła na niego wielkie, brązowe oczy.
Och, nie. Tylko nie to. Przygryzł wewnętrzną stronę policzka, aż zabolalo. Tylko nie te błagalne spojrzenia.
– Nie możemy ich zostawić na pastwę Dana Sztyleta. A tym bardziej wypchnąć na ulicę.
– Truskaweczko, przecież słyszałaś. – Gideon wskazał Bess, której oczy były teraz równie ogromne jak u Susanny. Nawet Jemma wpatrywała się w dorosłych z wyrazem zdumienia i szoku.
– Ona zalega Danowi z zapłatą. Masz jakąś forszę?
– Nie. – Susanna spuściła wzrok.
– Nawet gdybyś miała... Ten drań teraz chce się mścić. Jedyłą możliwością przetrwania da im ulica. – Wiedział, że to absurd, bo na ulicach Londynu nikt nie mógł długo przetrwać.
– Musimy coś zrobić!
– Więc zrób. Ja pryskam, zanim zjawi się Dan albo ktoś jeszcze gorszy.
– Beezle – wymamrotała Bess. – Chodzą słuchy, że cię szuka.
Już był przy wyjściu, kiedy Truskaweczka wyminęła go i zamknęła drzwi.
– Kto to jest ten Beezle, o którym wszyscy mówią? I dlaczego zagiął na ciebie parol?
Gideon zaczął wyjaśniać, lecz stwierdził, że szkoda słów.
– Nie chcesz wiedzieć. A jeśli dalej będziemy zwlekać, to ani

chybi sama się przekonasz.

– Dobrze – zgodziła się. Cholerna dziewczyna jednak miała trochę oleju w głowie!

– Ale nigdzie nie idę, dopóki nie dam Bess listu polecającego.

– Listu... jakiego listu, do diabła? – wrzasnął. Zdawał sobie sprawę, że krzyczy i że to błąd. Stracił panowanie nad sobą, co było złym znakiem. Nigdy nie wpadał w złość, ale ta pannica głądziła teraz o listach. Na miłość boską!

– To nie pora na pieprzoną korespondencję!

Susanna wycelowała w niego palec.

– Uważaj na język. Tu jest dziecko.

Gideonowi odebrało mowę. Usiłował coś wykrztusić, lecz usta odmówiły mu posłuszeństwa. Koniec końców zakrył rękami oczy i walnął głową w ścianę.

– Już po nas. Wspaniale. Ukatrupieni z powodu listu.

– Uwinę się raz-dwa.

Jasne. Lepiej miałyby nadzieję, że Beezle raz-dwa ją załatwi, bo śmierć była jedyną rzeczą, która raz-dwa mogła ich spotkać.

– Czy masz pióro i papier? – Susanna zwróciła się do Bess.

Gideon parsknął zdławionym śmiechem.

– Nie, panienko. A właściwie to mam. Jedną kartkę.

Gideon wytrzeszczył oczy. Tymczasem Bess postawiła dziecko na podłodze i podeszła do obdrapanego kredensu.

Otworzyła drzwiczki i wyciągnęła starą ulotkę reklamującą jakiś spektakl teatralny.

– Szyłam dla nich niektóre kostiumy – powiedziała z dumą.

Susanna odwróciła papier.

– Teraz tylko muszę mieć czym pisać. Masz coś, co by się nadało?

Jemma pociągnęła matkę za rękaw.

– Mamusiu, twoje przybory.

Młoda kobieta zmarszczyła czoło, a po chwili jej twarz rozjaśniła się.

– Oczywiście! Ołówek krawiecki. Tego panienka może użyć.

– Pospiesznie uniosła siennik i wydobyła spod niego pudełko. Najwyraźniej tę jedyną wartościową rzecz trzymała w ukryciu. Postawiła pudełko na posłaniu, uklękła obok i zaczęła grzebać wśród igieł i nici.

– Doskonale. – Odłożywszy nieszczęsny lichtarz, Susanna rozpostarła ulotkę na skrzynce, która służyła za stół. Pisząc, jednocześnie mówiła.

– Masz to zanieść do rezydencji Derringów w Mayfair. – Podała adres. – Poproś o widzenie z hrabiną. Powiedz, że przynosisz wiadomość ode mnie.

– Z hrabiną? – Matka Jemmy pokręciła głową. – Jakże bym śmiała?

Widząc wreszcie szansę na ucieczkę, Gideon zbył skrupuły Bess.

– Jasne, że byś śmiała. Susanna to jej córka. Hrabina ucieszy się z wieści.

Oczy dziewczyny stały się jeszcze większe, kiedy mierzyła swoją wybawicielkę spojrzeniem od stóp do głów. A Truskaweczka nadal pisała.

– Powtórz jej, że ją proszę, żeby dała ci jakąś posadę w domu. Wszystko to jest tutaj. – Wreszcie skończyła i wskazała na list. – Będziecie u nas bezpieczne, a nam zawsze przyda się dobra szwaczka.

– Nie... nie wiem, co powiedzieć – z trudem wykrztusiła Bess.

– To powiedz „do widzenia”. Wychodzimy.

Kiedy tylko Susanna opuściła ołówek i sięgnęła po lichtarz, Gideon pociągnął ją za sobą na korytarz. Potknęła się, ale już nie stawiała oporu.

Gideon Harrow nie przetrwałby w dzielnicach nędzy i zbrodni tak długo, gdyby nie potrafił się przyczać, gdy ścigali go Gońcy z Bow Street albo herszt innej bandy. Co prawda Beezle znał większość jego kryjówek, lecz były jedna czy dwie, o których wiedzę młodzieniec zachował wyłącznie dla siebie. Teraz musiał gdzieś przeczekać, aż zapadnie zmierzch i oboje z Truskaweczką

przesaną tak bardzo rzucać się w oczy. Schowają się na kilka godzin, pozwolą, by ślad wystygł, a wieczorem dotrą do ogrodów Vauxhall. Jeszcze tej samej nocy zamierzał odzyskać swój naszyjnik i przed świtem opuścić Londyn.

Poprowadził Susannę i Beauty znanymi sobie zakamarkami, bocznymi uliczkami, ścieżkami na skróty. Nikt nie mógłby ich wytropić, nawet żaden z jego kamratów. Problem polegał na tym, że dziewczyna wyróżniała się na tym tle niczym diament lub – zważywszy na kolor jej włosów – rubin błyszczący w błocie.

Mężczyźni przystawali, żeby się na nią pogapić. Kobiety szeptały o niej. Dzieci otaczały ją chmarą, próbując dotknąć jej sukni albo włosów. Beauty łagodnie odganiała najbardziej ciekawskich. Gideon nigdy nie myślał, że będzie wdzięczny za tego psa. Ale nawet obecność Beauty zwracała na nich uwagę. Dlatego odetchnął z ulgą, gdy wreszcie zapukał do tylnych drzwi paserskiej meliny przy Field Lane.

Truskaweczka oparła się o mur domu. Fakt, że nie zadała ani jednego pytania, świadczył o tym, jak bardzo musiała być zmęczona. Pokonali drogę z Mayfair do St. Giles, a potem do północnej części Holborn Hill. Przez cały ten czas prawie nic nie jedli i bardzo mało spali. Gideon mógł się spodziewać, że do tej pory dziewczyna zacznie już narzekać i jęczeć, a jednak nie usłyszał od niej słowa skargi.

Zastukał znowu, tym razem mocniej. Paserstwo to działalność prowadzona głównie pod osłoną nocy, więc byłby zdumiony, gdyby Des wstał z łóżka przed południem.

Pies dobrze wiedział, co robi, kiedy bronił swojej nowej pani. Gideon jej pragnął. I właśnie w tej chwili uświadomił to sobie z taką siłą, że aż załomotał pięścią w drzwi. Kiedy nabrał tak wielkiej ochoty, by ją poznać, dotykać? Nie potrafił określić konkretnego momentu, ale przeżył tysiąc małych poślizgów, jakby obsuwał się po stoku w otchłań pożądania.

Zeszłej nocy, gdy całował rękę Truskaweczki, odurzył go rozkoszny zapach i dotyk delikatnego ciała.

Dziewczyna usnęła oparta na jego ramieniu, a on nie odsunął

się, tylko objął ją, żeby nie zmarła i przez kilka godzin słuchał jej spokojnego oddechu.

Widział na własne oczy, jak przeciwstawiła się Danowi Sztyletowi, absolutnie bez cienia strachu. To była czysta nieświadomość. Truskaweczka nie postąpiłaby tak głupio, gdyby wiedziała, do czego ten łotr jest zdolny. Ale ta gniewna poza, te rumieńce barwiące policzki, ta furia, z jaką odrzuciła włosy... Samo wspomnienie wystarczyło, by członek Gideona stwardniał z pożądania.

– Des! – wrzasnął młodzieniec. – Otwórz, do cholery!

W ramach wsparcia kundel zaszczekał kilka razy, a potem zaczął przednimi łapami drapać drzwi. Ulewa zmyła część brudu z jego białej sierści i teraz było już widać, że po porządnej kąpieli Beauty mogła okazać się naprawdę ładną bestią. Miała pociągły pysk i bystre ślepia, a jej dumny krok mówił, że jest za dobra dla innych psów, które kulą się pod wozami i grzebią w śmieciach.

– Może wyszedł – powiedziała Susanna. Teraz stała już wyprostowana i wpatrywała się w górne okna domu.

– Nie wyszedł i wpuści nas. Jest mi coś winien.

– A co?

Za drzwi dobiegło czyjeś ciężkie stąpanie.

– Przysługę.

Drzwi skrzyknęły i uchylły się. Gideon pchnął je z takim impetem, że Des zatoczył się do tyłu. Wyglądał, jakby był na nogach przez całą noc. Bo też zapewne był. Jasne włosy sterczały mu na wszystkie strony, a szczecina na podbródku połyskiwała złościście w słońcu. Oczy miał zaczerwienione, co sprawiało, że ich niebieski kolor wydawał się jeszcze jaśniejszy.

– Czego, kurwa, chcesz? – warknął.

– Uważaj na język – odparł Gideon, szczerząc zęby w uśmiechu i machnął kciukiem, wskazując Susannę. – Tu jest dama.

– Jaka znowu dama?

Drzwi otwarły się szerzej, ukazując dorodną brunetkę w luźnym stroju, który nie ukrywał absolutnie niczego z jej bujnych kształtów. Właściwie naga wyglądałaby bardziej nobliwie.

– Prawdziwa, Brenno. Więc odsuń się, żebyśmy mogli wejść. Truskaweczka zastygła ze wzrokiem utkwionym w panią domu, więc Gideon musiał dziewczynę lekko popchnąć do przodu. Jednak gdy Beauty usiłowała udać się za nimi, Des uniósł rękę.

– Pies zostaje na dworze.

Truskaweczka zadarła podbródek o dwa cale i Gideonowi zachciało się płakać. Byli już tak blisko. Tak blisko.

– Jeśli Beauty zostaje na dworze, to ja też – oznajmiła wyniosłym tonem.

Niebieskie oczy Desa o mało nie wyskoczyły z orbit. W spojrzeniu, które rzucił Harrowowi, niewypowiedziane pytanie było tak wyraźne, że Gideon niemal się wzdrygnął.

– Panno Susanno Derring, mam przyjemność przedstawić... Des, jak ty, u diabła, masz na nazwisko?

Brenna odepchnęła Desa z przejścia.

– Gdzie twoje maniery? Przedstawiać się będziemy w środku. Możesz wziąć psa, kochanie. – W jej słowach brzmiała krztyna irlandzkiego akcentu. Londyńska wymowa nie zdołała go całkiem zagłuszyć.

Weszli. Pani domu zapaliła lampę i uprzejmie wskazała gościom krzesła – każde z innej parafii – rozsiane po niewielkim pomieszczeniu na tyłach sklepu. Na razie okiennice w sklepie były zamknięte. Des otwierał je o późniejszej porze, kiedy – wystawiwszy dla pozorów w oknie jedwabne chustki – z prędkością błyskawicy wymieniał gotówkę na różne kradzione dobra.

Podczas gdy Brenna krzątała się przy herbacie, Gideon znów spróbował dokonać prezentacji.

– Desmond Stewart – przerwał mu gospodarz. – Ale wszyscy mówią do mnie Des. A to jest Brenna. Pani, panno Derring, pewnie nie zna Field Lane.

– Nie zna. I mamy trochę kłopotów.

Des roześmiał się.

– A kiedy ty ich nie masz? Przypuszczam, że chcesz się tu zaszyć do wieczora. Nie potrzebuję, żeby twoje kłopoty przywlokły się za tobą...

– Des! – Brenna stuknęła filiżanką o stół tak mocno, że Gideon nabrał obaw, czy naczynie nie pękło. – Oczywiście, że są tu mile widziani. Nie możemy narażać tej dziewczyny na włóczenie się po ulicach.

– Rozdajesz zaproszenia lekką rączką, jak na to, że to nawet nie twój dom.

Susanna zrobiła wielkie oczy, a Gideon pojął, że dopiero teraz do niej dotarło, iż ta para może nie być małżeństwem.

Wygodnie opadł na oparcie krzesła. Znużone mięśnie rozkoszowały się chwilą wytchnienia.

– Nie chciałem o tym wspominać, ale jesteś mi winien przysługę.

– To nie wspominaj – warknął Des.

– A za cóż to? – Brenna skrzyżowała ręce na piersiach, dzięki czemu jej dekolt osunął się jeszcze niżej.

– Głupstwo – odparł Des. – Możecie zostać do zmroku i będziemy kwita. W piwnicy jest pokój.

– W piwnicy! – Herbata, którą Brenna właśnie nalewała, bryznęła na stół. Gideon musiał gwałtownie cofnąć dłoń, żeby uchronić się przed oparzeniem. – Tylko popatrz na tych biedaków. Damy im sypialnię.

Odstawiła imbryk, ale zanim zdążyła wyjąć chleb, Des przyciągnął ją do siebie na kolana.

– Myślałem, że to my jej używamy.

Kobieta zachichotała, zbywając jego słowa machnięciem ręki.

– Będzie na to dość czasu później.

– Lepiej, żeby było. – Des dał jej żartobliwego całusa i pociągnawszy za stanik sukni, odsłonił obfitą pierś. Uszczypnął ją, po czym postawił Brennę na nogi i lekko klepnął w siedzenie.

Ze śmiechem poprawiła suknię i dokończyła podawać do stołu.

Gideon sięgnął po chleb, ale Truskaweczka nie mogła nawet złapać tchu.

– Nie jesteś głodna?

Jej policzki pasowały czerwienią do włosów, a usta zastygły w małe o. Zapewne doznała szoku na widok pokazu czułości, którego właśnie była świadkiem.

Gideonowi dosyć spodobał się pomysł, by szokować ją dalej.

Kiedy już zjedli, Beauty z pełnym brzuchem ułożyła się koło pieca, a Brenna zaprowadziła Susannę na górę, gdzie dziewczyna miała się umyć i przebrać. Korzystając z tego, że zostali sami, Gideon zrelacjonował Desowi wydarzenia ostatniej nocy i poranka. Nim skończył, po schodach zeszła na palcach Brenna, przyodziana w jedwabie Truskaweczki.

– Zasnęła. Biedactwo, była już na ostatnich nogach.

Gideon wskazał na zbyt ciasną suknię, opinającą do granic wytrzymałości obfite biodra i piersi gospodyni.

– Okradłaś ją z ubrania?

– Dałam jej moje rzeczy. Jeśli zamierzasz nadal ciągać tę dziewczynę po Londynie, Harrow, to to nie jest najbardziej praktyczny strój.

– Na tobie wygląda zachwycająco – oznajmił Des z wyrazem oczu, który Gideon dobrze znał.

– Gdzieś ty ją znalazł? – zmieniła temat Brenna. – Mogłabym przysiąc, że jest niewinna jak dziecko. Myślała, że Des to mój mąż. – Parsknęła głośnym śmiechem. – Zarumieniła się po korzonki włosów, kiedy ją rozebrałam z tej sukni. – Dźgnęła palcem w kierunku gościa. – Lepiej z nią uważaj. Ona jest dziewicą albo ja nie jestem Brenna O'Shea.

Gideon przecesał palcami czuprynę. Powieki mu ciążyły i szczerze zazdrościł Truskaweczce, że poszła spać.

– Nie tknąłbym jej – powiedział. – Im szybciej od niej się uwolnię, tym lepiej.

– To dobrze. – Brenna skinęła głową.

– Bardzo dobrze – dodał Des. – Brenno, kochanie, chodź tu do mnie na kolana.

– Och, teraz to jestem Brenna, kochanie, tak? A jeszcze przed chwilą za bardzo rządziłam się w twoim domu.

– Mój błąd. – Des przyciągnął ją do siebie.

Gideon wstał.

– To ja...

Ale gospodarze nie zwracali już na niego uwagi. Udał się więc na górę, pozostawiając za sobą chichoty Brenny. Drzwi do pokoju były uchylone. Truskaweczka spała z ręką zwiniętą pod policzkiem. Miała na sobie za dużą sukienkę; ładny, zielony materiał skłębził się wokół nóg. Z twarzy zniknęła smuga popiołu, a włosy dziewczyny leżały rozrzucone wokół głowy niczym ognista aureola.

Gideon pragnął wpełznąć do łóżka, tuż koło niej.

Pragnął obudzić ją pocałunkami i powolnymi pieszczotami.

Pragnął... Pragnął tego, czego – jak dobrze wiedział – nigdy nie mógł mieć.

Och, Dorotheo! – Lady Chesterly wkroczyła do buduaru i zagarnęła hrabinę Dane w mocno uperfumowane objęcia. Dorothea starała się oddychać możliwie płytko, żeby nie udusić się od zapachu różanych płatków.

Wreszcie Florentia uwolniła ją i zajęła obite kremowym jedwabiem krzesło obok lawendowego szezlonga, na którym spoczywała jej przyjaciółka.

Małe, piwne oczy omiotły Dorotheę uważnym spojrzeniem. Po chwili nowo przybyła skinęła na Edwards.

– Powiedz gospodyni, że potrzebna nam natychmiast herbata z brandy.

– Tak, jasnie pani – odparła pokojówka.

– A poza tym odrobina tych pysznych ciasteczek. – Florentia poklepała przyjaciółkę po ramieniu. – Musisz podtrzymywać siły, moja droga.

Rzecz jasna były to jej ulubione ciasteczka. Dorothea nie chciała słodyczy. Nie chciała herbaty. A nawet nie chciała towarzystwa lady Chesterly.

Chciała tylko, żeby Susanna wróciła do domu.

– Wyruszyłam od razu, kiedy tylko otrzymałam twój liścik – oznajmiła Florentia. – Wspomniałaś o jakimś pilnym problemie, ale prawdę mówiąc, nie spodziewałam się zastać cię w takim stanie.

Dorothea pomyślała, że może to dlatego, iż prawie nigdy nie czuła się tak bliska utraty kontroli nad sobą. Nie szlochała, ani nie narzekała, kiedy umarł Erasmus. W milczeniu i samotności ronila łzy nad maleństwami, które utraciła. O mało nie rozplakała się na ślubie Dane’a z tą okropną, nieodpowiednią Marlowe. Ale była silna. Musiała być silna, bo w jej świecie nie było miejsca dla kobiety słabej.

Tego właśnie próbowała nauczyć córkę. A teraz Susanna

zniknęła.

– Proszę, powiedz mi, co ci dolega. Czy mam wezwać doktora? – zapytała Florentia.

– Nie – odparła Dorothea.

Florentia powiodła badawczym spojrzeniem po małym, ale eleganckim buduarze.

– Gdzie jest Susanna? Nie dogląda cię?

Wargi lady Dane zacisnęły się.

– Właśnie z jej powodu poprosiłam, żebyś przyjechała – szepnęła. – Ona... ona... – Zdawało się, że nie potrafi wykrztusić tych słów. Słyszała, jak je mówiono. Wypowiedział je Crawford, a później Brook po przeprowadzeniu pobieżnych poszukiwań. Ale Dorothea bała się, że jeśli padną z jej ust, to staną się rzeczywistością.

Przyjaciółka pochyliła się nad nią.

– Ona co?

Próbując pohamować łzy, lady Dane wbiła paznokcie w miękkie wnętrza dłoni i z trudem przełknęła ślinę, upokorzona odgłosem, który temu towarzyszył.

– Jest chora? – zgadywała lady Chesterly.

– Nie. – Dorothea potrząsnęła głową. Powinna była wreszcie to powiedzieć i nie zmuszać biednej, drogiej Florentii do snucia domysłów.

– Jest zaręczona?

Dorothea na moment zacisnęła powieki, żeby powstrzymać klucie łez. Jeśli wieść o zniknięciu jej córki przedostanie się do publicznej wiadomości, Susanna nigdy nie znajdzie męża.

– Jest brzemienna! – wyszeptała Florentia.

– Nie! – krzyknęła piskliwie lady Dane. Nie mogła znieść myśli o takich konsekwencjach wybryku Susanny. Zamknęła oczy i próbowała się uspokoić. – Ona uciekła.

Florentia gwałtownie wciągnęła oddech.

– Na pewno nie! Muisz się mylić.

Dorothea pokręciła głową.

– Nie myślę się. Dziś rano spałam do późna. W nocy obudziła

mnie burza, więc dobrze nie wypoczęłam.

Gość wydał potwierdzający pomruk.

– Tak, była prawdziwa nawałnica. Połamało nam cis w ogrodzie.

Lady Dane skarciła przyjaciółkę surowym spojrzeniem. Zganiona w ten sposób, Florentia zacisnęła usta.

– Edwards obudziła mnie, bo pokojówka Susanny bardzo się niepokoiła. Zastała jej sypialnię pustą. Pościel była nienaruszona.

– Wczoraj wieczorem Susanna była z tobą w domu?

– Tak, tak.

Brook już zadawał jej te wszystkie pytania.

– O Boże – powiedziała Florentia cicho. Ton przyjaciółki przyprowadził Dorotheę o dreszcz lęku. Oczywiście, już wcześniej wyobraziła sobie każdy możliwy scenariusz, ale teraz nie potrafiła stłumić potrzeby roztrząsania ich szczegółowo.

– Uważasz, że mogła uciec, aby kogoś poślubić? – zapytała Florentia.

– Na pewno nie. Trzymałam ją bezpiecznie z dala od tego rodzaju mężczyzn. – Dorothea chciała jeszcze dodać, że Susanna nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego matce tak oddanej jak ona. Przecież musiała wiedzieć, że to złamałoby jej serce. Ale nie dodała. Bo gdyby Susannę obchodził stan matczynego serca, byłaby teraz w domu.

– A co mówi sir Brook? – dopytywała się Florentia. – Z pewnością lada moment przyprowadzi ją do domu.

– Też tak myślałam, ale wyszedł już wiele godzin temu i dotąd go nie ma. – Głos Dorothei zaczął się trząść. – Nie znalazł żadnych śladów włamania ani przemocy. Prawdę mówiąc, jedyną rzeczą, która przepadła, jest lichtarz.

– Jeden lichtarz?!

Dorothea twierdząco skinęła głową.

– Dziwne. A co o tym sądzi sir Brook?

– Znasz Brooka. – Dotknęła chusteczką oczu. – On nigdy nie snuje domysłów. Więc teraz siedzę i czekam. Być może moja kochana Susanna ma kłopoty, a ja nie jestem w stanie nic zrobić,

żeby jej pomóc.

– Uspokój się, droga Dorrie. – Florentia poklepała ją po ramieniu. To tylko zirytowało Dorotheę. Pożałowała, że prosiła przyjaciółkę o przybycie. Nie chciała być poklepywana. A ta kobieta robiła to nieustająco. – Nie powinnaś siebie obwiniać.

Lady Dane skoczyła jak oparzona i żeby złapać równowagę, chwyciła się brzegu szeszlona.

– A czemuż to miałabym siebie obwiniać?

Gość aż się skulił. Teraz lady Chesterly przypominała żółwia, który chce zniknąć w swojej skorupie.

– Chciałam powiedzieć „nie należy”. Wyraziłam się niedokładnie.

– Nieprawda. Uważasz, że to moja wina. Tak? – Dorothea oskarżycielsko wymierzyła w nią palec. – Tak!

Florentia ostentacyjnie wpatrzyła się w drzwi za jej plecami.

– Czy to już herbata?

– Do diabła z herbatą!

Małe oczka lady Chesterly o mało nie wypadły z orbit.

– Myślisz, że za bardzo ją chronię.

– Jest twoją córką. To oczywiste, że musisz ją chronić.

Tyle tylko, że Dorothea potrafiła rozpoznać, kiedy próbowano ją ułagodzić.

– Ale myślisz, że za bardzo ją chronię.

Z opuszczonymi ramionami Florentia gniotła w dwóch palcach materiał sukni.

– Myślę, że ją serdecznie kochasz. Bo jakże mogłoby być inaczej po tych wszystkich stratach, które poniosłaś?

Lady Dane opadła na szeszlona. Wyglądała, jakby uszło z niej całe powietrze.

– No właśnie.

– Ale...

Podbródek Dorothei gwałtownie podjechał do góry.

– Ona może nie rozumieć twoich motywów. Dzieci czasami się buntują, jeśli trzymane są zbyt krótko.

– A ty wiesz to wszystko dzięki rozległemu rodzicielskiemu

doświadczeniu?

Policzki lady Chesterly poczerwieniały i Dorothea natychmiast zawstydziła się swego wybuchu.

– Nie pomagam. – Florentia wstała. – Już pójdę.

– Zaczekaj. – Dorothea wyciągnęła rękę, którą przyjaciółka ujęła z ociąganiem. – Może byłam nieco zbyt rygorystyczna. Nie chciałam, żeby popełniła te same błędy co ja.

– To oczywiste.

– Traktowałam ją za surowo. Powinna być dla niej czulsza. Okazywać jej więcej miłości. Bóg mi świadkiem, że Erasmus ledwie mógł na nią patrzeć.

– Myślisz, że wiedział?

– Nie był głupcem. Nie sądzę, żeby mnie potępił, gdyby nie Susanna. – Hrabina ukryła twarz w dłoniach. – A ona... – powiedziała stłumionym głosem – ona nalega, żebym ją zabrała do ogrodów Vauxhall. Nie rozumie, o co prosi.

– Z pewnością możesz tam bezpiecznie jeździć.

Dorothea pokręciła głową, ale nadal jej nie podniosła. Nikt nie będzie oglądał hrabiny Dane we łzach.

– Tam nigdy nie będę się czuła bezpiecznie.

Już nigdy i nigdzie nie miała tak się czuć. Pomimo wszystkich wysiłków, by ochronić córkę, straciła ją. Mogła więcej Susanny nie zobaczyć. I nawet nie zdążyła powiedzieć, że ją kocha.

A teraz było za późno.

– Jaśnie pani? – Lokaj zastukał do drzwi.

Dorothea wytarła oczy i wyprostowała ramiona.

– Tak, Crawford? Wejdz.

Lokaj z napięcia aż zagryzał wargi. Skłonił się przed lady Chesterly, po czym podszedł do szezlonga i podsunął hrabinie srebrną tacę, która spoczywała na jego obleczonych w białe rękawiczki dłoniach. Na tacy leżał tylko jakiś zżółkły, pomięty papier.

– Pod drzwi dla służby przyszła kobieta z dzieckiem. Odprawiłbym ją, ale wręczyła mi ten... – Zerknął na brudną kartę,

wyraźnie nie wiedząc, jakim słowem ją określić. – Ten teatralny afisz.

– Nie pojmuję, czemu mnie miałyby to interesować. Nie wspomagamy żebraków. Powiedz im, niech sobie idą.

– Ta kobieta, niejaka Castle, twierdzi, że lady Susanna napisała na odwrocie afisza wiadomość.

– Susanna? – Hrabina Dane porwała papier z tacy. Rzeczywiście, tył karty zajmował krótki liścik, nabazgrany czymś, co przypominało krawiecki ołówek. Charakter pisma nie budził żadnych wątpliwości.

Droga Mamo,

Bess Castle jest wyśmienitą szwaczką. Okazała mi wiele życzliwości, więc byłabym bardzo wdzięczna, gdyby Mama zechciała polecić Crawfordowi, by zatrudnił ją razem z córeczką w Derring House. Zawsze Mama mówiła, że dobra szwaczka jest na wagę złota.

Oddana córka,

Susanna

Pod tymi kilkoma zdaniem zostało jeszcze wciśnięte postscriptum.

Niedługo wrócę.

– Niedługo wróci! – zagrzmiała Dorothea. – Niedługo wróci! Co ona sobie wyobraża? Że jest na wakacjach? Gdzie ta kobieta, Crawford? Chcę z nią porozmawiać. Muszę wiedzieć, gdzie ostatnio widziała moją córkę.

– Tak sądziłem, że będzie jaśnie pani chciała. Prawdę mówiąc, pozwoliłem sobie posłać Nathaniela po sir Brooka.

– Bardzo dobrze, Crawford – pochwaliła lady Chesterly.

– Wypytałem też tę Castle, skąd pochodzi.

Hrabina wychyliła się do przodu.

– No i?

– Adres, który mi podała, to ulica w St. Giles, jaśnie pani. A ściślej mówiąc, w Seven Dials.

Dorothea hrabina Dane opadła na szezlong.

Seven Dials. Jej najdroższe, ukochane dziecko włączyło się

po Seven Dials. Mogłaby zabić Susannę. O ile ta nie była już
martwa.

Susanna ocknęła się nagle i przez chwilę leżała zdezorientowana dźwiękami, które dobiegały z ulicy. Jakiś ochryply kobiecy głos zachwalał mięsne paszteciki. Kilku mężczyzn kłóciło się o kogoś nazwiskiem sir John Barleycorn^[7]. Otworzyła oczy, ale to nie rozproszyło jej wątpliwości. Pokój wyglądał obco. Zajął jej siedem szybkich, mocnych uderzeń serca, zanim przypomniała sobie, gdzie jest.

Niestety tuż potem cztery lub pięć razy boleśnie ścisnęło ją w piersiach, bo u swego boku wyczuła czyjeś ciepłe ciało. Zasłony w oknach były tak cienkie, że niemal przejrzyste. W sączącym się przez nie słonecznym blasku połyskiwały na poduszce ciemne włosy.

Spojrzenie Susanny natychmiast pomknęło ku twarzy Gideona. Dotąd nie było okazji, by swobodnie mogła mu się poprzyglądać.

– Gapisz się na mnie?

Dziewczyna pisnęła i odskoczyła do tyłu. Dla takich przejawów popłochu łóżko okazało się nie dość szerokie i gdyby Gideon błyskawicznie nie zareagował, ani chybi wylądowałaby na podłodze. Jednak w samą porę zacisnął palce wokół jej nadgarstka i szarpnął mocno.

Trochę za mocno. Truskaweczka wylądowała na nim jak długa. Natychmiast spróbowała dźwignąć się i odsunąć, ale przytrzymał ją, przyciskając dłonie do jej pleców.

– Przyjrzyj się dobrze – zachęcił. – Ta blizna jest ohydna, a jednak dziwnie fascynująca.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie jest ohydna.

Zmrużył oczy i przez dłuższą chwilę badawczo wpatrywał się w Susannę. Poprzednio twierdził, że kiepska z niej kłamczucha. Czy potrafił dostrzec, że teraz nie kłamała?

Czy potrafił dostrzec, że nie znajdowała w nim niczego odpychającego, nawet w najmniejszym stopniu?

A właściwie to wręcz przeciwnie.

Zsunął ją na bok, usiadł i przeczesując palcami włosy, mierzwił je jeszcze bardziej.

– Chcesz wiedzieć, skąd ją mam, prawda?

– Nie zamierzam wściubiać nosa w nieswoje sprawy – odparła Susanna z godnością.

Gideon roześmiał się ponuro.

– Pewnie. Chcesz się tylko pogapić, kiedy śpię, ale w ogóle nie wściubiasz nosa w nieswoje sprawy.

Susanna spuściła wzrok i wówczas zauważyła, że dekolt sukni, którą dała jej Brenna, zjechał o wiele za nisko. Gwałtownie podciągnęła gors do góry.

– Masz rację. Moje zachowanie było karygodne. To już się nie powtórzy.

Na twarzy Gideona odmalowało się zdumienie.

– Ty tak na serio, prawda? – Przeciągnął palcem po jej policzku, a Susanna z całych sił starała się nie wzbraniać. – Jesteś bardzo poprawna i dobrze wychowana. – Palec sunął w stronę zagłębienia u nasady jej szyi. – Nabieram ochoty, żeby cię zdemoralizować.

Zaczął obwodzić linię dekoltu, z którym Susanna dopiero co walczyła.

– A jeśli nie chcę, żebyś mnie demoralizował? – Dziewczyna chwyciła dłoń Gideona i odciągnęła od swoich piersi.

– A jeśli chcesz?

Odpychała go dalej, ale zdołał wykręcić rękę w nadgarstku. Teraz to jej ręka znalazła się w potrzasku.

– Chcę od ciebie jedynie tego, żebyś służył mi za przewodnika do ogrodów Vauxhall. Niczego więcej.

– Niczego?

Kiedy napotkał jej oczy, poczuła ucisk w gardle. Nie mogła zmusić się do mówienia, więc tylko słabo potrząsnęła głową.

– Nawet całusa?

– Nie! – wykrztusiła.

– Yhm – mruknął zgodnie, chociaż odmowa Truskaweczki nieco go zdumiała. – No to ci opowiem, skąd mam tę bliznę.

– Naprawdę?

– O ile w zamian mi wyjaśnisz, dlaczego tak ci zależy na tych ogrodach.

Mogła się domyślić. Ostatecznie był kanciarzem. Niczego nie dawał za darmo.

– Nie musisz mi mówić – dodał, wreszcie uwalniając jej rękę. Spojrzenie jego zielonych oczu powędrowało do zasłoniętego cienką tkaniną okna. – Ale jeśli to zrobisz, może bardziej ochoczo będę nadstawiał karku, kiedy zapadnie zmierzch.

– Nie możemy iść teraz? Moja matka pewnie szaleje ze zdenerwowania. A brat oczywiście mnie szuka.

– Ogrody Vauxhall są zamknięte do wieczora. – Gideon wstał i przeciągnął się, odsłaniając pas śniadej skóry na płaskim brzuchu. – I do diabła z sir Brookiem. Może sobie być najlepszym śledczym w kraju. Może odnajdywać ludzi, których nikt inny nie potrafił wytropić, ale nie zna melin, które ja znam. Nie złapie mnie, chyba że sam tego zechcę.

– A Beezle?

– To drugi powód, dla którego musimy czekać, aż się ściemni. Za dnia zbytnio rzucasz się w oczy. – Jego wzrok spoczął na Susannie, która poczuła, że się rumieni. Znow podciągnęła wyżej stanik sukni, co Gideon przyjął z szerokim uśmiechem.

– Ja? A co ja mam wspólnego z tym Beezle'em?

– Widziano cię w moim towarzystwie.

– Gdybym to mogła cofnąć.

Bez cienia skruchy uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Ostrzegałem cię.

Jako że faktycznie ostrzegał, a ona puściła to mimo uszu, Susanna zmieniła temat.

– Więc czekamy do zmroku i potem ruszamy do Vauxhall.

– Taki jest plan. – Gideon całym ciężarem padł na łóżko, aż przechyliła się w jego stronę, tracąc równowagę.

– A co będziemy robić przez cały dzień?
Na parterze coś runęło z łoskotem i rozległ się chichot Brenny.

– Byłbym w stanie parę rzeczy wymyślić. – Kolejny szelmowski uśmiech. Ten człowiek miał ich nieprzebrane zapasy.

– Twój przyjaciel nie chce odzyskać sypialni?

Znowu łoskot i znowu śmiech.

– Sądzę, że dobrze sobie radzą i bez niej.

Susanna opuściła głowę, by ukryć policzki. Obawiała się, że uprzednio zaróżowione z zakłopotania, teraz płonęły już czerwienią. Dobiegło ją jeszcze więcej chichotów, a potem cichy jęk.

Żar z twarzy spłynął w dół jej ciała i umiejscowił się w podbrzuszu, wywołując nieznaną i dziwnie nagłący ból.

O, Boże. Odwrócić uwagę. Tak. Potrzebowała czegoś, co odwróci jej uwagę.

– Właśnie miałeś mi opowiedzieć, skąd ci się wzięła ta blizna – odezwała się gromkim głosem, żeby zagłuszyć hałasy z dołu.

– Naprawdę? – Nienaruszona brew uniosła się do góry. – Więc zgadzasz się na moje warunki?

Kolejny jęk.

– Tak, tak. Zgadzam się. Tylko już mów.

– Dobrze się czujesz, Truskaweczko? Dostałaś takich wypieków.

– Nic mi nie jest – syknęła Susanna, odwracając od niego twarz. – W pokoju jest gorąco.

– Nie zauważyłem.

Jej towarzysz dźwignął się z łóżka i przez wąską szparę między zasłonami wyjrzał na ulicę. Odwrócił się do Susanny tyłem, więc nie mogła oprzeć się pokusie studiowania jego wyglądu. Zgrzebna koszula była niegdyś śnieżnobiała, czarne spodnie wypłowiały. Na krześle leżał porzucony stary surdut. Jednak mimo tego sfatygowanego stroju, Gideon prezentował się doskonale. Kiedy tak stał koło okna, wysoki i wyprostowany, miał w sobie coś niemal królewskiego. Przypominał jej monarchę na

wygnaniu, który próbuje przystosować się do życia gminu.

Może za tą jego bliźną kryła się podobna historia? Może to naprawdę zaginiony syn jakiegoś księcia czy barona, który przepuścił rodzową fortunę?

A co, jeśli był dokładnie tym, kim wydawał się być, a ona próbował widzieć w nim kogoś innego, bo...

Bo go polubiła.

Bo mimo wszystko – albo z jakichś powodów – polubiła go. I właśnie wyobrażała sobie, że mogłaby go poślubić. Co było już naprawdę śmieszne.

Zupełnie jakby czytał w jej myślach, Gideon odwrócił się i pochwycił spojrzenie Susanny. Jeśli nawet zirytowały go te bezczelne oględziny, niczego po sobie nie dał poznać. Minę nadal miał kpiącą zarazem i zadowoloną z siebie.

– Nie uwierzysz, ale nie urodziłem się złodziejem. – Zaciągnąwszy mało skuteczne zasłony, spokojnie zawrócił do łóżka, stanął w jego nogach i popatrzył na nią z góry.

– Wręcz przeciwnie, mogę w to uwierzyć bez najmniejszego trudu.

A więc nadeszła ta chwila, kiedy powie jej, że naprawdę jest wicehrabią w przebraniu. Czyż Brook nie zyskał swojej obecnej reputacji dzięki temu, że odnalazł zaginionego brata jakiegoś wicehrabiego, czy kogo tam, w palarni opium? Takie rzeczy się zdarzają.

– Moi rodzice nie byli zamożni.

Rozczarowana, Susanna poczuła się, jakby uszło z niej powietrze. Zerknęła na Gideona, który umilkł ze skonsternowaną miną. Bez wątpienia zastanawiał się, co też Truskaweczkę tak przygnębiło.

– Na pewno chcesz tego słuchać? – zapytał.

– Tak. Proszę, mów dalej. Twoja rodzina nie była zamożna.

– Ano nie była, ale mieliśmy dach nad głową i nie chodziłem spać głodny. Na szkołę pieniędzy brakowało, więc babcia nauczyła mnie czytać i pisać.

– Och. – Susanna nie zamierzała okazywać zdumienia,

jednak wcześniej, kiedy Gideon wspomniał, że umie czytać, wzięła jego słowa za czcze przechwałki. Nie spodziewała się, że jest w pewnej mierze wykształcony. A mogła. Mówił znacznie poprawniej niż większość osób z niższych warstw społecznych, chociaż co jakiś czas do jego języka zakradała się plebejska wymowa. Z drugiej strony, mężczyźni tacy jak on, oszuści i krętacze, potrafili naśladować lepszych od siebie.

Ale być może Gideon nikogo nie naśladował.

– Moja babka utraciła swoją pozycję. Jej ojciec był dżentelmenem. Oprócz niej nie pozostawił żadnego potomstwa, więc gdy zmarł, posiadłość trafiła w ręce dalekiego kuzyna.

– To były dobra majoratowe^[8].

Kiwnął głową.

– O, właśnie, tak to się nazywa. Kiedy z kolei umarł dziadek, syn babci – a mój ojciec – musiał nauczyć się jakiegoś fachu. Przez lata pracował w drukarni i dostarczał mi całą masę materiałów do czytania.

– A co tam drukowali?

– Broszury religijne, literaturę polityczną. Wszystko, za co ktokolwiek chciał zapłacić. Natomiast mama była szwaczką. Szyła całą moją garderobę.

– Więc byłeś dobrze ubrany i odcytany. – Susanna przyciągnęła nogi do klatki piersiowej i rękoma objęła kolana. Nigdy by nie przypuszczała, że miał takie dzieciństwo. Fascynowała ją myśl o tym mężczyźnie jako chłopcu – z matką, ojcem, babcią. Teraz wydawał się strasznie samotny, niezależny. Można by sądzić, że nikogo nie potrzebował.

– Wygląda na to, że rodzice bardzo cię kochali.

Zaśmiał się krótko, po czym utkwiał wzrok w jakiejś plamce na ścianie.

– Prawda?

Zapadła cisza i szczęśliwie była to cisza prawdziwa, ponieważ cokolwiek Brenna i Des przedtem robili, dobiegło końca. Susanna czekała na dalszy ciąg opowieści. A kiedy nie nastąpił, opuściła ręce i uklękła.

– Nie kochali cię? – przynagliła go do mówienia.

– Umarli. – Jego spojrzenie znów pobiegło ku niej i przez moment widziała chłopca, którym niegdyś był. Surowy wyraz zielonych oczu złagodniał, szczerzy uśmiech zastąpił arogancki grymas ust.

Jednak chwilę później powrócił zatwardziały złodziejasek.

– Jak? – szepnęła.

– Gorączka. Zabrała babkę, a potem matkę. – Wzruszył ramionami, jakby o to nie dbał, ale dziewczyna wiedziała, że wspomnienie ich śmierci musiało być dla niego bolesne. – Tamtej zimy zabiła wiele osób.

– Tak mi przykro – wymamrotała Susanna, wyciągając rękę, żeby pocieszająco dotknąć jego ramienia.

Gideon cofnął się o krok.

– Mnie też było, ale zrobiło się jeszcze gorzej, kiedy ojciec zaczął pić.

Susanna już się domyślała, dokąd zmierza ta historia. Och, czemu prosiła, żeby o tym opowiadał?

– On ci to zrobił? – spytała, wskazując na bliznę.

Gideon pokręcił głową.

– Nie. Zrobił mi co innego. Picie doprowadziło go do zupełnego upadku. I pewnej nocy już nie wrócił do domu. W wieku siedmiu lat zostałem sierotą.

Skrzyżowała ramiona, bo jak dobrze wiedziała, on teraz nie dałby się objąć. Nie był już małym dzieckiem, a jednak żałowała, że nie może przytulić tamtego siedmiolatka, nie może ukoić jego lęków.

– Chcesz wiedzieć, kim jest Beezle? Hersztem chłopaków z Covent Garden. To moja szajka – a raczej to była moja szajka. Satin, który ją założył, zatrudnił mnie, kiedy miałem dziesięć czy jedenaste lat. Beezle zjawił się później. I okazał się nie lepszy od Satina. W każdym razie równie bezlitosny. Teraz, dzięki naszej wspólnej przyjaciółce Marlowe, Satin odsiaduje w pudle, a nowym księciem złodziejasek został Beezle.

Susanna skinęła w kierunku jego skroni.

– Robota Satina?

Z roztargnieniem dotknął blizny, niemal jakby o niej zapomniał.

– W pewnym sensie. Walczyłem o łup – bodajże jedwabną chusteczkę – z członkiem bandy, która z nami rywalizowała.

Chłopak wyciągnął nóż i... – Gideon przesunął śniadym palcem po białej bliznie. – O mało nie wydłubał mi oka.

– Miałaś szczęście – powiedziała Susanna.

– Fakt. Właśnie to zawsze sobie powtarzam. Mam szczęście.

– Chcę ci coś obiecać. Kiedy tylko odprowadzisz mnie z Vauxhall, oddam ci naszyjnik. Nie złamię słowa.

– Nie, nie złamiesz. – Jego spojrzenie stało się bardziej skupione. – Niech sprawiedliwości stanie się zadość – powiedział, opierając kolano na łóżku, które było tak małe, że nawet to nieznaczne obciążenie zakłóciło równowagę Susanny i nieomal pchnęło dziewczynę na Gideona. – Moja blizna jest pamiątką po walce z innym złodziejem. A teraz twoja kolej.

Ujął ją za łokieć i podźwignął do góry, aż znowu klęczała, zwrócona do niego twarzą. A potem, otoczywszy ramieniem jej plecy, przyciągnął Susannę bliżej do siebie.

– O co ci chodzi? – spytała ostro.

Ani trochę nie zbity z tropu, umieścił ją tuż przy udzie tej nogi, która wspierała się na sienniku. Tors Gideona prawie dotykał piersi Truskaweczki, a bijące od niego ciepło sprawiało, że ciarki chodziły jej po skórze.

– Odbieram należną zapłatę.

– Miałam ci opowiedzieć o mojej matce.

– Opowiesz. – Puścił jej rękę, po czym zanurzył palce w rudoblond lokach. Delikatnie pociągnął i Susanna musiała popatrzeć mu w oczy, by uniknąć bólu. – Zgodziłaś się na moje warunki. Nie pytałaś, jakie są.

– Zakładałam...

– I to był twój trzeci błąd. Pierwszym była prośba, żebym został twoim przewodnikiem. A drugim... – Gideon pochylił głowę. Teraz ich twarze dzieliło tylko parę cali. – Drugim było

wyznanie, że nikt nigdy cię nie całował.

Wpatrywała się w niego szeroko rozwartymi, brązowymi oczyma. Mógłby się obawiać, że ją przestraszył, gdyby nie rozchyliła ust, dotykając górnej wargi czubkiem języka. Truskaweczka chciała być całowana. Do tej pory powinna była już zaznać pocałunków. Może próbował z nią tego jakiś niedoświadczony młodzik, który ją obślinił albo wepchnął jej język do gardła.

Dłoń Gideona zacisnęła się w rudawej gęstwinie. Nie chciał myśleć, że Truskaweczki mógł dotykać inny mężczyzna. Pragnął być tym pierwszym.

– Dlaczego to, że ci powiedziałam, że jeszcze nikt mnie nie pocałował, uważasz za błąd? – zapytała cichym, gardłowym głosem.

– Bo mówimy o niedopatrzaniu, które muszę naprawić.

Jej włosy łaskotały mu skórę nadgarstka. To odczucie kojarzyło się Gideonowi z dotykiem jedwabnej przędzy, zanim tkacze uczynią z niej wytworny materiał. Długie rzęsy dziewczyny zadrgały i znów się uniosły, ukazując ogromne oczy. Oczy pociemniały z podniecenia.

– Nie powinieneś.

– Masz rację. Nie powinienem. Nie powinienem mieć śmiałości choćby cię tknąć. I właśnie dlatego cię pocałuję. Nazwij to moją przekorną naturą. Mam brzydki zwyczaj robić to, czego nie powinienem.

Przysunął usta do jej twarzy i delikatnie dotknął różowych warg. Długie rzęsy znów zatrzepotały i opadły. Gideon poczuł, jak Susanna nieznacznie dygocze w jego ramionach.

Po chwili rzęsy uniosły się.

– To był pocałunek?

– Nie. – Spróbował ukryć uśmiech. – Ale zamierzam cię zdemoralizować, Truskaweczko.

– Już powiedziałam, że nie chcę.

– Stopniowo, powoli. – Palce Gideona przesunęły się w stronę jej talii. – Krok po kroku. – Musnęły wypukłość pośladka. –

Minuta po minucie.

Leciutko ścisnęły jej ciało, aż zadrżała.

– Nie chcesz być demoralizowana? – Jeszcze raz dotknął ust dziewczyny. – To oddaj mi naszyjnik.

– Nie mogę – szepnęła. – Dopóki nie...

Zaczął językiem obrysowywać jej wargi, które okazały się niewiarygodnie rozkoszne. Były pełne, ponętne i miały smak miodu.

– Co ty robisz? – wykrztusiła zgorazona.

– Przecież mówiłem. – Gideon skubnął dolną wargę. –

Demoralizuję cię.

Przycisnął usta do jej ust, pozwalając Truskaweczce przywyknąć do ich dotyku.

– Nie rób tego.

– Więc każ mi przerwać. – Przestał ją całować, ale wargi pozostały blisko, ledwie na odległość oddechu.

Czekał. To prawda, był złodziejem, kłamcą, oszustem.

Jednak nie brutalem. Zostawiłby ją w spokoju, gdyby poprosiła.

Serce mu waliło, cały stęzał z napięcia. W miarę jak mijały sekundy, jego członek stawał się coraz twardszy. Obydwoje tkwili bez ruchu, bez tchu. I właśnie kiedy Gideon pomyślał, że znaleźli się w kolejnym impasie, jej ręka przylgnęła do jego klatki piersiowej.

Lekki, nieśmiały dotyk o mało go nie zgubił. Ogarnęła go niewyobrażalna pokusa, żeby położyć Truskaweczkę, nakryć swoim ciałem i całować w taki sposób, w jaki powinna być całowana. Łatwo mógłby to zrobić. Klęczał już jednym kolaniem na łóżku, tuż przy niej. Musiał tylko opuścić ją powoli do tyłu.

Ale Gideon nie byłby najlepszym kanciarzem w bandzie Beezle'a, gdyby dawał się ponosić swoim zachciankom. Umiał nad sobą panować. Potrafił wziąć się w garść.

Wytrzymał ciepło i delikatną pieśczość niepewnych palców, kiedy błędziły po jego torsie. Ani drgnął, gdy łaskotały mu skórę. Zacisnął zęby, gdy palce prześlizgnęły się po szczególnie wrażliwym miejscu.

Czekał cierpliwie, aż wreszcie uniosła powieki. W jej oczach ujrzał zaproszenie, lecz pragnął je jeszcze usłyszeć.

– Powiedz to – wymruczał, niemal dotykając wargami warg Truskaweczki.

– Pocałuj mnie – szepnęła cichutko.

– Gideonie – podpowiedział.

Drocząc się z nią, delikatnie musnął jej usta.

– Pocałuj mnie, Gideonie – powtórzył.

Truskaweczka próbowała pokręcić głową, ale dłoń zanurzona we włosach przytrzymała ją mocno.

– Nie potrafię tego powiedzieć.

W miejscach, gdzie stykały się ich ciała, mógł poczuć żar jej skrępowania. Wiedział, że gdyby zajrzał dziewczynie w twarz, zapewne byłaby koloru buraka.

– Potrafisz.

Delikatnie ujął jej dolną wargę w zęby i zaczął ssać.

– Chcesz to powiedzieć.

– Nie...

– Powiedz to, Susanno: „Pocałuj mnie, Gideonie”. Powiedz to, a wsunę język w twoje usta. I będę cię całował, póki nie zapomnisz, jak się nazywasz i jak ja się nazywam, i o swoich pieprzonych pieniądzach i tytułach. Powiedz to.

Na dźwięk wulgarnego słowa Susanna zeszywniała. Gideon nie umiał pohamować prostackich manier, kiedy był tak bardzo podniecony. Ale gdyby teraz go odepchnęła, przysięgłby, że już nigdy w życiu nie zaklnie.

Jednak ona przysunęła się jeszcze bliżej. Poczuł, jak ocierają się o niego jej piersi. Małe, jędrne piersi, idealnie dopasowane do jego dłoni.

Ciemne oczy Truskaweczki popatrzyły prosto w jego zielone.

– Pocałuj mnie, Gideonie.

Gideon oparł się chęci, by zareagować z gwałtownością, jakiej pragnęło jego ciało. Zamiast tego wybrał powolne tortury. Błądził wargami po ustach Susanny, aż dokładnie poznał ich kształt i upoił go ich jedwabisty dotyk. Dziewczyna starała się

oddawać mu pocałunki i te jej niezdarne próby rozpałały go jeszcze bardziej.

Smakował ją językiem, skłaniając, by rozchyliła wargi. A kiedy to zrobiła, wślizgnął się do jej ciepłego wnętrza.

Z cichym okrzykiem protestu usiłowała mu się wyrwać, ale trzymał ją mocno przy sobie. Językiem gładził jej język, walczył z nim, pchał i cofał. Po chwili przestała się opierać. Jęknęła cicho, jej ciało rozluźniło się w jego objęciach.

Zanurzając obie dłonie we włosach Susanny, Gideon wreszcie zebrał dość siły, by przerwać pocałunek. Miał do wyboru to albo wziąć ją na tym łóżku.

Bóg mu świadkiem, że niczego bardziej nie pragnął. Ale przecież nie mógł odebrać jej dziewictwa. On – zwykły złodziej, ona – jasnie panienka. Nie był dość dobry, żeby całować jej stopy, a co dopiero, by robić to, co z nią robił.

– Truskaweczko – powiedział, odrywając się od niej z pewnym siebie uśmiechem. – Myślę, że zadanie wykonałem. I ośmielałem się twierdzić, że uczyniłaś poważny krok w kierunku demoralizacji.

Mrugnął filuternie, bo takie maniery zauważył u różnych rozpustników.

Jej ręka wylądowała na jego policzku, aż zapiekło. Najwyraźniej perskie oko było jednak przesadą.

Susanna odepchnęła go – zupełnie niepotrzebnie, zważywszy na to, że w obawie przed kolejnym policzkiem sam się wycofał – i zeskoczyła z łóżka.

– Nie waż się więcej mnie tknąć, ty... ty szubrawcze!

Gideon wzdrygnął się, tylko częściowo na pokaz.

Dziewczyna zamiotła suknią i z wysoko uniesioną głową pomaszerowała do drzwi. Otworzyła je gwałtownie, rzuciła mu ostatnie, miażdżące spojrzenie, po czym wyszła, zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Udało jej się wyjść w wielkim stylu, uznała, kiedy w połowie schodów zaczęła wycofywać się na górę. Niestety, powrót nie zapowiadał się już tak wspaniale. Zanim z hukiem opuściła pokój, powinna była wziąć pod uwagę miłosne zapaly gospodarzy.

Przełykając wraz z dumą podchodzącą do gardła żółć, Susanna otworzyła drzwi. Gideon znowu stał przy oknie i ku jej zdumieniu nawet na nią nie spojrział.

– Mam nadzieję, że przyszłaś przeprosić.

– Przeprosić?! – Aż ją zatchnęło. – Masz czelność sugerować...

– Rozumiem, że to znaczy „nie”. – Oparty ramieniem o framugę, nadal się nie odwracał.

Piętro niżej rozległy się jakieś hałasy. Dziewczyna w udręce zacisnęła powieki.

– Jak króliki, co?

Nie odpowiedziała. Nie chciała podtrzymywać tej rozmowy. Po prostu podeszła do łóżka i usiadła sztywno na jego brzegu. Splotła dłonie, czekając, aż Gideon zacznie sobie z niej żartować, ale on nie odrywał oczu od okna.

Co takiego działo się na ulicy, że do tego stopnia przykuło jego uwagę? Pewnie znowu coś knuł. Nie miała nic przeciwko temu, byle prowadził swoją kryminalną działalność po powrocie z publicznych ogrodów. Przestała już się nad nim litować. Owszem, jego matka i babka wcześniej go odumarły. A ojciec, jak się zdaje, nie był zbyt miłym i współczującym człowiekiem.

Ale wielu mężczyzn miało niemiłych ojców.

Wiele kobiet także.

To nie był powód, żeby godzić się z przestępczym życiem. Gideon mógł zostać w sierocińcu. Mógł próbować wyuczyć się rzemiosła...

Och, teraz to się zagalopowała. Nawet żyjąc pod takim

kloszem, pod jakim ją trzymano, wiedziała, że podopieczni sierocińców traktowani są niewiele lepiej niż więźniowie. Swego czasu chciała przystąpić do towarzystwa pomocy sierotom, ale matka jej zabroniła. „Filantropią zajmują się mężatki”, powiedziała. Widocznie dla młodych panienek niedola sierot mogła być zbyt wielkim szokiem.

Przedłużające się milczenie sprawiało, że Susanna czuła się coraz bardziej niezręcznie. Jak długo miała tkwić uwięziona z Gideonem w tym pokoju?

– Chyba już wspominałam, że chcę odwiedzić ogrody Vauxhall z powodu mojej matki.

– Istotnie, mówiłaś, że ta wyprawa to twoje marzenie.

– Bo tak. Albo raczej ta wyprawa symbolizuje moje marzenie.

Palce stukające o udo zatrzymały się.

– Słucham.

– Marzenia mogą ci się wydawać głupotą.

– A niby czemu tak sądzisz? – spytał, przeciągając samogłoski.

Nuta sarkazmu w jego tonie speszyła Susannę. Należało się tego spodziewać.

– Ale uwierz, że w moim życiu również nie brakowało ciężkich chwil.

– Ciężkich chwil? – odparł, pogardliwie zerkając na nią przez ramię. – Jasne. Jak tego dnia, kiedy zwolniłaś służącą i musiałaś sama przyodziać się w jedwabie i brylanty.

– Cóż, tak, to nie było łatwe.

Naskoczył na nią, a ona się uśmiechała. Powoli jego rysy też rozjaśnił uśmiech.

– Nie traktujesz siebie tak poważnie, jak myślałem.

– Traktuję siebie bardzo poważnie. Muszę dotrzeć do Vauxhall. Potem nigdy już nie będę miała szansy. Chcę wiedzieć, dlaczego moja matka tak się zachowuje.

– To znaczy jak? – Gideon zaczął podwijać rękaw, odsłaniając muskularne, śniade przedramię.

– Opiekuńczo.
Podniósł na nią oczy.
– Rzeczywiście, coś straszego.
– Żebyś wiedział, że tak, kiedy to sięga zbyt daleko. Nie wolno mi nawet pójść samej do pokoju toaletowego dla pań!
– Dokąd?
Policzki Susanny spłonęły rumieńcem.
– No, wiesz. Do ustronnego pomieszczenia dla pań.
– Och, znaczy, żeby się wysiusiać? – Wyszczrzył zęby w uśmiechu. – Przepraszam, ale twoja mina była warta tego prostackiego języka. – Po czym kładąc dłoń na sercu, dodał: – Przez resztę dnia będę idealnym dżentelmenem.
– Chciałabym to zobaczyć.
Złożył przed nią dość fantazyjny ukłon.
– Wedle życzenia. – I zabrał się do drugiego rękawa. – A więc droga mama jest nadopiekuńcza.
– Tak. Zawsze była taka wobec mnie. Moi bracia mogli robić, co im się żywnie podobało, a ja byłam trzymana pod kluczem.
– Czy będzie dużą impertynencją, jeśli ci przypomnę, że jesteś dziewczyną, a oni są mężczyznami?
Powściągnęła uśmiech na widok wyniosłego gestu, jakim podkreślił swoje słowa.
– Nie, ale nawet jeśli wziąć ten fakt pod uwagę, ona dosłownie mnie tłamsiła. Nie rozumiem dlaczego. Nie robiłam nic, przez co mogłabym stracić jej zaufanie.
– Aż do teraz.
– Tak, aż do teraz. I podjęłam te kroki jako ostateczność. Widzisz, w końcu mama puściła mnie samą do pokoju toaletowego i właśnie tam odbyłam bardzo dziwną rozmowę.
Gideon podniósł do góry palec.
– Doceń, że nie wypowiedziałem na głos ani jednego komentarza z tych, które przemknęły mi przez myśl w ciągu ostatnich kilku chwil.
– Doceniam. Otóż lady Winthorpe napomknęła, że moja

matka była kiedyś w kimś zakochana. I że tym mężczyzną nie był mój ojciec.

Gideon wydał stłumiony okrzyk grozy.

– Nie!

Susanna rozejrzała się, czym by tu w niego rzucić. Gdzie się podział jej lichtarz? Do diaska! Zostawiła go na dole.

– Wiem, że to nic niezwykłego, ale gdybyś znał moją matkę, też byłbyś zdumiony. Ona nie... nie należy do osób, które się zakochują.

– Chcesz powiedzieć, że jest zimnym babsztylem?

Zgromiony spojrzeniem dziewczyny, uniósł ręce w obronnym geście.

– Ująłem to w sposób możliwie najbardziej kulturalny i uprzejmy.

– Nieważne. – Susanna wstała. – Nic, co powiesz, już nie jest w stanie mnie zszokować.

– Och, bardzo w to wątpię.

– Obiecywałeś zachowywać się wzorowo.

– Ale to taka cholerna pokusa. – Jego palce znowu tańczyły po udzie. – Opowiedz coś więcej o lady Winthorpe.

Susanna uśmiechnęła się, bo wymówił nazwisko tej damy z taką emfazą, jakby była co najmniej równa królowej.

– Mama nigdy nikogo nie kochała; w każdym razie niczego takiego nie spostrzegłam. Ani mnie, ani moich braci, ani naszego ojca. Więc kim jest ten człowiek, którego obdarzyła miłością?

– To tylko opinia lady Winthorpe.

– Tak, to jej wspomnienia, ale hrabina mówiła o wieczornych piknikach i schadzkach w ogrodach Vauxhall. Dała mi do zrozumienia, że moja matka i... ten mężczyzna byli kochankami.

– Co za szok. Upadek moralny wyższych sfer.

Susanna zbliżyła się do okna i utkwiała w nim niewidzące spojrzenie.

– Drwij sobie ze mnie, jeśli chcesz, ale nie mogę oprzeć się myśli, że jeśli dotrę do ogrodów, to może odkryję coś na temat przeszłości mojej matki.

– Nie zamierzam pozbawiać cię złudzeń... chociaż nie, dokładnie to zamierzam. Te schadzki w Vauxhall, ile lat temu one miały miejsce? Dwadzieścia? Trzydzieści?

Kilku chłopców z kijami w dłoniach pognało przez zaułek za zdeformowaną piłką. Chwilę później byli już z powrotem, torując dla niej drogę między nogami przechodniów.

– Owszem. Też tak mi się wydawało, ale kiedy poprosiłam, żebyśmy pojechały do publicznych ogrodów, mama zachowała się dziwnie. Tak kategorycznie i uparcie odmawiała, że zaczęłam się zastanawiać, czy aby nie ma tam czegoś, co chciałaby przede mną ukryć.

Gideon oparł się ramieniem o futrynę okna, tuż koło Truskaweczki.

– Pozwól, że się upewnię, czy dobrze zrozumiałem. Matka zabroniła ci jechać do ogrodów Vauxhall i pierwszą rzeczą, którą zrobiłaś, była ucieczka w moim towarzystwie do... ogrodów Vauxhall. Nic dziwnego, że ta kobieta chodzi za tobą nawet do pokoju tualetoowego.

– Toaletowego. Ta wyprawa nie ma tu nic do rzeczy. Nie posłuchałam matki po raz pierwszy w życiu.

– I ostatni, jak sobie wyobrażam, kiedy już dostanie cię z powrotem w swoje ręce.

– Niezwłocznie zostanę wydana za męża albo odesłana do Francji, do klasztoru.

– Do klasztoru? – Wziął w palce pasmo jej włosów i powąchał. – Raczej nie odpowiadałoby ci życie zakonnicy.

– Skąd wiesz? – spytała wzywająco. – Prawie mnie nie znasz.

– Wiem, że pod tą sztywną powłoką kryją się potrzeby i pragnienia, które tylko czekają, żeby wyjść na jaw.

– Chcesz w to wierzyć, bo chcesz mnie zdemoralizować.

– Odwrotnie. Chcę cię zdemoralizować, bo dostrzegam w tobie potencjał. Jesteś kobietą zmysłową, Truskaweczko.

Trzepnęła go po rękę, by uwolnić włosy, którymi się bawił.

– Oczywiście, że nie jestem.

– To, jak odpowiadałaś na moje pocałunki, świadczy o czymś wręcz przeciwnym. Masz w sobie namiętność. Nie mów, że niczego nie czułaś.

– Nie będę o tym rozmawiać. – Znowu utkwiała spojrzenie w ulicy za oknem.

– Dlaczego? Nie chcesz przyznać, że jesteś kobietą z krwi i kości, a nie dziewicą składaną w ofierze? Matka wyda cię za tego, kto da najwięcej, zapewne jakiegoś starca z tytułem i górą forsy. Tak właśnie postępują bogacze, prawda? Żenią swoje dzieci dla koneksji i majątku?

– Mój brat nie wybrał ani tego, ani tego.

Gideon znowu sięgnął po jej włosy i tym razem mu na to pozwoliła.

– I dlatego czujesz jeszcze większą presję, żeby być grzeczną dziewczynką. Żeby iść do małżeńskiego łóżka jak ofiarne jagnię. Powiedz szczerze – pochylił się i szepnął jej do ucha: – Uważasz, że twój stary, słabowity mąż sprawi, że poczujesz się tak jak ze mną?

Susanna zadrżała, niepewna czy to objaw pożądania na wspomnienie jego pieśczoł, czy raczej dreszcz wstrętu na myśl o przyszłym małżonku.

– Sądzisz, że tak jest za każdym razem, kiedy zejdzie się dwoje ludzi? Otóż nie. Ja też coś poczułem, Susanno.

Odwróciła głowę tak gwałtownie, że o mało nie wyrwała włosów, które Gideon nadal ścisnął w palcach.

– Poczuleś coś? – Bacznie wpatrzyła się w jego twarz, próbując ustalić, czy to prawda. Spojrzenie zielonych oczu było jasne i szczerze, ale nie mogła sobie pozwolić na wiarę, że mówił serio.

Nie mogła mu ufać.

– Coś, czego nie czułeś nigdy przedtem? – zapytała cicho. – Coś innego niż z tymi wszystkimi kobietami, z którymi dotychczas bywałeś? Jestem kimś wyjątkowym, czy tak?

– Zabrzmiało to dość sceptycznie.

– Bracia ostrzegali mnie przed mężczyznami twojego

pokroju. Po prostu chcesz podstępem zwabić mnie do łóżka. – W chwili, gdy wymknęły się jej te słowa, poczuła pełznący rumieniec, od dekoltu po czubek czoła.

Gideon przysunął się bliżej, igrając palcem z żółtą koronką na rękawie sukienki.

– Naprawdę myślisz, że musiałbym cię wabić podstępem?

Nie, tego nie myślała. Wystarczyło, że spojrzała na te cudowne oczy. Na te kuszące do grzechu wargi. Nie musiał specjalnie się wysilać, żeby ją zwabić.

Odsunęła się od niego na szerokość okna.

– Dlaczego prowadzimy tę rozmowę? Znowu? Miałam ci tylko wyjaśnić, z jakiego powodu chcę iść do Vauxhall. Żebyś zrozumiał, czemu muszę tam pójść.

– Ależ rozumiem.

– Mówisz to tak, jakbyś wiedział o czymś, czego nie powiedziałam.

– No proszę, byłem pewien, że jesteś bystra. – Puścił do niej oko.

– Nie mam żadnych ukrytych celów.

– Och, masz. Po prostu nie zdajesz sobie z tego sprawy.

– Czyżby? – Susanna założyła ręce na piersi i wysunęła biodro do przodu. – A niby co to jest?

– Uczepiłaś się tej wyprawy do Vauxhall, bo pozwala ci pragnąć tego, czego naprawdę pragniesz.

– Czyli zobaczyć publiczne ogrody.

– Nie. Naprawdę pragniesz zmiany, ucieczki od życia, które dotąd prowadziłaś. Drogi wyjścia, zanim poślubisz sędziwego lorda Zniedołęźniałca i pułapka się zatrzaśnie.

Jej ramiona wyraźnie się rozluźniły.

– A zatem – z szelmowskim uśmiechem dokończył Gideon – czemu byś miała nie wykorzystać wolności, skoro masz okazję?

Nie próbował jej dotknąć, ale Susanna i tak się cofnęła.

– W żadnym razie, panie Harrow.

Parsknął śmiechem.

– Słowo daję, jesteś jedyną damą, która kiedykolwiek

nazwała mnie panem Harrow. To mi się podoba. Ty mi się podobasz.

– Dlaczego? – Zmarszczyła czoło; cienkie brwi zjechały niżej. – Nie powinnam ci się podobać.

– Nie powinnaś? Faktycznie, ukradłaś mój naszyjnik.

– On nie...

– I masz nieznośną skłonność do wyklócania się ze mną. Susanna dumnie odrzuciła głowę.

– I zadzierasz nosa, jakby powietrze, którym oddycha reszta ludzkości, nie było dla ciebie dość dobre.

Głowa gwałtownie opuściła się i Susanna wymierzyła mu kuksańca w pierś.

– To nieprawda! Nigdy tak nie myślałam.

– Jesteś hrabiowską córką. Myślisz tak, nawet nie zdając sobie sprawy.

Jej twarz poczerwieniała, tym razem od gniewu.

– Jeszcze masz czelność...

– No właśnie. – Odszedł kawałek, udając zapał dla tematu. – Używasz takich słów jak „czelność” i „karygodny”. – Kiwając małym palcem, naśladował jej wymowę.

– Jesteś zazdrosny, bo na twój słownik składają się wyłącznie takie okazy jak „tyłek”, „pieprzony” albo „cholera”.

Spłoszona, przycisnęła obie dłonie do ust. Jej wielkie, sowie oczy miały spojrzenia na boki, jak gdyby w obawie, że ktoś mógł to usłyszeć.

Gideon nie posiadał się z radości. Złapał ją za rękę i odciągnął je na dół.

– Co jaśnie panienka powiedziała?

– Zostaw mnie w spokoju. – Chciała się wyrwać, ale on za dobrze się bawił, żeby ją puścić.

– Czy mnie uszy nie omyliły? Z tych ślicznych, różanych usteczek padło słowo „tyłek”? – Dotknął palcem jej warg, więc spróbowała go ugryźć. Jednak na to był zbyt szybki. – Tyłek – parodiował jej wyraźne samogłoski. – To brzmi tak elegancko. Ale kolejne...

– Nie mów tego – ostrzegła.
– Czego? – Rzucił jej błagalne spojrzenie. – Jakiegoż to słowa jeszcze użyłaś?
– Przejęzyczyłam się.
– Och, nie mów. – Objął ją w pasie. – Mnie się podobało.
– Jasne! Natychmiast mnie puść!
– Powiedz to jeszcze raz, Truskaweczko – wyszeptał, a ona znieruchomiała.

Kiedy jego wargi musnęły jej małe ucho, zaczęła delikatnie drżeć. Gideon odsunął na bok jasnorudy lok i przyłożył usta do wrażliwego miejsca za uchem. Truskaweczka pachniała mieszaniną mydła i perfum o subtelnej kwiatowej woni. Tak rozkosznie, tak niewinnie.

Był skończonym łajdakiem – nawet gdyby wziąć pod uwagę tylko połowę myśli, które w tym momencie przemknęły mu przez głowę.

– Nie lubię rudych włosów – wyszeptał tuż przy jej policzku.
– No proszę, a ja sądziłam, że będziesz wyliczał, co ci się we mnie podoba. – Głos dziewczyny z podniecenia stał się zdyszany, niski i gardłowy.

– Do tego jeszcze dojdziemy. Najpierw usiłuję sobie przypomnieć, co mi się nie podoba. – Teraz delektował się skórą tuż pod kością szczękową, obrysowując wargami delikatny łuk. – Jesteś za chuda.

A jednak wydawała mu się doskonała, kiedy ją trzymał w ramionach. Była ciepła i miękka, odpowiednio zaokrąglona i odpowiedniego wzrostu. Nigdy nie przepadał za wysokimi kobietami, ale teraz uświadomił sobie, że nie musiałby się schylać albo garbić, żeby Truskaweczkę całować.

– Ty też. – Przesunęła dłonią po jego plecach. Może i zamierzała mu wytknąć, jak niewiele ma na grzbiecie dodatkowego ciała, ale jej ręka zwolniła i palce zaczęły go głaskać. Członek Gideona, który wcześniej tylko częściowo się przebudził, teraz natychmiast stanął na baczność.

– Obydwoje musimy więcej jeść. – Młodzieniec przyciągnął

Truskaweczkę bliżej i zajął się smukłą, jasną szyją. – Wiesz, co myślę?

– Naprawdę myślisz?

Wyszczrzył zęby w uśmiechu. Słowa dziewczyny mogły brzmieć impertynencko, ale zdradzał ją rwący się głos. Pragnęła Gideona, nawet jeśli nie wiedziała dokładnie, czego pragnie.

– I to całkiem sporo. Myślę, na przykład, jak by to było, gdybyśmy razem jedli w pościeli.

– Brzmi dosyć dekadencko.

– Och, nawet nie wiesz jak bardzo. – Chwycił ją na ręce i zaniósł do łóżka. Zanim zdążyła zaprotestować, już leżała, a on, pochyliwszy się nad nią, przytrzymał ją za nadgarstki. Podniosła na niego oczy, pociemniałe z podniecenia. Jej piersi unosił szybki oddech. Suknia Brenny miała zbyt głębokie wycięcie, które znowu się obsunęło, ukazując śnieżnobiałą koszulkę.

Jakże gorąco pragnął rozerwać delikatny materiał i odsłonić blade, smukłe ciało. Chciał je całować, dotykać, chciał się w nim zatracić. Łapał powietrze urywanymi haustami, co skojarzyło mu się z bestią gotową do skoku na swoją ofiarę.

– Wiesz, co w tobie lubię? – wydyszał.

Susanna potrząsnęła głową.

– Jesteś dobra i życzliwa.

W jej oczach błysnęło zakłopotanie.

– Słucham?

Gideon śmiał się tak serdecznie, że głowa opadła mu na poduszkę. Puścił Susannę, przeturlał się na plecy i teraz leżał tuż koło niej. W powale widniała duża szczelina. Przypominała mu literę S. Kiedy już się wyśmiał, jego oczy napotkały spojrzenie dziewczyny. Gapiła się na niego, jakby z nagłą oszalała.

Co nie było dalekie od prawdy.

– Jestem dobra i życzliwa?

– Tak. – Miał wielką ochotę dotknąć jej warg, opuszkami palców musnąć policzek, wziąć do ręki pukiel włosów. Zamiast tego leżał absolutnie nieruchomo. – Dla bezdomnych kundli i dla

bezradnych dzieci, i dla kobiet, które potrzebują pracy.

– Och, to. – Truskaweczka wpatrywała się w sufit zmrużonymi oczami. – Nie wiedziałam, że polubiłeś Beauty.

– Nie polubiłem. Ja nie jestem dobry i życzliwy.

Zerknęła na niego.

– Nie wierzę.

– Oczywiście, że nie wierzysz. Należysz do tych ludzi, którzy o każdym myślą jak najlepiej.

– Wcale nie. Nie uważam cię za niewiniątko.

– Ale bez wątplenia uważasz, że możesz mnie zawrócić na dobrą drogę.

Susanna uciekła spojrzeniem w bok.

– Wszyscy zasługują na drugą szansę.

– Naprawdę? – Oparł podbródek na rękę zgiętej w łokciu. –

Postarasz się to udowodnić?

Zmarszczyła brwi i przymrużyła podejrzliwie oczy.

– Nie wiem.

Bystra dziewczyna.

– Chcę drugiej szansy w kwestii pocałunków.

Nie sądził, żeby mogła zaradzić rumieńcom, które wystąpiły jej na policzki.

– Bo jestem taka dobra i życzliwa?

– Bo mi się podobasz.

– Pomimo włosów?

Ich spojrzenia zwały się. Gideon czuł, jak serce łomocze mu w piersi.

– Mmm-hmm.

– Pomimo mojej chudości?

– Męskie gusta mogą się zmieniać. – Przesunął dłoń po jej ramieniu. Naga skóra była miękka jak u noworodka.

Susanna objęła Gideona za szyję i szarpnięciem przewróciła go na plecy.

– To podobnie jak gusta kobiece.

Niepewnie przycisnęła usta do jego ust. Jej sztywne wargi przypomniały mu, że musi się powstrzymać. Ona nie była dla

niego. Mógł tylko uszczknąć z tych rozkoszy odrobinę, a i tego nie należało robić.

Ale Gideon nie należał do sfery dżentelmenów. Nie pętały go obowiązki ani honor. W jego świecie mężczyźni brali to, co chcieli, gdyż życie trwało krótko i człowiek miał tylko jedną szansę.

Więc całował Truskaweczkę. Całował, bo nie powinien był jej tknąć; bo Beezle mógł go zabić jeszcze tego samego wieczora; bo wiedział, że kiedy odprowadzi ją do Vauxhall, już więcej się nie zobaczą.

Bo nigdy dotąd aż tak bardzo nie pragnął całować.

Chciał jej dotykać. Chciał jej pokazać, co jest możliwe pomiędzy mężczyzną i kobietą, ale tylko delikatnie tulił w dłoniach drobną, zarumienioną twarz. Poczekałby, aż Susanna sama poprosi i rozumiał, że to nigdy nie nastąpi.

A jednak, nawet jeśli tylko tyle mógł od niej otrzymać, było to więcej, niż zasłużył. Więcej niż dość.

– Gideonie – jęknęła i wygięła się, przyciskając do niego ciało. Nie sądził, żeby wiedziała, co robi. Nie miała pojęcia, na jaką próbę wystawia mężczyznę i jego samodyscyplinę.

Leciutko skubnął jej wargi.

– Co byś chciała, kochanie? Mam przestać?

– Nie!

Uśmiechał się szeroko, dopóki ona go nie pocałowała. A potem zapomniał, że ma się uśmiechać, że ma oddychać, że ma trzymać ręce przy sobie. Jej mały, kształtny biust wypełnił mu dłonie, napierając na ich wnętrza naprężonymi sutkami. Miała piersi rozmiaru dojrzałych brzoskwiń i wyobraził sobie, że równie smakowite. Kiedy uszczypnął jeden ze stwardniałych sutków, znowu jęknęła i gwałtownie złapała oddech.

Gideon zamarł. Wiedział, że powinien zabrać ręce, ale nie mógł się już dłużej kontrolować. Podniósł wzrok i poszukał jej oczu, spodziewając się potępienia albo gniewu.

– Nie wiedziałam, że mogę tak się czuć. – Susanna robiła wrażenie zdumionej. Ale w jej głosie i spojrzeniu było coś jeszcze,

co bardzo przypominało ciekawość.

Do diabła, mógł sprawić, że poczułaby o wiele więcej.

– Mam przestać?

– Och, bardzo starasz się być dżentelmenem, prawda?

– Nie tak bardzo, jak powinienem.

Wygięła plecy i dosłownie wepchnęła mu się w ręce.

– Więc przestań. Ja wolę nicponia.

Niecierpliwie rozchełstał jej gorset i koszulę, zapoznając swoją stwardniałą dłoń z ciepłą, krągłą piersią. Truskaweczka była idealna. Gideon przywarł ustami do jej ciała. Wzgórek piersi miał miękkość jedwabiu. Wznosił się przed jego oczami biały jak śnieg. Na środku sterczał dumnie różowy sutek. Język Gideona zaczął błądzić wokół niego powoli, dopóki go nie okrążył. Dziewczyna wydała odgłos zadowolenia.

Gideon przyłożył wargi do sutka i delikatnie wciągnął go do ust. Najpierw wałkował go językiem, potem koniuszkiem języka wirował wokół twardego paciorka i ledwie odrobinę mocniej ssał. Powtarzał te ruchy dwa, a potem trzy razy, aż wreszcie Truskaweczka krzyknęła i wypchnęła biodra do przodu tak mocno, że jej łono zetknęło się z jego twardym członkiem.

Od gwałtownego ataku pożądania Gideonowi na chwilę pociemniało w oczach.

– C... co ty mi robisz? – spytała niewyraźnie, bo język plątał się jej z rozkoszy. Gideon poczuł przypływ triumfu. Nigdy by nie przypuszczał, że jest tak podatna. Gdyby tylko dotknął jej między nogami, doszłaby. Jego ręka ześlizgnęła się po talii dziewczyny i po wypukłości biodra. Jedno mocne naciśnięcie, nawet przez tkaninę sukni. Musiał zobaczyć orgazm Truskaweczki, obserwować jej twarz. Chciał wiedzieć, czy będzie taka piękna, jak sobie wyobrażał.

Przykrył dłonią to ciepłe miejsce i wtedy zaskrzypiały otwierane drzwi.

– Nie teraz, kochani – oznajmiła Brenna szybko i kategorycznie. – Mamy kłopoty.

Susanna naciągnęła koszulkę na nagie ciało i wyswobodziła się z ramion Gideona. Skoczyła na równe nogi, aż jej spódnice i włosy zawirowały i natychmiast poczuła się głupio. Brenna nie patrzyła na nich. Zerknęła przez ramię. Gdy Susannie już przestało szumieć w głowie, usłyszała rozmowę na dole. Jakaś kobieta i... Des? Nie. Des nie ma tak niskiego głosu.

– Kto? – Bez zbędnych ceregieli spytał Gideon, odgarniając włosy z czoła. Fryzura w nieładzie dodawała mu tylko męskości.

– Matka Cummings – odpowiedziała Brenna. Spojrzała na niego i znów zerknęła przez ramię.

– Niedobrze.

– Racja. Niezbyt mądrze czynić z niej swojego wroga. Coś jej zrobił? Chyba jej nie okradłeś?

Brenna roześmiała się, gdy Gideon nie odpowiadał.

– Odważny jesteś, muszę przyznać. Wpierw Beezle, teraz Matka Cummings. Śpieszno ci umrzeć?

– Niespecjalnie. – Minął Susannę i odsunął zasłony.

Brenna przemierzyła energicznie pokój i z powrotem zaciągnęła zasłony.

– Nie bądź głupi. Tędy nie wyjdiesz.

– To jedyna możliwość.

Brenna zerknęła na Susannę.

– Nie z nią. W tej kiecce nie da rady. Zresztą, założę się, że w spodniach też by nie umiała. – Obcięła Susannę wzrokiem, a potem rzuciła gniewne spojrzenie Gideonowi. – A może chcesz ją zostawić?

– Matka Cummings jej nie zna – zaczął Gideon.

Susanna przycisnęła dłoń do piersi, w której poczuła bolesne ukłucie. Zostawiłby ją. Jeszcze przed chwilą trzymał ją w ramionach, całował, jakby była jedyną kobietą na świecie, a teraz tchórz miał zamiar się jej pozbyć. Musiała wydać jakiś dźwięk, bo

zielone oczy Gideona zwróciły się do niej.

– Nic by ci się nie stało, a po wszystkim wróciłbym po ciebie.

Naszyjnik. To o to mu chodzi.

– Doskonały plan – przerwała Brenna – ale Matka Cummings szuka was obojga. A zaraz pewnie zjawi się tu Beezle.

– Cholerni donosiciele.

Brenna prychnęła.

– Czego się spodziewałeś po potężnych wrogach? – Skinęła na nich i podeszła do gobelinu wiszącego na przeciwległej ścianie. Był okropny. Przedstawiał – dość nieudanie – mitycznego smoka, ale Susanna podejrzewała, że za nim może się kryć kolejna kruszejąca ściana. Jednak Brenna odsłoniła małe drzwi z ciemnego drewna, które wyróżniały się na tle rozpadającego się tynku.

Brenna nacisnęła klamkę, lecz drzwi ani drgnęły.

– Gid, możesz wykorzystać swoje mięśnie?

– Powinienem się domyśleć – powiedział, szarpiąc za drzwi, które z piskiem się otworzyły. – Prowadzą do tuneli?

– Taa... Na końcu jest piwnica i Des byłby wdzięczny, gdybyś zapomniał, że kiedykolwiek tam byłeś.

– Nie ma problemu.

– Ja myślę.

Susanna stanęła na palcach, zerkając przez ramię Gideona i wpatrując się w ciemne przejście. Nie dostrzegła żadnego światła, jedynie poczuła zapach lekko wilgotnego drewna.

– Będę pamiętał o twojej pomocy – powiedział do Brenny, po czym chwycił rękę Susanny. Instynktownie się odsunęła. Nie chciała z nim wchodzić do ciemnego korytarza.

– Zobaczmy, co powiesz za kilka godzin – prychnęła Brenna. – Te drzwi to jedyne wyjście. Lepiej, żebyście zostali tam, dopóki Des po was nie przyjdzie.

Gideon z ponurą rezygnacją pociągnął Susannę, która chwyciła za skrzydło drzwi.

– Co z Beauty?

– Z psiną? – spytała Brenna, zerkając za siebie. – Jest

cudowna. Warczała na Matkę Cummings, więc już ją lubię. Ale teraz lepiej się pospieszcie. – Zamknęła drzwi, a Susanna zacisnęła nerwowo dłonie.

Ogarnęła ich ciemność, która odcięła ostatnie promienie światła.

– Nie mów, że boisz się ciemności – powiedział Gideon i mimo że cedził słowa, jego głos by uspokajający. Zsunął dłoń z jej nadgarstka i splótł z nią palce.

– Chodź, Truskaweczko. Jeśli za długo będziemy stać, szczury nas zjedzą.

– Szczury!

Ze śmiechem pociągnął ją do przodu.

– Uważaj na schody.

Niechętnie położyła dłoń na wilgotnej ścianie i ostrożnie zaczęła schodzić po skrzypiących, stromych schodach. Po około dwunastu stopniach powierzchnia się wreszcie wyrównała.

Korytarz wydawał się wystarczająco szeroki na dwie osoby, ale Susanna desperacko pragnęła lampy lub świeczki, żeby nie byli pogrążeni w kompletnej ciemności.

Gdy usłyszała w pobliżu szuranie, podskoczyła. Gideon ścisnął jej dłoń.

– To pewnie kot.

– Ale przed chwilą powiedziałeś, że...

– Żartowałem.

Nie żartował, a cokolwiek usłyszała z pewnością nie było kotem.

– Ta część miasta słynie z setek ukrytych tuneli. Całkiem pomocne, kiedy trzeba się ukryć. Są w stu procentach bezpieczne. Bywałem tu nie raz.

Przyciągnął ją do siebie. Jego głos koił jej nadszarpnięte nerwy. Musiał wiedzieć, jaki ma na nią wpływ, ponieważ nadal mówił do niej wolno i spokojnie.

– Kolejne schody, Truskaweczko.

Wysunęła nogę w poszukiwaniu pierwszego stopnia.

– Przez jakiś czas tu zostaniemy, a kiedy zrobi się

bezpiecznie, Des po nas przyjdzie.

Znów położyła dłoń na ścianie, aby ułatwić sobie pokonywanie kolejnych schodów.

– A jeśli nie przyjdzie?

– Przechowuje tu cenne przedmioty i woli nie mieć gości.

Schody, tym razem jedynie cztero- czy pięciostopniowe, skończyły się i znów znaleźli się na płaskim.

Gideon przystanął i puścił jej rękę.

– Jestem tuż obok. Dotknij moich pleców.

Głupio się czuła, ale z ulgą przywarła do jego koszuli.

Gideon zaczął przesuwać dłońmi po ścianie i po chwili rozległ się brzęk żelaza.

– Jest klamka – powiedział i otworzył drzwi.

Susanna niepewnym krokiem ruszyła za nim i odsunęła się, żeby mógł zamknąć drzwi. Stała nieruchomo, podczas gdy Gideon kręcił się po pomieszczeniu.

– Szmaki i ubrania – mruknął, przeglądając chusteczki i koszule.

Coś zabrzęczało.

– Brzmi jak srebro. – Wsunął jej coś zimnego do dłoni. –

Lichtarz, Truskaweczko. Twój ulubiony.

Próbowała mu go oddać, ale zacisnęła palce wokół jej dłoni na trzonie.

– Zatrzymaj go. Może ci się przydać.

– Od razu mi lepiej.

Roześmiał się i pociągnął ją do tyłu.

– Usiądź. – Położył dłonie na jej ramionach. Znalazła się na zaskakująco miękkiej powierzchni. Przesunęła się do przodu i tyłu, po czym przebiegła palcami po aksamitnym materiale. Miała wrażenie, że siedzi na kanapie lub szeszlunku. Wyciągnęła dłoń, ale nie wyczuła zakończenia mebla.

– Jakim cudem znaleźliśmy się pośród mebli i ubrań pod Field Lane?

– Mówiłem ci – odpowiedział Gideon, siadając obok. – Des handluje kradzionymi towarami.

– Kto kradnie szezlong? Jak w ogóle można go przenieść?

– Nie chciałybyś wiedzieć.

– Masz rację. – Zamknęła oczy i poczuła nabiegające łzy.

Przygryzła usta, ale trudno będzie zapanować nad płaczem. Czuła, że emocje szaleją w jej ciele i w każdej chwili mogą wypłynąć na powierzchnię. W jednej chwili uciekała ze strachu o życie, w następnej jej serce waliło z ekscytacji dotykiem Gideona, a niewiele później z przerażenia miała nogi jak z waty.

Powinna błagać Gideona, by zabrał ją do domu. Nie zdziwiłaby się, gdyby okazało się, że zaplanował część tych atrakcji, tylko po to, żeby ją przestraszyć.

Gdyby go poprosiła, zawiózłby ją do domu, jak tylko wyjdą z tego... więzienia. Zawahała się przez chwilę. Mogłaby być bezpieczna, mieć na sobie czystą odzież i spać wygodnie w swoim łóżku.

Wystarczyło tylko poprosić.

Wzięła głęboki oddech, ale słowa nie wychodziły z jej ust. Nie chciała wracać do domu. Nie chciała odzyskać swojego wygodnego życia. Nie chciała nawet pozbyć się Gideona. Naprawdę go lubiła. Może to wzbudzało dreszczyk emocji. Kiedy on się jej pozbędzie? Jak bardzo uda jej się zbliżyć do ognia, zanim się oparzy?

Susanna chciała się oparzyć. Chciała, żeby znów ją pocałował. Znów jej dotknął i położył dłonie na jej ciele. Nie powinna tego pragnąć. Damy nie odczuwają takich niemoralnych żądz.

Damy też nie włóczą się po zaułkach Londynu ze znanymi przestępcami.

– Jeśli matka by mnie teraz zobaczyła, zapewne potrzebowałaby soli trzeźwiących, aby się ocucić.

– I tego należy unikać?

Roześmiała się. Zawsze umiał ją rozśmieszyć, nawet jeśli nie było jej do śmiechu.

– Nigdy nie omdlała. Moja matka ma niezwykle silny organizm.

– W takim razie będziemy musieli pomyśleć o bardziej szokującym występku, jeśli chcemy jej należycie zszargać nerwy.

Susanna przebiegła dłonią po miękkim, aksamitnym szezlongu. Wyobraziła sobie głęboki bakłażanowy kolor, choć równie dobrze tkanina mogłaby być w brzydkim złocistożółtym odcieniu.

– Mojej matce łatwo zszargać nerwy. Codziennie ją rozczarowuję.

Poczuła, że Gideon przesunął się do niej, a jego palce dotknęły jej dłoni.

– W takim razie, czy to ważne, co robisz? I tak ją zawiedziesz.

Susanna otworzyła usta, aby zaprotestować, ale natychmiast je zamknęła.

– Masz rację.

– Oczywiście, że mam.

Susanna zignorowała go. Coś w niej pękło i miała wrażenie, że za chwilę światło wyleje się z jej piersi. Nagle zrobiło jej się lekko na sercu, na ramionach nie czuła ciężaru, a jej płuca rozszerzyły się i wypełniły...

Zakaszła. Powietrze w podziemnym pomieszczeniu było zatęchłe i ciężkie od kurzu. Ale to nie miało znaczenia. Susanna wreszcie poczuła, że może oddychać.

Chwyliła dłoń Gideona i ją ścisnęła.

– Masz rację – powtórzyła.

– Wiem. Zawsze mam ra...

Uderzyła dłonią o szezlong.

– Nie wierzę, że wcześniej sobie tego nie uświadomiłam. Nigdy nie zyskam akceptacji matki. Nigdy jej nie zadowolę. Po co tak bardzo się staram?

– Mogłabyś poluźnić uścisk?

Puściła jego dłoń i wstała. Czuła zbyt wielki entuzjazm, żeby usiedzieć na miejscu.

– Nie rozumiesz. Teraz jestem wolna. Mogę robić, co chcę. Łamać zasady. Koniec z dążeniem do perfekcyjności. –

Podskoczyła na palcach, aż jej stopy wysunęły się z za dużych butów.

– Cieszę mnie twoje odczucia, ale może zechciałabyś się jeszcze zastanowić, zanim zaczniesz łamać wszystkie zasady. Zdaje się, że miałaś wygodny dom z liczną służbą. A i na brak żywności nie mogłaś narzekać. Może ci się nie spodobać to, jak żyje reszta miasta.

Usiadła obok niego.

– Sądzisz, że się tym przejmuję?

– Tak.

Chciała go trącić łokciem, ale się uchylił.

– Nie potrzebuję służby, jedwabnych sukni czy sześciodaniowych obiadów.

– Mówisz tak tylko dlatego, że nigdy nie żyłaś inaczej. Gdybym był na twoim miejscu...

– Ale nie jesteś.

– Racja, ale gdybym był, dogadałbym się z twoją szanowną matką. Wytrzymałbym wiele, jeśli miałbym zapewniony sześciodaniowy posiłek każdego dnia.

Roześmiała się.

– Mówisz jak Marlowe. Kiedy pierwszy raz ją poznałam, ciągle jadła.

Poczuła, że się spiął. Miała wrażenie, jakby w pomieszczeniu zrobiło się ciemniej i zapanował nieznośny żar.

– Daleko mi do Marlowe – powiedział. – Ona zawsze należała do eleganckiego towarzystwa. Próbowала wpasować się do świata przestępców, ale była za dobra dla Satina i chłopaków z Covent Garden.

Usłyszała w jego głosie nutę tęsknoty i zakłuło ją w piersi. Co za nedorzecznosc, aby być zazdrosną o jego przyjaźń z Marlowe. Marlowe była szczęśliwa z Dane'em. A nawet jeśli nie byłaby mężatką, Susanna nie mogła zamarzyć o Gideonie. Pochodzili z diametralnie różnych klas społecznych.

– Kochałeś ją? – nieoczekiwanie spytała. Słowa wyszły z jej ust, zanim zdała sobie sprawę, że nie chciała znać odpowiedzi.

Gideon prychnął.

– Połowa łotrzyków się w niej kochała. Albo dlatego, że była najlepszą złodziejką pośród nas, albo dlatego, że była najładniejszą dziewczyną, jaką znaleźliśmy.

Obróciła się do niego, choć w ciemności nie mogła dostrzec jego twarzy.

– Ale czy ty ją kochałeś?

Drapanie z odległego kąta przerwało ciszę.

– Nie powinnam była pytać – powiedziała wreszcie Susanna.
– To nie moja sprawa.

– Pokochałbym ją – odparł. – Jeśli wierzyłbym, że odwzajemni moje uczucie.

Znów poczuła ścisk w sercu, lecz tym razem ze zgoła innego powodu. Usłyszała ból w jego głosie i chciała by umieć go ukoić.

– Nie wiedziała, że ją kochałem. Zawsze była nieświadoma tego, jak mężczyźni na nią patrzyli. Nie uważała się za urodziwą, sądziła, że... jej biust był przekleństwem.

Susanna lekko się skuliła. Marlowe była hojnie obdarzona przez naturę. Znacznie hojniej niż Susanna. Jeśli Gideon wolał takie kształty, nie miała szans, żeby zwrócił na nią uwagę.

– Nigdy nie wyznałeś jej swoich uczuć?

– To zostanie między nami? Nie. – Milczenie. –

Pocałowałem ją.

Susanna poczuła, że nóż w jej sercu się przekręcił. Gideon z pewnością całował dziesiątki kobiet. Zapewne na całowaniu się nie kończyło, jeśli miała wnioskować po tym, co jej pokazał w pokoju Desa. Dlaczego miałyby się przejmować tym, czy pocałował Marlowe? Nie chciała się tym przejmować, lecz nie mogła przekonać uczuć, aby słuchały rozsądku.

– Pomyślałem, że jeśli ją pocałuję, poczuje to, co ja.

Susanna doskonale go rozumiała. Wiedziała, jak się czuła, kiedy ją pocałował. Dlaczego Marlowe nie zakochała się w nim?

– I? – spytała.

Odpowiedział za cicho, żeby usłyszała poszczególne słowa.

– Słucham?

Odsunął się od niej.

– Powiedziałem, że się roześmiała.

Susanna wstrzymała oddech. A po chwili wybuchła śmiechem.

– Przepraszam. – Zakryła usta, aby powstrzymać chichot. – To nie jest śmieszne. Biedak.

– Byłem wtedy młodym chłopakiem. Łatwo można było złamać mi serce.

– Ojejku. – Chwyciła jego ramię, ale strząsnęła jej rękę. Nie chciał jej współczucia, co jej nie dziwiło. – Jak się pozbierałeś?

– Obracałem każdą ładną pannę, jaka się nawinęła, i piłem na umór.

Susanna w ostatniej chwili chwyciła za skraj szezlongu, co uratowało ją przed upadkiem. Nigdy wcześniej nie słyszała czegoś równie szokującego. Nigdy nawet nie słyszała słowa, którego użył, ale szybko rozszyfrowała znaczenie.

– I... i czy to pomogło?

Słyszała, że się uśmiechnął.

– Nie zaszkodziło. – Ponownie usiadł obok niej. – Marlowe nie poczuła iskier, kiedy ją pocałowałem. Nie potrafiłem ich u niej wzbudzić. Albo są, albo ich nie ma.

Iskry. Co za trafny opis tego, jak się czuła, kiedy ją pocałował. Jej ciało rozpalilo się, jakby stanęło w ogniu.

– Czy... – zaczęła, po czym zacisnęła dłonie.

– Czy...? – zachęcił.

– Nieważne – powiedziała szybko i miała nadzieję, że również swobodnie. – Mówiłeś o Marlowe? A może o Elizabeth? Nigdy nie wiem, jak się do niej zwracać?

– Susanna. – Jego głos by niski i żartobliwy. – Zapytaj mnie.

– O co cię zapytać? Jak zwracasz się do Marlowe?

Nie zmylił go zbyt wysoki głos Susanny ani szybko wyrzucane słowa. Wiedział albo zgadł, o czym myślała. Co za absurd, że jej policzki były zapewne gorące i czerwone, mimo że nikt nie mógł zobaczyć, że się rumieni.

Stworzenie, z którym dzielili pomieszczenie, zaczęło głośno

drapać w kącie, podkreślając ciszę, która zapadła między nimi. Gideon czekał. I czekał...

– No dobrze. – Wypuściła powietrze. – Czy czułeś jakieś iskry, kiedy mnie pocałowałeś? Wycofuję pytanie, bo jest głupie. Nie rozmawiajmy o tym.

– Ale ja chcę o tym porozmawiać.

Przysnął się bliżej i dotknął jej udem. Poczwała, że owija długi kosmyk jej włosów wokół swojego palca.

– Naprawdę? – Zaczęła ciężko oddychać. Jak on to robił, że za każdym razem, kiedy jej dotykał, za każdym razem, kiedy na nią patrzył, tak reagowała? A przecież teraz nawet nie mogła widzieć, że na nią patrzy.

– Czuję coś więcej niż iskrę, kiedy cię całuję. Czuję setki iskierek. Rozświełają mnie, spalają i rozpalają nowy ogień.

– Tak – szepnęła.

– Też to czujesz?

– Nie rozumiem, jak Marlowe mogła tego nie czuć.

Pociągnął ją lekko za włosy, aż usiadła bliżej niego.

– Ponieważ ja i Marlowe nie pasowaliśmy do siebie.

Musnął ustami jej policzek, jego ciepły oddech rozlał się po jej skórze. Zadrżała i poczuła narastającą przyjemność.

– My też nie jesteśmy – zauważyła. – Ty jesteś... –

Pocałował jej kącik ust. – A ja...

Wsunął dłoń w jej włosy i ujął jej głowę.

– Ty?

– Chcę, żebyś mnie pocałował.

– W takim razie powinienem to pospiesznie uczynić.

Ich gorące wargi spotkały się, a języki namiętnie się splotły. Żar rozlał się po jej ciele. Od pożądania zawirowało jej w głowie. Zacisnęła dłonie wokół jego koszuli z obawy przed upadkiem. Niejasno zdawała sobie sprawę, że wziął ją w ramiona i położył na szezlongu.

Jego potężne, umięśnione ciało zakryło ją. Owinęła ręce wokół jego pleców, wbiła w nie palce i poczuła, jak Gideon drży. Jego usta rozpoczęły dziki taniec. Pocałunek stał się głębszy i

bardziej namiętny. Naprawdę jej pragnął.

Reagował na jej dotyk, tak samo jak ona na jego. Myśl ta wzbudziła kolejne iskierki w jej podbrzuszu, kiedy jej dłoń wyruszyła odkrywać jego ciało. Miał kształtne i twarde plecy, biodra – wąskie, a pośladki...

– Co robisz? – spytał, odrywając usta od jej warg.

– Przepraszam. – Odsunęła dłonie. – Chciałam tylko cię dotknąć.

– Dotykaj mnie tak dalej, a w mgnieniu oka będziesz miała spódnice w górze, a mnie w sobie.

Te słowa powinny ją zszokować. Powinna spoliczkować go za to, jak się do niej zwrócił. Zamiast tego nie mogła się opanować, żeby nie owinać ręki wokół jego szyi i przyciągnąć go do siebie. Tym razem to ona go pocałowała. Chwyciła jego usta, smakowała go i poznawała jego pełne wargi i ostry zarost.

– Masz pojęcie, jak bardzo cię teraz pragnę? – Miał niski i chrapliwy głos, który dudnił w jej ciele, kiedy lizła jego szyję. Smakował drewnem, solą i mężczyzną.

– Domyślam się, że tak bardzo, jak ja ciebie.

Odsunął się.

– A czego dokładnie pragniesz? Nie sądzę, żebyś wiedziała, o czym mówisz.

– Właśnie że wiem – zaprotestowała. – Wiem, co mężczyźni i kobiety robią. Czytałam o tym w książkach.

– W książkach! – Pokręcił głową i poczuła jego miękkie włosy na swoim czole. – Nigdy nie czytałem książki o...

– Kopulacji – dokończyła, domyślając się, że może brakować mu przyzwoitego słownictwa w tej kwestii.

– No tak. Ale zapewniam cię, że kopulacja w rzeczywistości znacznie różni się od tej książkowej. Więc pytam ponownie: czego konkretnie pragniesz?

Mogłaby szybko odpowiedzieć. Mogłaby powiedzieć: ciebie, i znów go pocałować. Zamiast tego zaczęła się zastanawiać. W medycznych książkach, które znalazła w bibliotece ojca, przeczytała, że nabrzmiały męski narząd penetrował kobiece ciało.

Czy tego chciała? Jego narządu w swoim ciele?

Wydawało się to dziwnym zajęciem dla dwojga ludzi, ale nie mogła zaprzeczyć, że wszystko, co robiła dotychczas z Gideonem było raczej przyjemne niż dziwne.

– Chcę z tobą kopulować. Wiem, że to splami mój honor – dodała szybko. – Ale on i tak jest splamiony.

– O niebiosy... – mruknął i schylił głowę do jej ramienia.

– Wiem, co oznacza kopulacja – powiedziała, na wypadek gdyby nadal miał ją za ignorantkę. – Penetrujesz moje ciało swoim nabrzmiałym narządem.

Jego ciało zadrżało. Uświadomiła sobie, że się śmiał. Pacnęła go w plecy.

– Co cię tak śmieszy, sir? Wiem, że się nie mylę.

– Sir? – Podniósł głowę. – Po tym wszystkim nazywasz mnie sir?

– Och, nieważne. Daj mi spokój. – Odepchnęła go, ale złapał jej dłoń.

– Jeszcze nie, Truskaweczko.

Znieruchomiała i wstrzymała oddech. Czuła, jak serce wali jej w piersi, jakby chciało wyrwać się na wolność z ograniczających go żeber.

– W takim razie będziesz...

– Kopulował cię?

– Sądzę, że poprawnie mówi się: kopulować z tobą.

– Chole... wka i tak tego nie zrobię.

Wypuściła powietrze. W uszach jej dzwoniło i nie mogła go wyraźnie słyszeć.

– Dlaczego? – spytała cicho, choć zdawało się jej, że mówi donośnie. – Myślałam... powiedziałaś, że czułeś iskry.

Rozluźnił dłoń na jej nadgarstkach.

– Chcę cię... z tobą kopulować. Wziąć cię. Ale zasługujesz na coś lepszego niż kotłowanie się na kradzionej kanapie w brudnym, pełnym szczurów tunelu pod Field Lane.

– Wiedziałaś, że to nie był kot. – Pacnęła go, a jej policzki rozpały się z zażenowania. Dała mu się jak na tacy, a on ją

odrzuca. Jednak do domu wróci jako dziewica.

– Odsuń się – zażądała.

– Nie sądzę. – Zesztywniała. W jego głosie było coś złowieszczonego, jakby mówił: „Jeszcze z tobą nie skończyłem”. – Nie puszczę cię, zanim cię czegoś nie nauczę.

– Przeczytałam książkę.

– To będzie coś lepszego niż książka.

Jego usta dotknęły lekko jej warg. Jedną rękę zsunął po jej uniesionych ramionach, a drugą przytrzymał jej głowę. Kiedy jego palce dotknęły nagiej skóry jej szyi, zadrżała, a jego pieszczoty zmieniły się w lekkie niczym piórko muśnięcia. Głaskał ją po delikatnej skórze, aż doszedł do gorsetu. Jego usta podążały za palcami, wypalając namiętny ślad tam, gdzie jej skóra już płonęła od jego dotyku.

– Gideon.

– Spodoba ci się – szepnął. Zsunął z niej koszulkę, potem szarpnął gorset i uwolnił jej piersi. Pragnęły jego dotyku, a kiedy ustami przywarł do jej sutka, zadrżała.

Ssał ją i głaskał. Jej ciało żywo reagowało na jego usta. Była ciepła i gotowa przy złączeniu ud. Zacisnęła nogi w nadziei, że złagodzi tym narastające pożądanie.

Nie przestawał jej całować. Coraz trudniej było jej zachować bezruch, aż rozsunęła nogi i pozwoliła biodrom poruszać się we własnym rytmie. Chciała czegoś, potrzebowała tego. Była już blisko. Gdyby tylko dotknął jej...

Była przerażona, kiedy uświadomiła sobie, gdzie pragnęła go poczuć. Przyciskała się do niego, lubieżnie ocierała się o jego ciało.

– Nie przestawaj teraz – zamruczał przy jej nagiej skórze. – Musisz być już blisko.

W tamtym momencie jeszcze nie rozumiała jego słów.

– Co mi robisz?

– Chcesz, żebym przestał?

– Ja...

Puścił jej nadgarstki i przebiegł palcami wzdłuż jej ramienia, po nagiej piersi, aż doszedł do brzucha. Kiedy przesunął się niżej, nie mogła powstrzymać jęku. Gideon również jęknął i skierował się ku jej spódnicom. Owinął swoją ciepłą dłoń wokół jej kostki i

szorstkimi palcami zaczął wspinać się po jej delikatnej skórze. Kiedy doszedł do kolana, zsunęła nogi.

– Coś nie tak? – spytał czule.

– Co robisz?

– Pokazuję ci coś, o czym nie przeczytasz w książkach. A przynajmniej nie w takich, jakie znasz. – Gdy jego palce powędrowały wyżej, musiała wstrzymać oddech.

– Naprawdę chcesz, żebym przestał? – Palcami musnął plątaninę włosów przy złączeniu jej ud, na co pisnęła. – Powiedz, Susanno. Przystanę, jeśli poprosisz.

– Ja...

Zszedł palcami niżej. Jej uda były wystarczająco wilgotne, żeby wsunął się między nie. Wstrząsnął nią dreszcz przyjemności i krzyknęła.

– Rozsuń nogi, Truskaweczko.

Pokręciła głową. Nie mógł zobaczyć jej gestu, ale musiał się go domyśleć.

– Mogę to zrobić, gdy masz zsunięte kolana, ale bardziej ci się spodoba, jeśli dasz mi więcej przestrzeni.

– Nie powinnam.

– Oczywiście, że nie. Za takie rzeczy idzie się do piekła. – Jego palce przesuwały się w przód i tył. Jej kolana zrobiły się miękkie. – Za samo myślenie o takich rzeczach powinnaś mnie spoliczkować.

Jeden palec zanurzył się w niej. Zacisnęła mięśnie w oczekiwaniu. Przyjemność i pożądanie zmieszały się, aż musiała się rozluźnić.

– Rozsuń nogi, Susanno.

Poddała się pragnieniu swojego ciała i pozwoliła kolanom się rozłączyć. Ponownie przesunął palcami po jej wrażliwym miejscu, aż krzyknęła.

– To właśnie tu mój... jak go nazwałaś? Nabrzmiały narząd? Właśnie tu bym cię penetrował. – Wsunął w nią dwa palce.

Wiła się, gdy je wsuwał i wysuwał. Już go nie słyszała. Jedynie czuła.

– A potem poruszałbym się w tobie w taki oto sposób. A gdybym dobrze to zrobił... – Zaczął zwalniać, dopóki nie jęknęła, a każdy mięsień w jej ciele się napiął. – Jeśli bym zwolnił. Lubisz wolno, prawda? I potarłbym kciukiem w tym miejscu...

Zaczął rysować kółka kciukiem. Zaskoczył ją nagły wybuch pożądania. Jej ciało zadrżało gwałtownie i naprawdę zobaczyła iskry. Przyjemność, której istnienia nie podejrzewała, przelała się przez jej ciało, i Susanna opadła niczym lalka. Kiedy złapała oddech, zaczęła dłonią szukać Gideona.

– Co to było?

– Orgazm – odpowiedział.

Sądząc po kierunku, skąd dochodził jego głos, wciąż był między jej kolanami. Susanna leżała na szezlongu z głową opartą o podłokietnik pod dziwnym kątem. Nie przeszkadzało jej to. Nie miała zamiaru się ruszać.

– To było aż za łatwe – powiedział.

– W książce nie było o tym mowy.

Zaśmiał się.

– Nie wątpię. Pokażę ci jeszcze coś, czego nie było w książce.

– Gideon. – Usiłowała usiąść i, chyba już po raz setny, żałowała, że w pomieszczeniu nie ma światła. Po chwili poczuła jego zarost na swoim udzie i pisnęła.

– Co robisz?

– Coś, na co dama nie powinna nigdy pozwolić mężczyźnie. Próbowała usiąść i chwycić go za włosy.

– W takim razie zaprzestań.

– Jesteś pewna, że tego właśnie chcesz?

Musiał obrócić głowę, ponieważ poczuła między nogami ciepło jego oddechu. Jednodniowy zarost kłuł skórę jej wewnętrznej części ud. Susanna starała się oburzyć, kiedy uświadomiła sobie, gdzie dokładnie znajdowała się jego głowa. Starła się powiedzieć mu, żeby przestał. Lecz jej ciało już się napięło od jego dotyku. Pragnęła tego, co jej da.

– Mam przestać? – spytał ponownie.

Zacisnęła dłonie, gdy usłyszała śmiech w jego głosie. Z czystej złości chciała powiedzieć, żeby przestał.

– Nie! – fuknęła.

Rozsunął jej nogi. Czekwała na słodkie wtargnięcie jego palców, lecz zamiast nich poczuła, jak coś ciepłego i miękkiego przesunęło się po niej.

Jego język!

– Dlaczego to robisz?

– Chciałem sprawdzić twój smak. – Ponownie ją liznął, muskając jej skórę raz po raz, aż jęknęła. – Smakujesz dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. Jak słodka i dojrzała truskawka.

– To... grzeszne.

Chrząknął, przyznając jej rację, i ponownie polizał.

Wstrzymała oddech.

– To skandaliczne.

Jego język nie przestawał się poruszać. Znalazł jej szczególnie wrażliwe miejsce i drażnił je, dopóki Susanna nie zaczęła dyszeć.

– To jest... – Nie była w stanie myśleć. Chciała mu powiedzieć, żeby przestał, ale słowa nie wychodziły z jej ust. Zacisnęła dłonie na jego włosach i w ekstazie odrzuciła głowę. – Tak, tak, tak. Proszę.

Jej świat zadrżał. Jej ciało eksplodowało w tysiąc kawałeczków przyjemności, a każde doznanie było słodsze od poprzedniego. Kiedy powoli wróciła do siebie, wpatrywała się bezmyślnie w otaczającą ją ciemność. Dzięki Bogu za brak światła. Nie potrafiłaby spojrzeć Gideonowi prosto w oczy po tym, co jej właśnie zrobił. Bała się, że nigdy nie przestanie się rumienić.

– Przesuń się. – Położył się obok niej na wąskim szezlongu i lekko ją trącił. Ani drgnęła. Jej ciało było zbyt ciężkie, żeby się ruszyć. Więc lekko ją unióś i wsunął się za nią, układając ją na boku. Jedną rękę zaborczo położył na brzuchu Susanny.

Czuła na nim swój zapach, jak czuła jego twarde członek wciskający się w pośladki. Dlaczego zostawił ją dziewicą, a siebie nie zaspokoił?

– Kiedyś będziesz musiała się do mnie odezwać – szepnął. Brzmiał normalnie, jakby jego usta, jego język nie... – Zbyt zszokowana, żeby ze mną rozmawiać? – Zaśmiał się. – Powiedziałem ci, że pokażę ci kilka rzeczy, których nie ma w książkach. Czego się spodziewałaś, Truskaweczko? Że będę się zachowywał jak dżentelmen?

Podparła się na łokciu.

– Brednie. Jesteś większym dżentelmenem, niż ci się wydaje.

– Tak sądzisz? – Dłonią ujął jej pierś. Nie podciągnęła jeszcze gorsetu, a kiedy poczuła szorstką dłoń na nagiej skórze, wzięła ostry wdech. – Chcesz, żebym ci znowu pokazał, jaki grzeszny potrafię być?

– Nie. – Odsunęła jego dłoń, kładąc ją z powrotem na swoim brzuchu. – Chyba nie dam rady więcej znieść. – I – ciągnęła dalej, zanim spróbowałyby obalić jej tezę – nie chcę tego sprawdzać.

– Szkoda.

Wiele by dała, żeby zobaczyć jego minę.

– Brzmisz, jakbyś chciał... zrobić to ponownie.

Trącił nosem jej szyję.

– Dlaczego miałbym nie chcieć? Podobają mi się odgłosy, jakie wydajesz, lubię twój smak i to jak chwytasz moje włosy i wpychasz moją twarz...

– Ani słowa więcej!

Roześmiał się cicho, przyciskając usta do wrażliwego miejsca poniżej jej ucha.

– Nie masz się czego wstydzić, Truskaweczko. Jesteś namiętną kobietą. To szczęście.

– Szczęście? Dla kogo?

– Dla lorda Doddering. Nie będzie miał nic przeciwko młodej, namiętnej lisicy w łóżku.

– Nie ma żadnego lorda Doddering i nigdy więcej nie mogę zrobić... tego, co zrobiliśmy.

Uniósł się i choć go nie widziała, domyśliła się, że patrzy na nią z góry.

– A to szkoda. Nie splamiłem twojego honoru. Do

małżeńskiego łoża wkrocysz jako dziewica. Nikt nie musi wiedzieć, co tu zaszło. Jeśli chciałabyś to powtórzyć, dochowam tajemnicy.

Ach, jaki był grzeszny. I nie z powodu tego, co sugerował. Problemem był fakt, że umiał czytać w jej myślach. Naprawdę chciała zrobić to jeszcze raz. A kiedy przesunął rękę do jej piersi, a drugą wsunął między jej nogi, nie oponowała.

Gideon nigdy nie spotkał kobiety podobnej do Susanny Derring. Wystarczyło ją ledwie dotknąć, żeby doprowadzić do orgazmu. Całowała go, poruszała się przy nim, jakby miała umrzeć, jeśli przestałby jej dotykać. Miał wrażenie, że rozkwitała pod jego dotykiem.

Jej reakcja tylko sprawiła, że pragnął jej więcej, a kiedy wreszcie zmęczył ją, zasnęła obok niego, głęboko oddychając. Też powinien być zmęczony, lecz zbyt wiele erotycznych myśli krążyło po jego głowie, żeby mógł zasnąć. Jego członek wciąż był twardy i niezadowolony, że go zignorowano.

Mógł ją wziąć. Sama mu się zaoferowała w niezgrabny, nieśmiały sposób. Chciał tego. Lecz jedynie przyłożył do niej usta i sprawił, że krzyczała jego imię.

Nie wiedział, dlaczego się z nią nie kochał. Może dlatego, że nawet w ciemności, nawet jeśli go chciała, nie mogła udawać kogoś, kim nie była, i pozostała sobą.

Lady Susanną.

Kimże był, by odebrać jej dziewictwo? Nie powinien nawet jej dotykać. Był zwykłym złodziejaszkiem, który wychował się wśród biedoty Seven Dials i nie powinien ośmielić się chociażby na nią spojrzeć.

A zrobił coś więcej niż tylko spojrzeć.

Może kiedyś zasłuży na więcej. Kiedy odzyska naszyjnik i opuści Seven Dials i chłopaków z Covent Garden. Gideon Harrow również przejdzie do przeszłości. Przybierze nowe imię, stanie się nową osobą. Ostatnia kradzież, aby zostać uczciwym człowiekiem. Może przeprowadzi się do innego miasta, a może na wieś, znajdzie dziewczynę o ponętnych kształtach, z pięknym uśmiechem i

długimi rudoblond włosami.

Gideon zacisnął pięści.

– Ona nie jest dla ciebie – mruknął do siebie. – Zrób, co musisz, i znikaj, zanim wyczerpiesz swoje szczęście.

Matka Cummings zdołała go znaleźć. Kwestia czasu, aż Beezle go dopadnie. Cholera, Beezle może równie dobrze siedzieć teraz w kuchni Desa. A jeśli choćby wyczuje Gideona, wymknie się i zasadzi na niego niczym głodny kot.

Gideon nie wiedział, jak długo leżał, zanim usłyszał kroki na schodach. Przyłożył dłoń do ust Truskaweczki i zaczął ją budzić.

– To ja. Ktoś idzie. – Znieruchomiała. – Nic nie mów.

Skinęła i odsunęła jego rękę. Czuł, że zaczęła poprawiać suknię.

Schylił się po leżący na podłodze kawałek drewna.

Przypominał uchwyt taczki lub pługu i doskonale nadawał się na broń.

Światło przeniknęło przez szparę pod drzwiami i przeszło ciemność. Gideon wykorzystał okazję, by przejść przez pomieszczenie bez potykania się o zgromadzone przedmioty, i ustawił się przy drzwiach. Uniósł swoją broń i spojrzał na Truskaweczkę. Była przerażona i zniewalająco piękna. W słabym oświetleniu jej włosy tworzyły ciemną aureolę wokół bladej twarzy. Oczy miała niesamowicie duże i ciemne, usta nabrzmiałe i czerwone. Wyglądała jak w pełni zaspokojona kobieta.

Chciałby ją widzieć taką przez cały czas.

Zasuwa się uniosła i drzwi zaskrzypiały. Gideon uniósł swoją broń, kiedy nieznajomy lampą oświetlił kradzione dobra.

– Gid? – spytał Des.

– Tutaj. – Opuścił uchwyt i odetchnął głęboko.

Des przysunął lampę w kierunku Gideona; wzrok natychmiast pobiegł mu w kierunku ręki zaciśniętej wokół uchwytu.

– Chciałeś mnie tym zabić?

– Nigdy nie wiadomo, kto mógłby przyjść po mnie.

– Racja. Matka Cummings nie uwierzyła, że nie ukrywasz się

w domu. Brenna wreszcie postraszyła, że poszczuje ją psem.

– Co z Beauty? – Truskaweczka odrzuciła włosy na plecy. – Nic jej nie jest?

– W porządku. W tej chwili obgryza kość. – Des obrzucił ją wzrokiem i spojrzał na Gideona. – Chyba nie muszę pytać, czym urozmaicaliście sobie czekanie.

Policzki Truskaweczki przybrały kolor owocu, od którego zyskała przydomek.

– Jest już ciemno? Doceniam twoją gościnę, ale wolałbym ruszyć dalej, zanim Beezle zaczną mnie szukać.

– Też bym wolał. Do zmroku jeszcze godzina albo i dłużej. Latem dni są długie. Głodni jesteście?

– Nie – odpowiedziała Susanna.

– Tak – zignorował ją Gideon. – Ona też jest głodna. Słyszałem i to nie raz jak jej burczało w brzuchu.

– Nie burczało! – Ponownie się zaczerwieniła.

Bogaci byli dziwni. Dlaczego takie coś jak burczenie w brzuchu miałyby ją krępować?

– Po drugiej stronie ulicy jest pub. Dają przyzwoite jedzenie. W każdym razie lepsze niż to, co gotuje Brenna.

Gideon poklepał się po kieszeniach.

– Nie mam nic przy sobie.

Des spojrzał na Susannę.

– Ona też nic nie ma. Chyba będę twoim dłużnikiem.

– Nie inaczej – powiedział Des i wskazał, aby szli za nim schodami.

Gdy cała piątka wkroczyła do pubu, zaczęło zmierzchać. Truskaweczka nalegała, aby wziąć Beauty, a Gideon nie miał sił się spierać. Poza tym psiak umiał wyczuć zbliżające się kłopoty. Jeśli Beezle się zjawi, Beauty ich ostrzeże.

Susannę trzeba było przymusić do jedzenia w pubie. Damy nie bywały w takich miejscach.

Gideon uśmiechnął się szeroko.

– Nie czas na zachowywanie się jak dama.

Szybko się odsunął, żeby nie mogła go dosięgnąć.

Des i Brenna usiedli na jednym końcu długiej ławki, a Gideon i Susanna na drugim.

Beauty leżała u stóp Susanny, z łbem na łapach. Gideon wybrał miejsca przy końcu stołu, na wypadek gdyby musieli się ratować szybką ucieczką. Miał widok na drzwi, ale do pubu nie wszedł nikt znajomy. Susanna z gracją sączyła piwo, choć odmówiła jedzenia. Gideon i tak zamówił potrawkę i ziemniaki. Jeśli ona nie będzie jadła, sam wsunie wszystko. Czemu nie? W końcu Des płaci.

Kiedy czekali na jedzenie, Gideon przytupywał stopą w rytm zwawej gigi wygrywanej przez skrzypka.

– Kobieta skrzypka czasami śpiewa. – Des powiedział głośno do Gideona.

– Ma głos anioła – dodała Brenna.

– Skąd ma wiedzieć, jak brzmią anioły, przecie lada dzień wyląduje w piekle.

Gideon się roześmiał.

– Miałem nadzieję, że będziesz życzył mi długiego życia i wzniesiesz toast za moje zdrowie. Nie spłacę cię martwy.

– Ty? Spłacić mnie? – Des uniósł w jego kierunku kufel piwa. – Teraz jesteśmy kwita. Tak to widzę.

Stuknęli się kufłami i napili.

– Jaki masz wobec niego dług? – spytała Susanna. Jej głos, na tle akcentów z Field Lane, brzmiał jeszcze bardziej wytwornie i elegancko.

– Nie powiedział ci? – Pokręciła głową. – Kilka miesięcy temu Gid i ja zrobiliśmy jeden dom.

– Obrabowaliśmy go – wytłumaczył Gideon. – Des zazwyczaj zajmuje się paserstwem, ale stracił własność Beezle'a, nim zdołał za nią zapłacić. Beezle dał mu wybór: albo zrobi dom, albo skończy z poderżniętym gardłem.

Susanna wstrzymała oddech.

– Nie straciłem towaru – zaprotestował Des. – Ci z Bow Street go zabrali. To dwie różne rzeczy. – Spojrzał na Susannę. – A że lubię swoje gardło, poszliśmy na włam. Ja się zakradłem do

środka, on otwierał zamki.

Kiedy ściągnęła brwi, Des spojrzął na Gideona.

– Skąd żeś ją wytrzasnął?

Gideon uśmiechnął się sztywno.

Des zamówił gestem więcej piwa.

– Byłem w domu i wyrzucałem towar Gidowi. Właściciele wrócili, nakryli mnie. Gid mógł uciec i uratować swoje kościste dupsko.

– Ale nie zrobił tego – powiedziała Susanna.

– Ryzykował własną głową, żeby wrócić i mi pomóc.

– Ale straciłem towar – powiedział Gideon. – Musiałem zrobić inny dom. Tym razem miałem lepszych koleżków.

Susanna z głośnym hukiem postawiła kufel.

– Dobry Jezu, ile domów zrobiłeś?

Tłum zaczął klaskać i gwizdać, kiedy pojawiła się kobieta o ciemnej cerze i czarnych włosach niemal do kostek. Wolnym krokiem minęła stoły, dzwoniąc spódnicą.

– Powiedziałbym ci – szepnął Susannie na ucho – ale obawiam się, że nie potrafię do tyłu zliczyć.

Spojrziała na niego tak pełna niewinnego szoku, że nie mógł powstrzymać się przed pocałowaniem jej.

– Gideon! – Odepchnęła go.

Och, jak uwielbiał ją szokować. Kusiło go, żeby ponownie to uczynić.

Brenna wskazała na piosenkarkę, która stała przy skrzypku.

– Spodoba wam się, chłopcy.

– Wygląda na Cygankę, prawda? – zauważył Gideon.

– Tak powiadają – odpowiedziała Brenna, nie odrywając wzroku od kobiety. – Kto wie, czy to prawda?

Skrzypek zaczął wolno grać. Cyganka zakołysała biodrami w rytm sentymentalnej muzyki. Po chwili wzięła głęboki wydech i zaczęła nucić. Miała niski i melodyjny głos. Gideon pochylił się do przodu.

Powiedz mi historię dziewczki i jej miłości,

Powiedz mi o dwóch złamanym sercach.

Powiedz mi historię dziewczki i jej miłości,

Powiedz mi o zrodzonej namiętności.

Ona piękna, on jej wierny,

Dnia bez siebie nie znali.

Przywdział czerwony płaszcz i odszedł w dal,

Zostawił po sobie złamane serce i żal.

Susanna chwyciła się za nadgarstki, a Gideon oderwał wzrok od piosenkarki.

– Smutna piosenka – powiedział, kiwając głową w kierunku Cyganki. – Znasz ją?

Pokręciła głową.

– Powtarza pierwszą zwrotkę, potem mówi, że żołnierz zginął, a dziewczyna odbiera sobie życie – wyjaśnił.

– W takim razie zakończenie musi być radośniejsze.

Trącił jej nos.

– Nie, choć muzyka już tak. – Gideon coraz szybciej wystukiwał rytm nogą, gdy skrzypek zaczął wywijać smyczkiem. Des wziął Brennę w ramionach i dołączyli do kilku tańczących par.

– Chodź – powiedział Gideon. Wstał i podał jej rękę. Beauty zaszczekała i również się podniosła.

Susanna zamrugwała zaskoczona.

– Czy prosisz mnie do tańca?

Rozsunął dłonie.

– Czy nigdy nie proszono cię do tańca, Truskaweczko?

– Oczywiście, że tak, ale...

– W takim razie chodź! – Pomógł jej wstać i okręcił ją dookoła. Jej włosy się uniosły, tworząc intensywnie złocistą aureolę wokół głowy i ramion. Złapał ją w pasie i porwał do tańca; obracał ją, puszczał i ponownie chwycił.

Zmarszczka między jej oczami mówiła mu, że za bardzo się skupiała na krokach gigi, zamiast dobrze się bawić. Kiedy Cyganka ponownie zaśpiewała, okręcił Susanną, aż zrobiło jej się słabo.

– Przestań tyle myśleć, Truskaweczko – zawołał, przekrzykując hałas. – Poddaj się muzyce.

Zachwiała się, złapał ją i ponownie okręcił. Przywarła do niego, opuszczając głowę, ale kiedy znów na niego spojrzała, jej oczy świeciły podekscytowaniem.

Gideon radośnie zakrzyknął i pomknął z Susanną dookoła pomieszczenia. Pies dziko zaszczekał i energicznie zaczął machać ogonem. Kiedy byli w połowie okrążenia, prowadziła go, klaskała i tupała energiczniej od pozostałych tancerzy. Brenna złapała ją za rękę i kobiety zaczęły wirować. Kiedy się puściły, Gideon chwycił Susannę i uniósł w górę, obracając się z nią, aż odchyliła głowę i się roześmiała.

Zakłuło go w sercu na ten widok: te nieujarzmione włosy i czerwone policzki. Była uosobieniem wolności. Tańczyła do kolejnej piosenki, ale kiedy przyniesiono jedzenie, Gideon usiadł i zaczął jeść. Nie spuszczał z niej wzroku, choć mężczyźni w pubie chcieli jedynie napić się przy odrobinie muzyki. Beauty spojrzała na niego błagalnie, więc podał jej pod stołem mięso.

Przeklęty pies.

Kiedy Susanna wreszcie przy nim usiadła, włosy miała przyklejone do czoła i ciężko oddychała. Wypiła do dna swoje piwo, po czym wzięła jego kufel i też opróżniła. Gideon chwycił ją za rękę, zanim sięgnęłaby po piwo Desa.

– Nawet o tym nie myśl. Zjedz coś albo będziesz tak pijana, że będzie trzeba cię zanieść do ogrodów Vauxhall.

Odepchnęła jego dłoń.

– Damy nigdy się nie upijają, mój panie.

– Ciesz mnie to. Ale zrób mi przyjemność i zjedz potrawkę, moja pani.

Zjadła, ale kiedy znów na nią spojrzał, trzymała w ręku kolejne piwo. Nie minęło wiele czasu, kiedy pociągnęła go i zaczęła nalegać na taniec. Gideon nie mógł odmówić.

Klaskał, kiedy unosiła dłonie nad głowę i obracała się, aż jej spódnice wirowały. Śmiała się i odrzucała głowę do tyłu, a on w odpowiedniej chwili ją złapał, żeby figlarnie pocałować.

Susanna zmieniła pocałunek w coś głębszego. Gideon był już gotów przycisnąć ją do pleców Desa, gdy poczuł na szyi ukłucie

niepokoju. Odsunął się i obrzucił wzrokiem całe pomieszczenie.

Kilku mężczyzn wyglądało znajomo, ale nie byli to ludzie Beezle'a. Gideon nigdzie nie zobaczył wrogów. Drzwi do pubu były zamknięte. Miał chwilę, aby zastanowić się, kto mógł wyjść i prawie mu się udało, ale Truskaweczka znów go pocałowała i się roześmiała. Rzucili się w wir tańca.

Mów – powiedział Brook jak zwykle pełen sceptycyzmu.

Dorothea przeniosła wzrok z rozczochanego Gońca z Bow Street, który właśnie zawitał w jej salonie, na Brooka. Jej młodszy syn urodził się sceptykiem. Może dlatego tak dobrze rozwiązywał zagadki.

Dorothea nie chciała nazywać Brooka śledczym. Woląca nie zauważać, że jej syn ma biuro w tym samym budynku co Gońcy z Bow Street i że korzystano z jego usług do odnajdywania zaginionych osób i skradzionych dóbr. Młodszy syn hrabiego Dane’a nie miał zawodu. W jej mniemaniu praca detektywa była jedynie hobby... w którym miał wybitne osiągnięcia.

Nieogolony goniec zerknął na nią i przycisnął kapelusz do piersi. Miał na sobie sfatygowany płaszcz i poplamione spodnie. O mało co nie krzyknęła, kiedy Crawford wskazał mu drogę do salonu. Nim Brook powitał gościa, myślała, że to złodziej.

– Znalazłeś ją? – spytał go Brook. Jego głos nie zdradzał ani irytacji, ani entuzjazmu. Jednak Dorothea nie mogła się powstrzymać przed przykłaśnięciem w dłonie. Mogłaby wstać, ale wtedy Brook też musiałby się podnieść.

– Tak mi się zdaje, sir – powiedział Goniec, patrząc na Brooka. – Odnalazłem dziewczynę, która odpowiada rysopisowi.

– Gdzie?

– W pubie na Field Lane.

– Co takiego? – Dorothea nie wytrzymała i wstała. Field Lane? Co na Boga, jej córka miałaby robić w takim miejscu? – Myli się pan.

Brook natychmiast stanął u jej boku.

– Matko, pani Castle potwierdziła, że widziała ją w Seven Dials. Field Lane leży nieopodal. Wysłuchajmy, co pan Sawyer ma do powiedzenia, zanim wyciągniemy jakieś wnioski.

– Ależ oczywiście. – Bolały ją palce od zaciskania dłoni.

Brook położył dłoń na jej ramieniu i ponownie usiadła. Gdzie jest Dane? Już powinien być. Wczoraj po niego posłała wbrew woli Brooka. Brook nie rozumiał, jak Dane może pomóc w dochodzeniu, ale ona chciała mieć starszego syna u boku z bardziej samolubnych pobudek.

Dane był silny, mogła na niego liczyć. Brook od zawsze opierał się emocjom. Nawet jako dziecko wzdrygał się przed jej uściskami i pocieszającym poklepywaniem, kiedy uderzył się w palec czy zadrapał kolano. Susanna chciała za wiele czułości, Brook – żadnej. Dane natomiast akceptował to, co mu dawała, nigdy nie żądał ani więcej, ani mniej.

– Mów dalej – Brook nakazał Sawyerowi.

Niechłujny mężczyzna ponownie na nią spojrział.

– Zauważyłem ją w pubie. Wcześniej doszła mnie plotka o damie z psem, która naraziła się Danowi Sztyletowi.

– Komu? – spytała Dorothea.

Brook zbył jej pytanie machnięciem ręki.

– Plotka.

Sawyer skinął.

– Nie inaczej, ale słyszałem, że ma rudoblond włosy, zatem zachowałem czujność. Miałem oczy otwarte. Poszła do pubu na kolację.

– Sama? – spytał Brook.

Sawyer pokręcił głową.

– Była w towarzystwie dwóch mężczyzn i kobiety. Nie znam kobiety, ale Des to paser.

– Ten od sklepu z kradzionym towarem?

– Zgadza się. Ale nie była z nim tak zaprzyjaźniona, jak z tym drugim.

– Co ma pan na myśli, mówiąc „zaprzyjaźniona”? – lodowatym tonem spytała Dorothea.

Brook uniósł rękę. Właśnie tego gestu nienawidziła. Jak śmiało zbywać jej pytanie?

– Co to za jeden? – spytał Brook.

– Nie znam go, ale wyglądał znajomo. Może ktoś z gangu

Beezle'a.

Brook uniósł brwi z zainteresowaniem.

– Kim jest Beezle? – spytała.

Mężczyźni ją zupełnie ignorowali. Co za tupet!

– Czy działa jej się krzywda? Czy trzymali ją wbrew jej woli? – spytał jej syn.

– Nie, sir. Ona... – Wzrok Sawyera znów pobiegł w jej kierunku.

– Mówże, młody człowieku – Dorothea obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

Sawyer nerwowo gniótł kapelusz.

– Tańczyła, jaśnie pani. Tańczyła z człowiekiem Beezle'a, śmiała się, a sądząc po tym, jak chętnie piła, prawdopodobnie i w tym aspekcie również pozwalała sobie na dużo.

– To nie może być Susanna.

Sawyer zaczął skubać zmięty kapelusz.

Brook zacisnął usta.

– Lepiej będzie, jak pojedę to sprawdzić.

Dorothea uderzyła pięścią o kanapę.

– Mówię ci, że to nie ona. Tracisz czas, szukając w takich miejscach. Porwano ją. Nigdy dobrowolnie nie poszłyby do Field Lane ani nie tańczyłyby w pubie!

Wstała, a za nią ociężale podniósł się Brook.

– Tracisz czas. – Wskazała palcem na Brooka.

Zamiast zgodzić się z nią, Brook poklepał Sawyera po ramieniu.

– Dobra robota – rzekł i odprowadził go. Crawford otworzył drzwi, a Brook powiedział coś, czego nie dosłyszała.

– Jadę na Field Lane – zwrócił się do niej ze zmęczonym i powściągliwym wyrazem twarzy. – Wątpię, czy nadal będzie w pubie, ale to zawsze jakiś początek.

Dorothea uniosła podbródek. Nie mogła powstrzymać drżenia warg.

– To nie ona.

Brook natychmiast rzucił jej władcze spojrzenie. Sama go

tego nauczyła, choć wolałaby zrzucić winę na jego ojca.

– To Susanna. Sawyer jest najlepszym Gońcem, jakiego znam. Nie myli się. Susanna była w towarzystwie mężczyzny. Jego informacje potwierdzają słowa pani Castle. – Wsunął ręce w kieszenie. – Myślałem, żeby ponownie ją przesłuchać. Zna jego tożsamość, ale z jakichś powodów jej nie ujawniła.

– Nie rozumiem. – Dorothei nie podobała się piskliwa nuta w jej głosie. Mówiła jak stara kobieta.

– Naprawdę, matko? – powiedział Brook z nietypowym jadem. Czują, jak jego spojrzenie pali jej skórę. – Od narodzin trzymasz ją pod kloszem. Nie weźmie oddechu, dopóki jej nie pozwolisz. Gdyby tylko szybciej się uczyła...

– Wtedy nie musiałabym jej pilnować! – Dorothea uświadomiła sobie, że krzyczy, i ściszyła głos. – Właśnie takich rzeczy się obawiałam.

– Dlaczego? – spytał Brook. – Zawsze była posłuszna. Czasami chciałem, żeby posłała cię do diabła, ale nigdy tego nie uczyniła.

– Jak śmiesz! – Jej głos tym razem nie zadrżał. Nie chciała go słuchać, ponieważ miał rację. To jej wina. Zbyt mocno kontrolowała Susannę. Rządziła nią ze strachu, nie z miłości.

– Czego mi nie mówisz? – spytał nieustępliwie Brook. Jej syn miał w zwyczaju drążyć temat, dopóki nie uzyskał odpowiedzi, której szukał.

Dorothea opadła na kanapę, niemal znikając w miękkich poduszkach mebla.

– Ogrody Vauxhall – wyszeptała.

Brook skrzyżował ręce na piersi. Wiedziała, że nie okaże jej współczucia. Może dzięki temu łatwiej będzie mu o tym powiedzieć. Po tych wszystkich latach i tak nie chciała współczucia.

– Susanna chciała jechać do ogrodów Vauxhall. Praktycznie mnie błagała. Nie zgodziłam się, ale nie dawała spokoju. To było tamtej nocy, kiedy zniknęła.

– Dlaczego wcześniej mi nie powiedziałaś? Nie wysyłałbym

ludzi do obserwowania wyjazdu z miasta i dróg.

Dorothea ukryła twarz w dłoniach.

– Ponieważ nie chciałam myśleć, że może tam pojechać. Nie chciałam, żeby popełniła ten sam błąd co ja.

– O jakim błędzie mówimy?

– Zakochałam się. – Patrzyła w kierunku okna. Odsłonięte zasłony zapewniały widok na zapadającą noc. Kolejny dzień bez Susanny. Mogła mówić o przeszłości, jeśli nie patrzyła na Brooka. Za bardzo przypominał jej swojego ojca.

– To wydarzyło się, zanim poznałam twojego ojca. Spotkałam mężczyznę w Vauxhall i zakochałam się. Ale on był... nieodpowiedni.

Dziwnie było redukować miłość swojego życia do słowa „nieodpowiedni”. Był kimś więcej. Był przystojny, dobry, mądry i uroczy. Zakochała się w nim od pierwszego spojrzenia. Bez pytania oddała mu serce, lecz nigdy nie była w stanie go odzyskać.

– Moi rodzice nigdy nie zgodziliby się na nasze małżeństwo, ale marzyłam o ucieczce z nim do Gretna Green.

Kątem oka zauważyła, że Brook lekko się poruszył. Przez nią poczuł się nieswojo, może nawet go zaskoczyła. Nikt nie myślał o niej jak o kobiecie, a najmniej jej własni synowie. Była hrabiną wdową Dane, a wcześniej lady Dorotheą, córką księcia Monmouth. Była towarem, a nie człowiekiem.

– Robert, tak miał na imię, Robert Southey nigdy by nie uciekł. Był na to zbyt honorowy, choć muszę przyznać, że błagałam go, żeby to przemyślał. Zwłaszcza kiedy poznałam twojego ojca.

Teraz spojrzała na Brooka. Nie знаła Erasmusa Derringa jako młodego człowieka. Kiedy poślubiła go, zbliżał się do pięćdziesiątki. Był wcześniej żonaty, ale ze związku nie miał dzieci. Poprzednia hrabina zmarła na suchoty, a Erasmus chciał młodą żonę i dziedzica tytułu. Jej rodzice natomiast chcieli hrabiego dla swojej córki. Została sprzedana niczym koń czy krowa. Nikt jej nie pytał, czy chce poślubić Erasmusa Derringa. Nikogo nie interesowało, że jej serce należało do innego.

– To nie było małżeństwo z miłości.

Uśmiechnęła się lekko. Brook potrafił stwierdzać oczywiste rzeczy w sposób, który ją bawił. Wyprostowała ramiona.

– Spełniłam swój obowiązek. To coś, czego wasze pokolenie nie rozumie. Wszyscy mówicie o małżeństwie z miłości. Weźmy twojego brata! – Znów wpatrywała się w okno. – Za moich czasów spełnialiśmy swoje obowiązki.

– I bałaś się, że Susanna by tego nie zrobiła?

– Bałam się, że ma w sobie wiele z mojej lekkomyślności. Brook uniósł brwi.

Dorothea wycelowała w niego palec.

– Nie znałeś mnie w młodości, młody człowieku. Byłam szalona i nie zważałam na konsekwencje. Jeśli kobieta, którą widział twój pan Sawyer to Susanna, wygląda na to, że moje wysiłki poszły na marne.

– Jeśli to Susanna, przywiozę ją do domu. Jeżeli nie będzie jej na Field Lane, poszukam w Vauxhall. A kiedy wróci, będzie musiała natychmiast wyjść za mąż.

Dorothea skinęła automatycznie. Już wcześniej zaczęła sporządzać listę potencjalnych mężów. Żaden z nich nie spełniał w pełni jej oczekiwań, ale stanowili odpowiednie partie.

– Mam ostatnie pytanie – powiedział Brook.

Przechyliła głowę, nie patrzyła na niego. Niebo szybko przeszło z koloru indygo w czerń. Przypomniała sobie inne niebo sprzed lat, tamto płonęło od fajerwerków.

– Mnie i Susannę dzieli kilka lat, ponadto straciłaś przynajmniej jedno dziecko między narodzinami Dane’a a moimi. – Wbiła w niego wzrok. Nie powinno jej dziwić, że wiedział takie rzeczy. Zawsze wiedział więcej, niż sądziła. – Spełniłaś obowiązek, rodząc dziedzica i drugiego syna. Jeśli twoje małżeństwo nie było z miłości, czy nie mogłaś dążyć do realizacji swoich zainteresowań?

Ani drgnął, nawet gdy posłała mu spojrzenie, pod którym Crawford by czmychnął.

– Inne zainteresowania. Interesujące określenie cudzołóstwa.

Czy o to mnie oskarżasz, sir?

Uniósł jedno ramię w beztroskim geście.

– Tylko pytam, o nic nie oskarżam.

– Wciąż jestem twoją matką – powiedziała, podnosząc się z miękkich poduszek kanapy. – I wciąż jestem hrabiną Dane. Idź przepytywać szumowiny w Spitafields czy St. Giles.

Wyszła z salonu i już stała przy swoich prywatnych pomieszczeniach, gdy zasłabła. Edwards natychmiast zjawiała się u jej boku, ale Dorothea nie chciała pomocy pokojówki. Odepchnęła jej rękę i chwiejnym krokiem weszła do pokoju, zatrzaskując drzwi przed twarzą Edwards. Pokojówka wołała z korytarza, pytała, czy czegoś nie potrzebuje, ale Dorothea nie słyszała ani słowa.

Osunęła się na podłogę, tę samą podłogę, na której lata temu Dane uczył się chodzić. Wtedy zasłabła z powodu utraty krwi; pamiętała widok czerwonych strużek na białych nogach. Krew zebrała się na dywanie – innym niż dziś – tworząc nieregularne czerwone koło. Strata kolejnego dziecka, córeczki, zdruzgotowała ją. Narodziny Brooka rok później złagodziły nieco ból, a Susanny – zabrały jego resztki. Na sercu zostały jedynie blizny.

Susanna była kimś więcej niż tylko córką, którą wcześniej straciła. Była życiem, które Dorothea mogłaby poznać.

Serce Dorothei bolało na myśl o przeszłości. Wyznanie przywołało wspomnienia. Tak bardzo starała się o nim zapomnieć. Po tych wszystkich latach wciąż kłuło ją w piersi na myśl o nim. Tętno wciąż przyspieszało. Nadal go kochała, nadal mogła przypomnieć sobie jego usta na swojej szyi, nadgarstkach i wargach. Wciąż czuła się jak młoda kobieta, mimo że zbliżała się do pięćdziesiątego roku życia. Kiedy przeglądała się w szkło, nadal wyglądała młodo. Nie miała siwych kosmyków, jedynie kilka zmarszczek. Ale były dni, kiedy słyszała, jak mówi, i czuła się staro. Była tak dostojna, poważna, tak krytyczna. Gdzie podziała się radosna dziewczyna sprzed lat? Czy straciła ją, kiedy straciła miłość życia? Zawsze będzie żałowała, że zostawiła go, ale nie miała wyboru. Nie, jeśli chciała być ze swoimi dziećmi.

A teraz Dorothea płakała, ponieważ nie miała wyboru,

ponieważ jej życie było wielkim smutkiem skąpo doprawionym miłością. I to była jej wina. Jak mogła mieć Susannie za złe ucieczkę, skoro sama postąpiła tak samo, nim odzyskała zdrowy rozsądek?

– Och, kochanie – łkała. – Wybacz mi. Chciałam cię tylko chronić.

Lecz teraz nikt ich nie mógł chronić.

Świat przypominał wir kolorów, dźwięków i słodczy. Gideon okręcał Susannę w silnych ramionach i zawsze łapał ją, akurat w chwili gdy obawiała się, że się zbyt szybko kręci i upadnie. Jego usta na jej wargach były słodkie jak piwo w jej kuflu.

Za dużo wypła. Ostrzegał ją, ale nie miała ochoty go słuchać.

Muzyka musiała zwolnić, ponieważ jej ciało poruszało się wolniej. Pozwoliła głowie opaść na ramię Gideona. Miał szerokie, silne ramiona. Zastanawiała się, jak wyglądałyby, gdyby zdjąć z nich koszulę.

– Nie tu, Truskaweczko – powiedział, odsuwając jej dłonie od kołnierzyka koszuli.

– Nie jestem truskaweczką – odparła. A przynajmniej próbowała. Słowo „truskaweczka” nieoczekiwanie utknęło w jej ustach.

– Dla mnie jesteś. – Wziął ją w ramiona i cicho pisnęła, kiedy jej stopy uniosły się nad podłogą, a głowa kręciła się jeszcze szybciej. Owinęła ręce wokół jego szyi, obawiając się, że może stracić równowagę.

Minął wirujące światła i uśmiechniętych ludzi i wyszedł z nią na chłodną, ciemną noc. Lekki wiatr cudownie chłodził rozgrzaną skórę Susanny, nawet jeśli rozzłoszczone męskie głosy przyprawiały ją o dreszcze.

– Trzymam cię – powiedział jej. – Wracamy do Desa.

– Beauty? – Niemal wypadła z jego ramion, rozglądając się z psem. Chwycił ją mocniej i wtedy zauważyła mały biały pyszczek, który na nią patrzył. – Tutaj jesteś – pisnęła, a Gideon otworzył

drzwi i potykając się, weszli do ciemnego pomieszczenia. – Gdzie jesteście?

– Mówiłem ci, że Des prowadzi sklep z trefnym towarem. Możemy tu zostać, aż alkohol przestanie działać.

Miał niski i głęboki głos. Przycisnęła usta do jego szyi. Czuła wibracje, kiedy mówił.

– Chcę zobaczyć Vauxhall – powiedziała. Przesunęła ustami po jego skórze, delektując się nim. Smakował solą i pachniał dymem z kominka.

– Nie w takim stanie. Poczekajmy z godzinkę. – Jego głos był napięty. Zdała sobie sprawę, że jego dłoń na jej plecach ścisnęła ją mocniej, niż było to konieczne.

Czy to możliwe, że to jej usta na jego szyi tak na niego podziały?

Przesunęła po nim językiem, potem ustami przebiegła po linii szczęki, rozkoszując się kłującym zarostem na miękkich ustach. Dotarła do ucha i przygryzła płatek.

Kiedy on to jej zrobił, doprowadził ją do ekstazy.

– O, nie. – Nieoczekiwanie postawił ją na ziemię. Poczowała, jak uginają się pod nią kolana, ale złapał ją i przycisnął to swojej twardej piersi. Ręce miał na jej talii, twarz tuż przy jej twarzy. Ciemne włosy zakrywały mu czoło. – Nic z tego.

– Dlaczego?

– Jesteś pijana. Nie wiesz, co robisz. – Odsunął jej włosy i założył je za ucho. Gest ten sprawił, że miała ochotę potrzeć policzkiem o jego dłoń jak kot proszący o pieszczoty.

– Wiedziałam, co robię. Sprawdzałam, czy mogę cię podniecić. Udało mi się. – Sięgnęła do jego spodni, ale odskoczył.

– To nie jest dobry pomysł.

Odsunął się, a po chwili lampa uliczna zamigotała. Teraz mogła zobaczyć jego twarz; w zielonych oczach płonęło pożądanie.

– Dlaczego nie? – Im bardziej protestował, tym lepszy wydawał się jej ten pomysł. – Czy boisz się, że stracisz kontrolę, jeśli cię dotknę? Mogłabym tak na ciebie zadziałać? Sprawić, że

przestaniesz zachowywać się jak dżentelmenem?

Przełknął ślinę i wiedziała, że ma tę moc. Dzisiejszego południa grał na jej ciele, aż szalała z pożądania. Teraz chciała, aby to on jej pragnął.

– Mówiłem ci – powiedział i oparł ręce o stół, który stał za nim. – Nie jestem dżentelmenem.

– Udowodnij. – Położyła dłonie na jego biodrach i przesunęła nimi po udach, blisko narastającego wybrzuszenia w jego spodniach.

Chwycił jej nadgarstki.

– Powinnaś przestać, chyba że chcesz, abym wziął cię na tym stole.

– Spodoba mi się to? – spytała, wskazując na stolik. – Gdy mnie weźmiesz na stole?

– Spodobałoby ci się.

Wyprostowała się. Pomógł jej zachować równowagę, choć wciąż trzymał za nadgarstki. Ale kiedy wykręciła ręce, puścił ją. Sięgnęła do swojej sukni, wyciągnęła jedną szpilkę, a potem kolejną, aż gorset opadł.

Wpatrywał się w jej piersi. Widziała, jak oblizwał usta. Nie mogła przypomnieć sobie, gdzie Brenna wpięła resztę szpilek i tasiemek, ale suknia była na tyle duża, że Susanna mogła z niej wyjść. Pozwoliła jej opaść u swoich stóp i stanęła przed Gideonem w cienkiej, lnianej koszulce. Jedynie dzięki halce zachowała pozory skromności.

– Brak tu kominka – powiedziała. – Zimno mi.

– W takim razie powinnaś przestać zdejmować ubrania.

Ściągnęła buty i stanęła gołymi stopami na podłodze. Nie miała pończoch – wcześniej kazała je spalić Brennie, bo nie nadawały się do naprawy. Po chwili rozpięła halkę i wyszła z niej.

– Chcesz, żebym przestała? – spytała.

– Ależ skąd – odparł zachrypniętym głosem. Bałaby się go, gdyby go nie znała, gdyby mu nie ufała. – Przez całe popołudnie wyobrażałem sobie, jak wyglądasz nago.

Pociągnęła za pasek swojej koszulki, która po chwili opadła.

– Mam nadzieję, że spełnię twoje oczekiwania.

Wziął głośny wdech. Z drzeniem wypuścił powietrze i spojrzał na nią tak intensywnie, że poczuła żar na skórze od samego jego wzroku. Wiedziała, że powinna być skrępowana. Byłaby, gdyby nie alkohol. Ale podobało jej się to, jak na nią patrzył. Ciepło rozlało się po jej podbrzuszu i pragnęła, by jej dotknął. Potrzebowała tego. Zacisnęła palce na jego koszuli i wyciągnęła ją ze spodni. Usłużnie zajął się zapięciem i unióśł ramiona, żeby mogła zdjąć górną część jego garderoby. Jego tors był dla niej cudem – szczupły i złocisty w świetle lampy.

Zawsze myślała, że męskie torsy są pokryte włosami, lecz jego był gładki i wyrzeźbiony. Mięśnie poruszały się, kiedy oddychał. A oddychał ciężko, gdy objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

Był taki ciepły i twardy. Jej sterczące sutki muskały jego skórę i podobało jej się to, równie mocno jak jemu.

Gideon wypuścił powietrze i ujął jej pośladki, przyciągając ją do swojego twardego członka. Poczuła zalew przyjemności. Spojrzała w jego piękne oczy i dotknęła jego ust.

Chciała myśleć, że to ona ma kontrolę, ale uświadomiła sobie, że nie ma nad nim żadnej władzy. Była w jego rękach i całkowicie na jego łasce. Wziął jej usta z dzikością, pod którą zdrzała z radości. Jego szorstkie ręce zaczęły przesuwać się z jej pośladków w kierunku piersi.

– Jesteś tak miękka – powiedział przy jej ustach. – Nie wiedziałem, że kobieta może być tak miękka.

– A ty jesteś tak twardy. – Zdołała wsunąć dłoń między nich i musnęła jego członek.

Wziął ostry wdech, ale nie powstrzymał jej. Zamiast tego pocałował ją ponownie, pozwalając jej odpiąć klapę swoich spodni. Ciepły, twardy członek wyskoczył wprost w jej dłonie. Ostrożnie go dotknęła. Gideon muskał ją językiem; zdała sobie sprawę, że całował ją tak, jak sam chciałby być dotykany. Przeciągnęła dłonią po całej jego długości, w górę i dół.

Naraz ją obrócił i jednym ruchem usadził na stole. Błat był

gładki i ciepły pod jej pośladkami. Jęknęła, kiedy rozsunął jej nogi i wcisnął się między nie. Był tak cudownie twardy przy jej miękkim ciele. Odchyliła się i lubieżnie zaczęła pocierać się o niego.

– Nigdy tak bardzo – mówił przez zaciśnięte zęby – nie pragnąłem – ciężko oddychał – żadnej kobiety.

– Wiem. – Poruszyła biodrami i jęknął. – Pragnę cię.

– Pragniesz spełnienia.

Zaprotestowała, ale odsunął się i pociągnął jej uda do przodu, tak że znalazła się na skraju stołu. Pochylił się i całował ją, dopóki nie położyła się i mógł jej dać to, czego chciała. Jego ręce były wszędzie – na jej piersiach, brzuchu, włosach. A jego usta...

– Chyba nigdy nie będę miał cię dość – powiedział, wpatrując się w jej twarz.

Nie wiedziała, co na to rzec, więc przyciągnęła go do siebie po kolejny pocałunek i spróbowała owinąć nogi wokół jego pasa. Odsunął je i zaczął całować ją między udami.

Tak, tego pragnęła, kiedy ssał i lizał ją, i raz po raz doprowadzał do głośnych jęków. Tego pragnęła, pomyślała, kiedy jej biodra poruszały się rytmicznie i krzyknęła z rozkoszy.

Ale kiedy było po wszystkim i poszedł po swoją odzież, wiedziała, że nie tego chciała. Chciała więcej jego ust i rąk. Chciała jego oczu na sobie, jego ciała przyciśniętego do swojego, jego ust krzyczących jej imię w ekstazie.

Chciała go całego.

– Nie możemy tu zostać – powiedział Gideon, kiedy się ubrała. Szkoda, że musiała się ubrać. Miała najpiękniejsze ciało, jakie kiedykolwiek widział. Była wysoka, szczupła i doskonale do niego pasowała. Miała idealną cerę. Nie szpeciła jej ani jedna krostka.

Nigdy nie widział tak idealnej kobiety. Nie to żeby widział ich aż tak wiele, ale wystarczająco dużo. Włosy na złączeniu jej ud miały ten sam rudoblond odcień co jej włosy na głowie, a kiedy rozsunęła nogi, była czerwona i dojrzała jak truskawka.

Nie wziął jej.

Wydawało jej się, że tego pragnie, ale żałowała, gdyby straciła z nim cnotę. Choć był pewien, że nie żałowała by przyjemności.

Spojrzała na niego przez ramię, gdy usiłowała zakręcić grube, długie włosy w schludny kok. Nie udało się. Włosy były zbyt zmierzwione i poplątane, ale właśnie taka mu się podobała.

Im bardziej wyuzdanie wyglądała, tym była piękniejsza.

– Do Vauxhall? – spytała, układając usta w uśmiech.

– Tak. Powinniśmy ruszyć dzisiaj. Widziano nas w pubie.

Opuściła ręce, dając sobie spokój z włosami.

– Kto nas widział?

– Nie wiem. Przeczucie. Kiedy żyjesz wystarczająco długo w zaułkach, uczysz się wierzyć instynktom. Powinniśmy już iść.

Sprawdziła stan swojej sukni i zerknęła na psa.

– Jestem gotowa.

Chciałby móc powiedzieć to samo. Zabierze ją do Vauxhall i na tym koniec. Pozbędzie się go. Już nie będzie go potrzebowała.

Tego chciał, prawda? Chciał odzyskać naszyjnik i zacząć nowe życie. Chciał, aby Londyn i Gideon Harrow stali się przeszłością.

Z cieniem uśmiechu wzięła lichtarz ze stołu. Zastanawiał się, czy uśmiechała się, dlatego że wkrótce wróci do domu, skąd pochodził lichtarz. Wkrótce odzyska swoje stare życie.

– Chodźmy. Trzymaj się blisko, póki nie oddalimy się z Field Lane.

Otworzył drzwi...

– Witaj, Gideonie. – Stub uśmiechał się szeroko. – Pamiętasz mnie?

Gideon nie zastanawiał się. Wyrwał Susannie lichterz i zdzielił nim Stuba po policzku. Stub zachwiał się. Gideon upuścił broń i złapał rękę Susanny.

– W nogi!

Wyciągnął ją przez drzwi na ulicę. Nieopodal sklepu Desa Racer zaszedł im drogę. Pies zaczął szczekać i warczeć, skutecznie odwracając uwagę złoczyńcy, a Gideon wymierzył cios, posyłając mężczyznę na ziemię. Nie powstrzymało go to na długo; Racer był szybki i bez problemu ich dogonił.

Ich jedyną szansą było zgubienie pościgu w wąskich, krętych uliczkach, a potem obranie kierunku na Vauxhall. Ale wymknięcie się gangowi Beezle'a nie było łatwe, gdyż Racer i Stub znali teren tak dobrze jak on.

– Tędy! – Wciągnął ją do zatłoczonej pijalni ginu i odpychając gości, torował sobie przejście przez pomieszczenie. Chwiejnym krokiem wyszli na zewnątrz. Gideon zamknął tylne drzwi i oparł się plecami o budynek. Podwórko było pełne śmieci i kałuż, którym nie chciał się zbyt uważnie przyglądać. Susanna zaczęła kaszleć, dusząc się od smrodu.

– Co teraz? – spytała z ramieniem przy nosie.

– W ogrodzeniu jest luźna sztacheta. Ucieknijmy przez nią, zanim Racer przypomni sobie, że może nam odciąć drogę. Jeśli dotrzemy do Fleet Street, może nam się udać. Nie będą się spodziewać, że pojechaliśmy do ogrodów. Pomyślą, że ukrywamy się w podziemiach i zawrócą. Możesz biec?

Uśmiechnęła się do niego. Pokręcił głową, zastanawiając się, czy nie przewidziało mu się. Ale nie, Susanna dobrze się bawiła. Pewnie dla niej było to równie zabawne, co wieczór w teatrze.

Brednie.

To było lepsze niż noc w teatrze. Jak mógłby nie odwzajemnić jej uśmiechu?

Złapał jej rękę i pomknął przez podwórze. Odsunął sztchetę, wepchnął ją pierwszą i sam schylił się i przeszedł. Stała wyprostowana po drugiej stronie ogrodzenia.

– Chodź – złapał ją za rękę.

– Gideon – szepnęła przestraszona.

Puścił jej dłoń.

Beezle trzymał nóż przy jej gardle.

Nie krzyczała. Czubek noża wbijał się w jej szyję i poza drżeniem ciała, którego nie mogła kontrolować, była zbyt przerażona, aby się poruszyć. Chciała zamknąć oczy i znaleźć się w domu. Chciała ostatni raz przytulić matkę, powiedzieć jej, że nie chciała jej rozczarować.

Po drugiej stronie wąskiej uliczki kobieta zakrzyknęła do kilku oddalonych od niej mężczyzn, odpowiedzieli równie nieprzyzwoicie. Nikt nic nie widział i nie przejmował się, że miała zginąć.

Usłyszała kroki i zerknęła w kierunku, skąd nadchodziły.

– Racer. – Mężczyzna, który trzymał nóż przy jej gardle, powitał swojego znajomego. Teraz Gideon był w mniejszości. W słabym świetle domu publicznego widziała jego twarz. Miał zaciśnięte usta, a w oczach płonęła wściekłość. Wpatrywał się w czubek noża przy jej szyi.

Susanna zamknęła oczy. To dobry czas na pomodlenie się, żeby nie próbował zrobić niczego nieprzemyślanego.

W oddali usłyszała huk i uświadomiła sobie, że to trzask pioruna. Żaden z mężczyzn nawet nie spojrział na niebo.

– Beezle. Racer. – Gideon skłonił się teatralnie. – Piękny wieczór na spacer.

A więc to był Beezle. Rozumiała, dlaczego Gideon nie lubi mężczyzny. Chociaż w tej chwili niespecjalnie ją to interesowało.

– Wiesz, że cię zabiję – powiedział Beezle. – Daj mi to, czego chcę, a zrobię to szybko i oszczędzę dziewczynę.

– Naszyjnik? – Gideon potarł brodę. – Tu mamy mały problem. Nie mam go ze sobą.

– Idź i przynieś. – Beezle machnął nożem w kierunku ulicy i

przyłożył go z powrotem do jej skóry. – Zaczekamy.

Znów zagrzmiało. I jeszcze raz.

Nie, ten ostatni dźwięk to nie grzmot.

Spojrzała w dół na Beauty która wystawiała głowę przez dziurę w ogrodzeniu. Pies ostrożnie przeszedł na drugą stronę i groźnie warczał.

– Poszedł won! – krzyknął Racer i zamachnął się na Beauty. Wyszczrzyła zęby. Miała opuszczony łeb i szeroko rozstawione łapy.

– Ach, brak mi manier – powiedział spokojnie Gideon. – Beezle, to Beauty. Ma słabość do Susanny, kobiety, której grozisz nożem. Jeśli nie puścisz Susanny, Beauty rozszarpie ci gardło. – Uśmiechnął się.

– Uspokój pchlarza, Gideon. – Beezle znów machnął nożem.

Susanna gwałtownie szarpnęła ciałem i choć Beezle trzymał ją mocno w pasie, stracił równowagę. Potknęli się, Beauty rzuciła się na Beezle'a, a Susanna pod ciężarem psa wylądowała na twardej ulicy. Gideon pociągnął ją do góry.

– Uciekaj!

– Beauty! – krzyknęła Susanna.

– Uciekaj! – popchnął ją Gideon.

Biegła na oślep, wpadając na mężczyzn, którzy przyszli zaciekawieni poruszeniem. Przecisnęła się przez nich, aż dobiegła do rozwidlenia ulic. Lewo czy prawo? Oparła dłonie na kolanach. Wzięła głęboki wdech i otarła łzy rękawem.

W oddali rozległ się grzmot.

– W prawo!

Obróciła się. Gideon trzymał Beauty pod pachą i biegł jak szalony.

– W prawo! – ponownie krzyknął.

Rzuciła się w prawo. Gideon był tuż za nią i nie odstępował na krok, nawet jeśli musiał zwolnić bieg, by okrążyć chłopców rzucających kośćmi i dwóch mężczyzn, którzy kłócili się nad ciałem psa zabitego w walce.

Mijane prostytutki zagrzewały Susannę, najwyraźniej biorąc

ją za jedną z nich. Nikt nie zaproponował pomocy, choć i tak by jej nie przyjęła. Niemniej jednak wiara Susanny w ludzkość została wystawiona na ciężką próbę.

– W kierunku Fleet Street – krzyknął Gideon.

Rzuciła mu zaskoczone spojrzenie. Nie знаła okolicy. Równie dobrze mogliby być w Chinach.

– Tędy. – Wskazał drogę.

Z łatwością, której mu zazdrościła, przyspieszył bieg. Dreszczyk emocji początkowo dodał jej energii, ale zaczęła opadać z sił. Skręcił w lewo, potem w prawo, lewo i znów w lewo. Susanna czuła się zagubiona w labiryncie ulic.

– Gideon – zawołała, zwalniając do truchtu. – Nie mogę.

– Już prawie jesteśmy. – Zwolnił, ale nie tyle, ile by chciała.

Wlokła się i potykała w źle dopasowanych butach. Nogi miała ciężkie i bez czucia. Wreszcie Gideon przyciągnął ją do budynku i oparła głowę o kamienną ścianę.

Rozległ się ponowny grzmot. Lekka mżawka spadała z nieba, chłodząc jej rozgrzaną skórę.

– Co się stało Beauty? – spytała między oddechami.

Spojrzał na psa, którego niósł pod pachą jak paczkę.

– Nic. Musiałem ją oderwać od Beezle'a, no i nie chciałem jej zgubić, kiedy biegliśmy.

Odsunął mokre włosy z oczu i postawił psa na ziemię.

– Z czego się śmiejesz?

– Lubisz ją. – Skinęła na Beauty.

Wychylił głowę za róg i zerknął na Fleet Street. Dźwięki powozów i kręcących się ludzi – którzy głównie wchodzili lub wychodzili z więzień Fleet lub Newgate – dziwnie ją uspokoił. Beezle nie odważyłby się ich zaatakować na środku Fleet Street.

Schylła się i podrapała Beauty po głowie.

– Ty też go lubisz – mówiła pieszczotliwie do psa.

Beauty wsunęła łeb w rękę Susanny, a po chwili podskoczyła i polizała ją po twarzy.

– Obrzydlistwo – stwierdził Gideon. – Psia ślina.

Susanna wyprostowała się.

– Nie bądź zazdrosny. Następnym razem pocałuje ciebie.
Zacisnął usta i znów zerknął za róg.
– Co teraz?
– Teraz ruszamy do Vauxhall. Zaraz ukradnę powóz, żeby
zawieźć nas na miejsce. – Wbił w nią oskarżycielski palec. – I nie
kłóć się ze mną.
– Dlaczego miałabym się kłócić?
– Bo masz mylne poczucie moralności i zasad?
– Moja moralność jest jak najbardziej w porządku. W tym
przypadku chęć uniknięcia śmierci wygrywa z grzechem
kradzieży. Bierzemy powóz.

Zrobił to tak łatwo i szybko, że nie była gotowa, kiedy
zawołał ją z miejsca woźnicy. Spodziewała się poruszenia albo
protestów stajennego. Niczego takiego nie słyszała. Gdy pomógł
jej wsiąść, zawołała Beauty. Pies raz zaszczekał i wskoczył na
siedzenie. Szarpnięcie lejcami i powóz ruszył.

– Wybacz mi, ale nie powożę często.
– Sama bym to zrobiła, ale moja matka mówi, że to
niestosowne zajęcie dla dam.

Zacisnął usta.
– Im więcej słyszę o twojej matce, tym mniej ją lubię.
Najwyraźniej to ty powinnaś powozić. – Podał jej lejce.

– Przecież ci powiedziałam, że...
– Susanna, powóz.

Zamieniła się z nim miejscem i lekko poluźniła lejce, dzięki
czemu zwierzę natychmiast przyspieszyło. Szybkie tempo jazdy i
duży ruch na Fleet Street przerażał ją i cieszył. Odrzuciła włosy za
ramię i sprawdziła lejce. Jej bracia godzinami dyskutowali o
powożeniu; znała podstawy, nawet jeśli nie mogła sprawdzić
wiedzy w praktyce. Skręcała koniem to w prawo, to w lewo w
zależności od przeszkód na drodze i wskazówek Gideona.

Wreszcie minęli most Waterloo i zostawili za sobą miasto na
rzecz rozległych pól i rozrzuconych wiejskich domów. Stopniowo
zaczęły pojawiać się gospody i tawerny, szklarnie i większe domy
bogaty rodzin.

Gdy dotarli do Lambeth, mżawka ustała, a pioruny zniknęły w oddali. Kiedy usłyszała cichą muzykę skrzypiec i wiolonczeli, Gideon powiedział jej, by zwolniła. Wpatrywała się w trzypiętrowy, symetryczny budynek i grupę ludzi, która do niego wchodziła, najprawdopodobniej, żeby odwiedzić ogrody. Gideon wskazał, by dalej jechała, i wkrótce znaleźli się na Kennington Lane. Stajenni odprowadzali konie gości, którzy przybyli powozem, lecz Gideon kazał ich minąć i zatrzymać się pod drzewem, gdzie mógł z Susanną schronić się w ciemności.

Zmęczona, ale zadowolona zeskoczyła w ramiona Gideona.

– Promieniejesz – powiedział, przytrzymując ją dłużej niż było to stosowne.

– Mogłabym powozić całą noc. – Obrzuciła powóz tęsknym spojrzeniem. – Mam nadzieję, że koń odnajdzie właściciela.

– Ja też. – Postawił ją na ziemię i lekko klepnął konia po zadzie. Koń i pusty powóz zniknęli w ciemnej nocy.

Susanna wskazała na ulicę.

– To tutaj? Ogrody Vauxhall?

– Zgadza się. Ale jest jeszcze ostatnia przeszkoda. Brak funduszy na wstęp.

– Więc jak wejdziemy?

– Dobrze, że pytasz.

Zabrał ją z dala od świateł i hałasu przyjeżdżających powozów, w stronę ciemności. Trawa tu była długa i zapuszczona i Susanna kilka razy potknęła się o kamienie. Beauty biegła przed nimi, przeganiając króliki i ptaki. Gideon trzymał rękę na łokciu Susanny, żeby pomóc jej zachować równowagę. Musiał mieć oczy jak kot, że widział tak dobrze w ciemności.

– Tu będzie dobrze – powiedział i podszedł do muru.

Susanna spojrzała w górę. Z pewnością nie zdoła wspiąć się tak wysoko, a jeśli jemu się uda, jak jej pomoże? Skąd mogą mieć pewność, że nie zostaną złapani? Przecież nie widzieli, co jest po drugiej stronie.

– Nie w górę, Truskaweczko – powiedział Gideon. – Patrz w dół.

Przeszedł na czworakach wzdłuż muru, zanurzając ręce w gęstą roślinność, która przy nim rosła. Beauty węszyła w pobliżu, po chwili zdało się, że wpadła na pomysł i pobiegła przed siebie. Zaczęła energicznie kopać, a Gideon wstał i truchtem ruszył do niej.

Ukląkł i wsunął głowę w krzaki. Kiedy się cofnął, strzepnął liście z włosów.

– Pies je znalazł.

– Co znalazł?

– Nasze wejście. Za mną, moja pani. – I padł na kolana.

Brook stał przy Domu Właściciela, wejściu do ogrodów, i obserwował napływających mężczyzn i kobiety. Jednej czy dwóm osobom bliżej się przyjrzał, ale nigdzie nie widział Susanny.

Tłum był lepiej ubrany i ładniej pachniał niż ten, z którym miał do czynienia na Field Land. Nie patrzyli też na niego, jakby pachniał odpadkami, tak jak zrobił to Des Stewart, gdy Brook chwycił go za szyję i przycisnął do ściany jego sklepu.

– Nie wiem, gdzie są, panie łowco przestępców – powiedział Des. Jego twarz poczerwieniała od siły uścisku Brooka.

– Skąd wiesz, kogo szukam?

– Zaczepiasz pan ludzi na ulicy. Doszło do mnie.

Pewnie miał rację.

– A do mnie doszło, że widziano cię z moją siostrą.

– Pana siostrą? – Niebieskie oczy Desa prawie wyszły mu z orbit. – Ja nawet na nią nie spojrzałem.

Brook wolną ręką wyjął mały portret z kieszeni. Podsunął go pod nos Desa i zanim mężczyzna zdołał czemukolwiek zaprzeczyć, Brook wiedział, że ją rozpoznał.

– Mów. – Ścisnął gardło Desa.

– Nie wiedziałem, że to pana siostra. Przysięgam.

– Jeśli ją tknąłeś...

– Nie! Proszę mnie postawić. Powiem wszystko. Przysięgam. Ja tylko chciałem pomóc koleżce.

Brook postawił Desa na ziemię i rozluźnił uścisk, ale nie cofnął się ani nie dał paserowi możliwości ucieczki.

– Jakiemu koleżce?
– Gideonowi Harrowowi. To jeden z chłopaków z Covent Garden. – Otarł pot z czoła.

– Znam go. – Co do diabła taki rzezimieszek jak Gideon Harrow robił z Susanną?

Brook wiedział, że Gideon znał Marlowe, widział też, że Marlowe nigdy nie zapraszała starych przyjaciół do Derring House.

– Gid potrzebował jakiejś kryjówki. Połowa Londynu go szuka, panie. Byłem mu winien przysługę. – Blond włosy miał już mokre od potu, a Brook czuł bijący od niego strach.

– A moja siostra?

– Gid nazywał ją Truskaweczką. Nie pytałem o prawdziwe imię. Nie trzymał jej wbrew jej woli. Tego nie popieram. Co to to nie!

– A panna Brenna O’Shea? Poręczy za ciebie?

Des zamknął oczy w grymasie bólu.

– Niechże jej pan nie dręczy. Dała dziewczynie herbaty i coś do jedzenia. Brenna to anioł.

Brook poklepał Desa po mokrej koszuli.

– Jeżeli cokolwiek stało się mojej siostrze, wróć. A ty i panna O’Shea spędzicie noc w Newgate. – Odszedł, minawszy stertę jedwabnych chusteczek. Połowa monogramów nie została jeszcze usunięta.

– Nie mów tak, panie Derring! – Des zawołał za nim. – Nic nie zrobiłem!

Brook wsiadł do powozu i kazał woźnicy się zawieźć do Vauxhall. Nie miał skłonności do hazardu i nie postawiłby pieniędzy na to, że Susanna pojechała do ogrodów, lecz był to jedyny trop. Matka mówiła, że Susanna o nich wspominała. Brook nie wiedział, co u diabła, Susanna myślała i dlaczego chciała tam pojechać, ale wiedział, że potrafiła być zdeterminowana.

Uciekłyby jedynie po to, aby zobaczyć Vauxhall? Nie miał jej za niemądrą, ale co on wiedział o kobietach? I jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Gideon Harrow? Polubił go, kiedy się

spotkali... na tyle, na ile mógł polubić złodzieja. Ale jeśli Gideon był z Susanną, Brook dopilnuje, żeby zgnił w więzieniu. Stryczek był zbyt wielkoduszny dla drania.

Jednak dwie godziny stania przed Domem Właściciela w Vauxhall nic nie przyniosły. Ani śladu po Susannie i Gideonie. Żadne z nich nie weszło ani nie wyszło. Ze schyloną głową, wzrokiem wbitym w buty, Brook wracał do powozu. Jeżeli chciała pojechać do Vauxhall, co mogłoby ją powstrzymać?

Brak powozu. Brak monety na prom. Brak...

Brook zatrzymał się i jakiś mężczyzna prawie na niego wpadł. Nieznajomy przeklinając pod nosem, go wyminął.

Oczywiście, że nie widział, jak Gideon i Susanna wchodzi do Vauxhall. Nie mieli pieniędzy. Ale były inne sposoby na wejście. Brook zawrócił i pomknął do ogrodów.

Cudownie tu – powiedziała Susanna, kiedy przechadzali się wzdłuż trasy spacerowej Wielkiej Drogi, otoczonej po obu stronach żywopłotem i drzewami. Susanna sączyła wino z Nadrenii i podziwiała budynki, które – o czym poinformowała Gideona – były w stylu palladiańskim. Dla ogrodów na planie prostokąta zaprojektowano proste ścieżki. Oświetlenie zapewniały lampy, a ozdobne łuki prowadziły do pięknych altan, gdzie pary lub małe grupy przyjaciół mogły posilić się w intymnej atmosferze. Gideon wskazał na większe budynki – z portykami, obeliskami, orkiestrą i wnękami, w których można było usiąść i coś przekąsić.

Nie pytała, skąd ma na to pieniądze, a on nie wyjaśniał. Jegomość, którego portfel ukradł, nie odczuje braku kilku szylingów.

– Nie wiedziałam, że w mieście są takie miejsca – powiedziała. – Słyszać nawet śpiew ptaków. Słowiki, o ile się nie mylę.

Mruknął bez przekonania. Nie miał pojęcia, jak brzmią słowiki. Zewsząd dochodziła muzyka i śmiech, co kilka metrów zaskakiwało ich coś nowego.

– O, popatrz! Widzisz ten żywopłot? To są krzewy malin i agrestu i... – wzięła wdech – powąchaj je. Och, popatrz, wiedziałam, że poczułam żonkile. A tu! Lewkonie i lilie i... – chwyciła go za rękę – owoce i warzywa tu rosną... fasolka, szparagi i... nie wiem co, to jest. Chyba groszek. A tu są truskawki.

Gideona kusiło, żeby zerwać jedną.

– Ale muszę powiedzieć, że drzewa to zdecydowanie najwspanialsza atrakcja ogrodu. Są naprawdę stare. Tamta grupa ma ponad sto lat. Oczywiście widziałam wspanialsze ogrody, ale te są naprawdę dobrze utrzymane.

– Dziękuję panience. – Gideon rozejrzał się i jego wzrok padł na mężczyznę, który klęczał przy grządce z liliami. Starszy pan powoli wstał, jakby bolały go kolana. – Robert Southey – powiedział z ukłonem. – Ogrodnik amator. Przepraszam, że przerywam państwu rozmowę, ale traktuję te ogrody jak swoje. Przemierzyłem świat w poszukiwaniu okazów do niego i do ogrodu mojej rodziny. Wiele roślin sam zasadziłem.

Susanna skłoniła się uprzejmie. Gideon wyciągnął rękę z kieszeni, dzwoniąc dwoma szylingami, jakie mu pozostały.

– Przepraszam, jeśli pana uraziłam – szybko powiedziała. – Jeżeli to jakieś pocieszenie, miałam na myśli ogrody księcia Devonshire z Chatsworth.

– Widziałem je. Doprawdy imponujące. I nie uraziła mnie panienska. Pracę tu traktuję jako hobby. Głównie przebywam poza Londynem. Większość odwiedzających szuka tu rozrywki, a nie spacerów, a ci, którzy im się oddają, nie patrzą na kwiaty.

– Czy zawsze pracuje pan nocą? – spytał Gideon.

Southey spojrział na grządkę, którą pielął.

– Jeśli mam na to ochotę. Najlepsza pora na oglądanie ogrodów to dzień. Tu ma pan rację.

– O ile się nie mylę, Vauxhall nie jest otwarte za dnia? – spytała Susanna.

– Nie. – Southey zmrużył oczy i Gideon wiedział, że zdobyła serce mężczyzny. Na wszystkich tak działała.

– Jeżeli zechce panienska wrócić tu jutro, z radością panienkę oprowadzę.

Susanna praktycznie skoczyła z radości, ale spojrzała na Gideona, by to on udzielił odpowiedzi.

– Czy wszystkich pan oprowadza za dnia? – spytał Gideon.

– Tylko nielicznych – powiedział Southey i uśmiechnął się do Susanny, która odwzajemniła się tym samym.

Jeśli był w tym jakiś haczyk, Gideon jeszcze go nie zauważył. Co nie oznaczało, że nie będzie dalej szukał.

– Dlaczego znaleźliśmy się w tak uprzywilejowanym gronie? – spytał.

Susanna posłała mu niezadowolone spojrzenie.

– Pan się w nim nie znalazł – powiedział Southey z lekceważącym spojrzeniem – lecz pańska towarzyszka. Z przyjemnością spotkam się panienką ponownie, panno...

– Pani Harrow – wtrącił Gideon.

Wcześniej ustalili, że nie będzie podawała swojego prawdziwego imienia, na wypadek gdyby brat jej szukał, ale nigdy nie zgodzili się na udawanie męża i żony.

Susanna z wysiłkiem ukryła zaskoczenie i ponownie się uśmiechnęła.

– Z przyjemnością obejrzę ogród. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko, będę w towarzystwie męża. – Ledwie zająknęła się przy ostatnim słowie.

– Jest mile widziany, o ile przyjdzie z panią. – Starszy mężczyzna sięgnął do kieszeni, z której wyciągnął sfatygowany bilet wizytowy. – Z tym państwa wpuszczą.

Susanna wzięła karteczkę i podała Gideonowi.

– Dziękuję, sir. Czy mogę zapytać, dlaczego mnie pan zaprosił, skoro sam pan przyznał, że rzadko oprowadza gości?

Southey podrapał się za uchem.

– Nie wiem. Chyba... – Jego ciemne oczy wpatrywały się ponad nią, w kierunku pobliskiej alei Mroczna Droga. – Przypomina mi pani kogoś, kogo kiedyś znałem.

– Och. – Jedyne co odpowiedziała.

Gideon wziął ją pod rękę i skierował w stronę Mrocznej Drogi. Zerknęła przez ramię.

– Przyjdziemy po śniadaniu, jeśli to panu odpowiada.

– Idealnie.

– Do zobaczenia, panie Southey.

Gideon podejrzewał, że by dygnęła, jeśli by jej nie odciągnął.

– Proszę przypilnować psa, żeby nie kopał w moich kwiatach – powiedział Southey, kiedy się oddalali. – Nie wiem, jak udało się państwu go przemycić. Psom wstęp wzbroniony.

– Ależ nie! – Susanna pokręciła głową. – Ona nigdy nie kopie w ogrodach.

Spowiała ich ciemność Mrocznej Drogi i Gideon pociągnął Susannę w głąb opuszczonej ścieżki. Dobrze wiedział, że tylko wygląda na opuszczoną. Pary schodziły z drogi i skrywały się wśród zieleni i przyciemnionego światła, by oddać się chwili namiętności. Oczywiście dziewczyny też tu pracowały, biorąc monetę za swoje usługi, ale większość z nich wołała Wielką Drogę. Mroczna Droga była za rzadko uczęszczana.

Gideon skinął na posterunkowego, który ich minął i spacerowym tempem poszedł dalej.

Odległość między lampami zwiększała się i ciemność zaczęła królować. Gideon przystanął w zacienionym miejscu, uważnie nasłuchując namiętnych odgłosów. Żadnych nie usłyszał, więc wziął Susannę za rękę.

Nie protestowała, kiedy zeszli ze ścieżki i skierowali się do ustronnego skrawka miękkiej trawy. Ufała mu, choć w tej chwili nie chciał tego za bardzo sprawdzać.

Trasa Mroczna Droga zyskała swoją nazwę ze względu na gęsto porastające tu drzewa, których korony nie przepuszczały światła. Jednak Gideon zaprowadził Susannę do miejsca, gdzie trawa była bujna, a gałęzie nad głowami umożliwiały widok na niebo. Żałował, że nie ma płaszcza, który mógłby położyć na ziemię. Niestety wczoraj go zgubił. Pewnie wciąż wisiał na krześle w pokoju Desa. Gideon pociągnął Susannę w dół i wskazał na rozgwieżdżone niebo.

– Mam dla ciebie niespodziankę.

– Naprawdę? – Z szeroko otwartymi oczami i podekscytowanym uśmiechem wyglądała jak dziecko. Uwielbiał ten wyraz jej twarzy. Uwielbiał sprawiać jej przyjemność.

Położył się na plecach na miękkiej trawie i zachęcił, żeby oparła głowę na jego ramieniu. Bez słowa się podporządkowała, choć wiedział, że prawdopodobnie nie miała upodobania do trawy i gałązek we włosach. Beauty umościła się nieopodal, położyła łeb na łapach i zaczęła cicho chrapać.

– Piękna noc – szepnęła.

– Przez lampy człowiek nie czuje nocy. Tu jest ciemniej.

Więcej widać gwiazd.

– Nie wiedziałam, że w Londynie można zobaczyć gwiazdy.

Widziałam je tylko na wsi.

– Wielu rzeczy nie wiesz o Londynie – odparł.

Skinęła, lekko przesuając głowę na jego ramieniu. Spojrzał na nią i zaczął podziwiać kształt jej nosa i wycięcie warg.

– Tak wiele mi pokazałeś.

– Mogę ci więcej pokazać – powiedział. – Chciałbym tego.

Zwróciła się do niego twarzą. Ich usta dzieliło zaledwie parę cali.

– O czym mówisz, Gideonie?

O czym mówił? Tak naprawdę nie był jej mężem. Nigdy nim nie będzie. Mieli dla siebie dzisiejszą noc, może jutrzejsze popołudnie. To wszystko.

– Nie jestem tu z tobą tylko z powodu naszyjnika.

Posłała mu smutny uśmiech.

– Przynajmniej dodałeś „tylko”.

– Nie będę kłamał i nie powiem, że nie potrzebuję go odzyskać. Ale równie mocno chcę być z tobą.

– Dlaczego? – Zamknęła oczy. – Nie powinnam była tego mówić.

Uniósł się, czym przesunął jej głowę tak, że znalazła się na jego dłoni.

– Nigdy nie kontroluj swoich wypowiedzi przy mnie. Chcesz wiedzieć, dlaczego chcę być z tobą? Lista jest długa. Zaczniemy od tego, że dobrze się z tobą bawię. Nic nie bierzesz za pewnik. I jesteś odważna. Postawiłaś się Danowi Sztyletowi i poradziłaś sobie z Corkerem w kryjówce Strykera. Źle cię oceniłem.

Przesunęła palcem po jego policzku.

– Źle cię oceniłam. Jesteś kimś więcej niż złodziejem. Wiesz to, prawda? Jesteś miły i hojny. Umiesz mnie rozśmieszyć. Dzięki tobie czuję, że żyję.

Myliła się. Nie był miły i hojny. Był samolubny. Czy może być ktoś bardziej samolubny niż złodziej? Myślał o sobie, a reszta go nie interesowała. A teraz udowodni jej, jak samolubny był. Nie

mógł się dłużej jej opierać. Nie chciał tego.

Delikatnie ją pocałował.

– Co teraz czujesz?

– Miłość – szepnęła. – Wiem, że nie powinnam, ale zakochałam się w tobie.

Miał wrażenie, jakby sięgnęła w głąb jego piersi i złapała go za serce. Poczł uścisk w klatce piersiowej i przez chwilę nie mógł oddychać.

– Co powiedziałaś? – wreszcie udało mu się wydusić.

Uśmiechnęła się i ujęła jego twarz w obie dłonie. Ach te szczupłe dłonie z długimi palcami.

– Powiedziałam, że cię kocham, Gideonie Harrowie.

Jej słowa były niczym cios pięścią w twarz, kolaniem w brzuch, łokciem w płuca. Kiedy ostatnio słyszał te słowa? W wieku pięciu, może sześciu lat? Matka położyła go na deskach, które służyły za łóżko, i podciągnęła mu pod brodę drapiące prześcieradło. Jej szorstkie, czerwone palce łagodnie odsunęły jego czarne włosy z czoła.

„Śpij Gideonie. Kocham cię, słonko”.

Zamknął oczy. Nie chciał pamiętać tamtych czasów. Nie chciał ponownie czuć bólu straty.

Nie chciał spojrzeć na Susanę. Wiedział, że ją też straci.

Podparł się i odchylił głowę, żeby spojrzeć w niebo. Nie mógł oddychać, wspomnienie rąk matki pieścących jego czoło było zbyt żywe. Susanna usiadła. Przyciągnęła nogi do klatki piersiowej i objęła kolana.

– Powiedziałam coś niewłaściwego.

– Nie.

Oparła policzek na przedramieniu i spojrzała na Gideona. Czekala. Nie naciskała na niego. To nie było w jej stylu. Zaczął rozumieć, że jej żądanie, aby zabrał ją do Vauxhall nie było czymś, co robiła na co dzień. Musiała być zdesperowana, aby uciec się do tak nietypowego zachowania.

– Ostatni raz, kiedy ktoś mi to powiedział... – Przełknął, usiłując zwilżyć zaschnięte usta. – Przypomniałem sobie matkę.

– Umarła, kiedy byłeś mały.

Skinął, wpatrzony w małe światełka zdobiące aksamitny nieboskłon. Czy była gdzieś tam i patrzyła na niego z góry? Co pomyślałaby o Susannie? Gideon prychnął. Pomyślałaby, że dziewczyna jest dla niego za dobra.

Bo była.

– Czy od śmierci matki nikt nie powiedział, że cię kocha?

Spodziewał się współczucia w jej głosie, ale jeśli było, nie wyczuł go.

– Kto by mnie pokochał? – spytał. – Beezle? Racer?

Marlowe? – Roześmiał się przy ostatnim imieniu, ponieważ z bólem je wypowiedział.

– Marlowe cię kocha – powiedziała Susanna, kładąc ciepłą dłoń na jego ramieniu. – Ale nie w ten sam sposób co ty ją.

Ich spojrzenia się spotkały.

– Nie kochałem jej. Tylko tak mi się wydawało.

Jak mógł wyjaśnić Susannie, że odkąd ją spotkał, rozbudziły się w nim uczucia, o których sobie nie podejrzewał? Myślał, że to, co czuł do Marlowe to miłość. Ale teraz wiedział, że było to tylko pożądanie, nic więcej niż duża sympatia.

Czy kochał Susannę? Skąd u diabła miał to wiedzieć? Jak to się stało, że mężczyzna, który spędził życie na żerowaniu na innych, zmienia się w człowieka, który dba o drugą osobę?

– Co się zmieniło? – spytała Susanna.

Odwrócił się i ukląkł przy niej, chwytając jej rękę.

– Schlebia mi fakt, że sądzisz, iż mnie kochasz.

Roześmiała się. Nie takiej reakcji się spodziewał i natychmiast zamknął usta.

– Nieprawda. W rzeczywistości przeraża cię to. Sądzisz, że nie wiem, o czym mówisz. Że jeśli nie wiedziałabym, kim naprawdę jesteś, nie pokochałabym cię.

– Nie wiesz nawet połowy o mnie, Susanno...

– Wiem co nieco. Wiem, że pomogłeś uciec Marlowe przed złym człowiekiem. Wiem, że pomogłeś małej dziewczynce wrócić do matki. Wiem, że niosłeś Beauty pod pachą, żeby uchronić ją

przed Beezle'em.

Pies podniósł łeb, spojrzął na nich z zaciekawieniem i wrócił do spania.

– Myślisz, że czyniłem to z uprzejmości? To była kwestia przeżycia.

– Więc dlaczego mnie nie zostawiłeś?

– Zachłanność – powiedział bez ogródek. – Potrzebuję naszyjnika.

– Więc go weź. W każdej chwili mogłeś się mnie pozbyć i wrócić przeszukać Derring House.

Jej słowa zawibrowały niczym struny instrumentów.

– Nie wiem, gdzie jest schowany.

Chwyciła jego dłonie i uważnie się im przyglądała.

– Taki wprawny złodziej jak ty? Ile zajęłyby ci poszukiwania? Godzinę? Dwie?

Gideon spojrzął na ich złączone dłonie – jego duże i ciemne skryte w jej małych i bladych. Miał brudne ręce od różnych nikczemności – pijaństwa, rozpusty, kradzieży... morderstwa.

– Wiem, kim jesteś, Gideonie Harrowie. Wiem, co robiłeś. – Jej ciemne oczy spotkały się z jego. – I tak cię pragnę. Myślałam, że chciałam przyjechać do Vauxhall, by odkryć sekrety matki. Sądziłam, że jeśli ujrzę to miejsce, z alejami i ustronnymi altanami, zdołam zobaczyć kobietę, którą była, zanim stała się tak surowa. Że zrozumieć, dlaczego nie może mnie kochać. Ale miałeś rację.

– A dokładnie?

Uśmiechnęła się.

– Powiedziałaś, że zaczęłam tę podróż, ponieważ potrzebowałam ucieczki. – Ścisnęła jego dłoń, przysunęła do ust i pocałowała. – I ponieważ miałam cię spotkać.

– Nigdy nie powinnaś mnie spotkać.

– Ale spotkałam. – Przesunęła ręką po jego szyi i nachyliła się, żeby go pocałować. – Spotkałam cię, Gideonie Harrowie – wyszeptwała przy jego wargach. – I nie żałuję tego. Niczego nie będę żałowała.

Jego usta chwyciły ją. Nie mógł się powstrzymać przed posmakowaniem jej. Położył ją na miękkiej trawie, podparł się na przedramionach i spojrzał na nią.

– Będiesz tego żałowała. Będiesz wyrzucała sobie, że to byłem ja. – Poglądził jej jedwabiste włosy, które rozłożył wokół jej głowy niczym aureolę.

– To musisz być ty. – Splotła swoje nogi z jego. – Zawsze będziesz tylko ty.

Ponownie ją pocałował. Nie śpieszył się, mieli całą noc. Tłumy zazwyczaj przebywały w Vauxhall aż do świtu. Jest dużo czasu, żeby zmieniała decyzję.

Choć Susanna mogła myśleć, że ich wspólne chwile będą trwać wiecznie, on wiedział swoje. Nie mieli przed sobą przyszłości. Jej było pisane zgoła inne życie niż jemu. Nie warto wyobrażać sobie, co by mogło się zdarzyć, gdyby byli innymi ludźmi. Ona była córką hrabiego. On nikim.

Nie mógł jej poślubić. Nie mógł nawet zapewnić jej pożywienia, nie uciekając się do kradzieży pieniędzy. Ale mógł jej dać jedno: ostatnią noc przyjemności.

Wsunął rękę pod jej spódnicę i objął delikatną łydkę. Wzięła ostry wdech, kiedy musnął po jej otartej skórze.

– Bardzo boli?

Pokręciła głową.

– Jedynie kiedy dotykam. Podczas chodzenia nic nie czuć.

– Więc to tylko zadrapanie. – Przesunął dłoń wyżej, nad kolano i między uda.

Wiedział, jak wyglądała bez za dużej sukni, halek i koszulki. Widział ją na stole u Desa i wyglądała cudownie. Myślał teraz o jej długich, szczupłych nogach, powędrował palcami w górę i dół, aż zaczęła drżeć.

Chwyciła jego koszulę, uniosła ją do góry i wsunęła dłonie pod spód, żeby pogłaskać go po plecach. Wiele kobiet go dotykało, ale nigdy w ten sposób. Nigdy z taką czułością i nabożnością. Usta miała przy jego szczęce i szyi, a dłońmi gładziła jego pośladki, delikatnie je ściskając.

Ustami zsunął jej gorset, chwycił jeden z twardych sutków, ssał go, a rękami zbliżał się do płonącego złączenia ud. Jej nogi drżały z pożądania i kiedy przesunął po jej miękkich włosach, jęknęła z przyjemności.

Przesunęła dłonie na jego biodra i pogłaskała jego twardego członek, gdy jego palce nie przestawały jej pieścić. Uniosła biodra i wsunął palec w jej wąski otwór. Była mokra, ciepła i gotowa na niego.

Starął się zapomnieć o jej ręce, nie myśleć o szczupłych palcach gładzących go od podstawy po główkę. Wsunął w nią dwa palce, a kciukiem stymulował jej mały guziczek, czym doprowadził ją do orgazmu. Mógł jej to dać i zachować jej cnotę.

Jej dłoń znieruchomiała, potem sprawnie zaczęła rozpinąć klapkę jego spodni. Po chwili jego członek znalazł się na wolności, w ciepłe jej dłoni.

– Susanna – powiedział ostrzegawczo.

– Chcę tego, Gideonie.

Wędrowała dłonią w górę i dół długimi, niespiesznymi pociągnięciami, wywołując jęk przyjemności z głębi jego gardła. Zaczął szybciej poruszać palcami. Susanna zacisnęła wewnątrz mięśnie wokół niego. Jej dłoń znieruchomiała.

– Weź mnie, Gideonie – zamruczała.

– Nie będę w stanie się powstrzymać, jeśli będziesz tak do mnie mówiła.

– Boże. Pragnę cię. Chcę... tak. O, tak.

Kciukiem ponownie muskał jej pulsujący guziczek. Otworzyła się na niego i zacisnęła niczym imadło. Zduszony dźwięk przyjemności, przyciszony odległym wybuchem, wyrwał się w noc. Gideon spojrzał w górę i zobaczył świetlny spektakl, gdy pierwsze fajerwerki wybuchły nad nimi.

– Pasuje do chwili – szepnął.

– Bardzo. – Owinęła nogi wokół jego pasa, łącząc ich ciała w bliskim uścisku, tak że jego członek pocierał o jej rozgrzane wejście. Przyciągnęła jego głowę i pocałowała, gdy kolejne fajerwerki eksplodowały. Powoli wsunął się w nią, w tę wąską

wilgoć. Zacisnęła się wokół niego. Pragnął wejść głębiej, zanurzyć się w jej ciepłe.

– Nie chcę cię skrzywdzić – powiedział. – Słyszałem, że może boleć podczas pierwszego razu.

– Nigdy mnie nie skrzywdziłeś – zamruczała. – Jesteś cudowny. – Jej oczy pobiegły ku niebu i z powrotem do jego twarzy. – Jest pięknie. Idealnie.

Wsunął się głębiej. Susanna lekko znieruchomiała, gdy poczuł pierwszy opór. Jego ręce drżały z konieczności samokontroli, kiedy czekał, aż jej ciało ponownie się rozluźni. Wpatrywała się w niego intensywnie.

Powoli jej mięśnie puściły, a powieki opadły.

Wsunął się nieco głębiej w jej wąską pochwę. Jęknęła z bólu i zmusił się, żeby się zatrzymać. Był tak blisko, żeby się w niej zanurzyć.

– Mogę przestać – wydyszał. – Jeśli chcesz, żebym przestał, powiedz to teraz.

– Nie przestawaj. – Złączyła kostki nóg wokół jego pleców. – Nigdy nie przestawaj.

Zanurzył się do końca, wywołując u niej lekki okrzyk bólu. Była wąska i napięta.

– Przepraszam. – Wycałował jej szyję i ramię w ramach przeprosin. – Bardzo mi przykro.

Czerwone fajerwerki oświetliły jej twarz; była tak piękna. Wszystko w niej było piękne.

Uśmiechnęła się i pocałowała go czule.

– Teraz jestem twoja. Zawsze będę twoja.

Wolno i delikatnie poruszył się wewnątrz niej. Czuł, jak jej ramiona sztywnieją dookoła jego szyi.

– Rozluźnij się – szepnął.

– To... trochę boli, ale to coś więcej niż niewygodna.

Cofnął się, prawie z niej wychodząc.

– To penetracja – mruknął. – Musisz się na nią otworzyć.

Musisz przyjąć mnie w swoim ciele. – Powoli wsunął się w nią i wypełnił ją całą. – Rozluźnij się.

– Tak. – Głowa jej opadła do tyłu, a spięcie w nogach i rękach częściowo puściło.

– Pozwól się wziąć. Daj mi siebie.

Wsunął się w nią, cofnął i ponownie wsunął. Jęknęła, a on znieruchomiał.

– Bolało?

– Teraz mniej – zamruczała. – Już wiem, jak mogłoby być mi dobrze, gdybyś nie był tak duży.

Roześmiał się i oparł czoło na jej ramieniu.

Wybuchły kolejne fajerwerki. W pomarańczowym świetle jej włosy wyglądały, jakby stanęły w płomieniach.

– Powiedziałaś coś nie tak? – spytała.

– Wręcz przeciwnie.

Poruszyła się, zaciskając się wokół niego. Przeszedł go dreszcz przyjemności.

– Susanna – zawołał zdławionym głosem.

– Podobało ci się.

Poruszyła udami, uniosła je i wzięła go głębiej.

– Słodki Jezu. Nie chcę zrobić ci krzywdy. Zwolnij.

Ponownie zacisnęła się wokół niego. Zrobiło mu się ciemno przed oczami.

– Nie... mogę...

– Poddaj się temu.

Ich podróży do świata coraz większej przyjemności towarzyszył wybuch kolorowych świateł na niebie, najpierw zielonych, potem czerwonych, pomarańczowych i żółtych. Gideon wysunął się z niej na czas i z członkiem w ręku rozlał nasienie na trawę. Odrzucił głowę do tyłu, na próżno usiłując stłumić okrzyki przyjemności.

Opadł obok niej, uniósł rękę i zobaczył krew na palcach.

Co do diabła zrobił?

Susanna przez chwilę podziwiała fajerwerki. Starła się zapamiętać każdy widok, każdy szczegół – uczucie, gdy był w niej, spojrzenie na jego twarzy, kiedy dostał orgazmu, ostry zapach fajerwerków zmieszany z olejem z pobliskich lamp, dudnienie

krwi w uszach.

Już nie była dziewicą. Czowała, jakby zrzuciła ciężar. Nie wróci do poprzedniego życia. Nie będzie już przerażoną dziewczyną, która ze strachu kuli się przed matką. Zmieniła się raz na zawsze.

I to ona podjęła tę decyzję.

Przewróciła się na bok, zwinęła przy Gideonie i spojrzała na światła, które wciąż zapępiały niebo. Kilka dni wcześniej myśl o leżeniu na trawie odrzucały ją. Pomysł leżenia na trawie z półnagim mężczyzną zszokowały ją. A wtedy nawet nie wiedziała o reszcie, o przyjemności, o tym, jakie to uczucie mieć w sobie mężczyznę.

Dotychczas trzymano ją pod kloszem i nie mogła się doczekać, kiedy wyrwie się z więzów. Chciała zobaczyć świat, sprawdzić co kryje się poza granicami jej złotej klatki.

I teraz już widziała.

Czy przed tym matka chciała ją uchronić? Susanna pokręciła głową. Nie. Nie przed tym. Jej matka chciała ją chronić przed tym, co nadejdzie. Straci Gideona. Tyle wiedziała. Nie był typem mężczyzny, którego taka kobieta jak ona mogłaby zatrzymać. Obowiązek, honor, tytuł – to przywiązałyby mężczyznę do niej. Ale byłby to związek bez miłości

Postąpiła niemądrze, zakochując się w Gideonie. Sama świadomość, że go straci, złamała jej serce. Wcześniej nienawidziła, jak matka kierowała każdym aspektem jej życia. Teraz widziała to w innym świetle. Może jej matka chciała tylko uchronić ją przed bólem.

– Jak się czujesz? – spytał Gideon, w zamyśleniu owijając jej włosy wokół palców. Zastanawiała się, czy wiedział, ile dla niej znaczyły te małe, czułe gesty.

– Dobrze. Jestem tylko trochę obolała, ale było warto.

– Następnym razem będzie lepiej. – Jego głos zadrżał. – Nie to, żeby...

Oparła się na łokciu i przyłożyła palce do jego ust.

– Nie rób teraz z siebie dżentelmena.

– Masz na mnie zły wpływ.

Westchnęła i ponownie położyła głowę na jego ramieniu.
– Gdybyś tylko wiedział, jak często to słyszałam –
zażartowała.

Czuła, jak z jego piersi wydobył się śmiech, i przycisnęła mocniej policzek. W godzinę śmierci wspomni ten moment, jego twardą pierś pod swoim policzkiem. Przypomni sobie, jakie to uczucie być młodą i wolną. Po raz pierwszy w życiu była wolna.

– Co teraz? – spytał, gdy pokaz fajerwerków się skończył, a orkiestra wznowiła grę. Ubrał się i pomógł jej z suknią, ale nie opuścili swojego ustronnego miejsca.

Miała wrażenie, jakby znajdowali się w swoim prywatnym świecie. Najchętniej pozostałaby w nim na zawsze. Ale wiedziała, że to pytanie nadejdzie. Wszystko miało swój kres.

– Powinam zabrać cię prosto do Derring House, dać ci naszyjnik. Wypełniłeś aż nadto swoją część umowy.

Nie protestował. Chciała, żeby się oburzył. Powiedział, że nie chodziło tylko o naszyjnik, ale oczywiście to o niego chodziło. Czy naprawdę sądziła, że usłyszy: „Jaki naszyjnik? Tylko na tobie mi zależy”.

– Ale jeżeli teraz pojedę do domu, nigdy tu nie wrócę. A ile osób ma możliwość odwiedzenia Vauxhall za dnia?

Pstryknął palcami i w jego ręce pojawił się bilet wizytowy Roberta Southeya.

– Mamy zaproszenie. Moje pierwsze.

Pewnie mówił szczerze. Jakie to dziwne, że słysząc jego wyznanie, iż nigdy wcześniej nigdzie go nie zaproszono, miała ochotę go przytulić.

– Ale nie mamy gdzie spać – powiedziała. – Tu chyba nie możemy zostać.

– Nie. Posterunkowi przeganiają wszystkich przed zamknięciem ogrodów, ale przy drodze i w Lambeth są pensjonaty.

– Czy opróżnisz czyjaś kieszeń, abyśmy mogli tam przenocować?

Pstryknął palcami i bilet wizytowy znów zniknął. Gideon mógł okradać przechodniów, aż stać by ich było na pokój w

Pultney. W to nie wątpiła.

– Mam kilka szylingów. Mogę przekupić stajennego, żeby pozwolił nam spać w stajniach.

Pomógł jej wstać. Skrzywiła się, wciąż obolała między nogami. Starła się ukryć grymas, ale kiedy spojrzała na Gideona, miał napiętą twarz. Widział to i prawie na pewno był na siebie zły. Kto by pomyślał, że posiadał zasady?

Wziął ją za rękę i prowadził wzdłuż Mrocznej Drogi. Skręcili w oświetloną ścieżkę i przeszli przez jeden z łuków umieszczony na przecięciu się tras spacerowych. Tłum był tu większy; kobiety i mężczyźni przechadzali się i rozmawiali. W jednej z altan usłyszała stuknięcie kieliszków podczas wznoszenia toastu. W kolejnej piosenkarka śpiewała przy akompaniamencie harfy. W jeszcze innej oklaskiwano chłopca, który pokazywał akrobatyczne figury. Susanna przystanęła, by mu się przyjrzeć. Była zdumiona tym, jak wysoko skakał, kiedy robił przewrót do tyłu.

Gideon wreszcie zdołał ją odciągnąć w kierunku Zagajnika, gdzie orkiestra grała, a pary tańczyły lub siedziały wygodnie na ławkach, trzymając w dłoniach cienkie kawałki szynki i różnorodne napoje.

Zatrzymali się przy pniu drzewa, by popatrzeć na tańce. Kiedy spojrzała w dół, zobaczyła, że noga chodzi mu w rytm muzyki.

– Chcesz zatańczyć? – spytała.

Wsunął ręce w kieszenie.

– Nie znam kroków.

– Mogłabym cię nauczyć.

– Nie zdołałabyś. – Nie patrzył na nią i poczuła, że do oczu zaczęły napływać jej łzy.

Czy będzie się z nią tak żegnał, aż wreszcie definitywnie się rozstaną?

Nie chciała już oglądać tancerzy i zaczęła wędrować wzrokiem po tłumie. Uświadomiła sobie, że może znać kilka bawiących się osób. Wątpiła, żeby ktokolwiek, z kim nie była blisko, rozpoznałby ją w takim niechlujnym stanie, ale

przebywanie tu na pewno stanowiło ryzyko.

Może to dzięki nowo nabytej czujności go zobaczyła. A może dlatego, że poruszał się zdecydowanym krokiem, podczas gdy inni leniwie spacerowali.

Zacisnęła dłoń na ramieniu Gideona.

– Co się stało? – Nachylił się.

– Mój brat, Brook, tu jest.

Nie poruszała się. Nie miała odwagi oddychać. Obserwowała, jak Brook idzie ścieżką, z rękami w kieszeniach i czujnym wzrokiem. Nie zauważył jej jeszcze. Drzewo ich zasłaniało, ale już za kilka chwil będzie ich miał bezpośrednio na linii wzroku.

– Gdzie? – wyszeptał Gideon przez ledwie rozchylone usta.
– Bezpośrednio naprzeciwko nas. W niebieskim płaszczu, z rękami w kie...

– Do diabła. Patrzy na ciebie.
– Skąd on może wiedzieć, że tu jestem?
– Skąd do licha wiedział, gdzie ukrywa się Marlowe?
Słuszna uwaga. Brook przypomniawszy jej psa myśliwskiego.

Wywęszył ofiarę.

– Musimy się wymknąć, zanim nas zobaczy.
– Absolutnie się zgadzam. Niestety, zamierza przejść przed Domem Właściciela. Właśnie ta droga prowadzi na zewnątrz.
– A co, jeśli zatoczmy krąg, podążymy za nim i wyjdziemy, kiedy nas minie?
– Dobry plan, jeśli możemy go okrążyć tak, aby nas nie zobaczył.

I jeśli nie zawróci drogą, którą przyszedł, pomyślała Susanna. Brook potrafił być nieprzewidywalny, ale teraz pora nie była najlepsza, aby o tym wspominać.

Gideon chwycił ją za rękę. Trzymał ramię sztywno, nakazując, aby zaczekała na jego sygnał, zanim się ruszy. Brook zbliżał się już do punktu, skąd mógłby ich zobaczyć i jej oddech przyspieszył. Serce waliło jej jak młotem, a w myśli kołatało się: Zobaczy nas. Zobaczy nas.

W ostatniej chwili Gideon pociągnął ją za ramię i musiała wyjść ze swojej kryjówki.

Nie odważyła się spojrzeć na Brooka. Gdyby nawet

nieznacznie przyspieszył, mógłby ich zobaczyć bez trudu.

– Powoli i spokojnie – ostrzegł ją Gideon. – Idź jak na spacer.

Chciała rzucić się biegiem. Jeśli poczucie czasu Gideona zawiodłoby nawet nieznacznie, Brook zobaczyłby ich.

Zdecydowany uchwyt ręki Gideona na jej dłoni powstrzymywał ją. Kiedy w końcu odważyła się spojrzeć przez ramię, nie zobaczyła Brooka.

– Spójrz naprzód – łagodnie powiedział Gideon. – Nie obawiasz się, że jesteś śledzona.

Okrążyli Orkiestrę, manewrując wokół dziesiątków ludzi, kelnerów i policjantów. Była pewna, że Brook za chwilę pojawi się przed nimi, krzycząc „Ah-ha!” i schwyta ją. Wydawało się, że wiele godzin upłynęło, zanim dotarli do ostatniego odcinka bruku przed Domem Właściciela.

– Tam. – Gideon skinął głową w kierunku miejsca, w którym stali. Brook przyglądał się drzewu, o które się wcześniej opierała. Susanna wbiła paznokcie w ramię towarzysza.

– Skąd on wie?

Gideon pociągnął ją do wnętrza domu. Dom był dość duży, miał salę balową oraz dwa salony, które mogła dostrzec. Podniosła wzrok na wyniosły sufit zdobiony malowidłami, ledwie widocznymi w słabym świetle. Był to pokaz przepychu, niemal dławiący po otwartej przestrzeni ogrodów.

– Jest dobry – mruknął Gideon. – Ale my musimy jedynie trzymać się o jeden krok przed nim.

Pensjonat nazwano Trzy Kaczki. Nie było to miejsce, w którym matka kiedykolwiek pozwoliłaby jej się zatrzymać i mogła jedynie rzucić okiem do wnętrza przez ciemne okno, zanim Gideon pociągnął ją za sobą do stajni. Po szeptanej dyskusji i wymianie monet ze stajennym, Gideon rozsiadł się w pustym boksie, na derce rzuconej luzem na warstwę słomy.

Susanna bez słowa opadła na derkę obok niego. Gideon zastanawiał się, czy zaledwie dwa dni temu, kiedy ją poznał, usiadłaby tak swobodnie na zakurzonej słomie. Zastanawiał się,

gdzie sam znajdowałby się w tym momencie, gdyby nie było go tutaj. Z dala od Londynu, dużo dalej niż w Lambeth.

A jednak w tej chwili nie chciałby się znaleźć nigdzie indziej. Położył rękę na jej ramieniu.

– Zaraz wracam, będę tuż-tuż, na zewnątrz. Jeśli będziesz mnie potrzebowała, po prostu zawołaj.

Obdarowała go zmęczonym uśmiechem, spoglądając mu ciepło w oczy. Miłość, którą zobaczył, wydawała się tak blisko powierzchni, że serce zabiło mu szybciej. Nie zasługiwał na to uczucie.

Może właśnie dlatego był to taki niesamowity dar.

Wyszedł na zewnątrz, odsuwając się od drzwi stajni i światła lampy.

Głęboka ciemność otoczyła go jak ciepły koc. Ćwierkały świerszcze i inne owady, ale poza tym wokół było niesamowicie cicho. Był tak przyzwyczajony do odgłosów miasta, że cisza go denerwowała. Poluzował rozporek spodni i opróżnił pęcherz pod drzewem, pogwizdując melodię, którą tej nocy usłyszał w Vauxhall.

Kiedy skończył, odwrócił się z powrotem do stajni i omal nie zderzył się z człowiekiem stojącym za nim.

– Harrow.

Gideon zacisnął pięści i zamachnął się ramieniem. Sir Brook Derring bez trudu usunął się w bok, najwyraźniej spodziewając się ataku. Brak celu sprawił, że Gideon zachwiał się, a Brook chwycił go za nadgarstek i zwinnie wykręcił mu ramię do tyłu. W chwilę później w policzek Gideona wbiła się szorstka kora drzewa.

– Gdzie ona jest?

– Idź do diabła – wycedził Gideon przez zaciśnięte wargi.

– Czy jest ranna?

– Ja jej nie dotknąłem.

– Bzdura – Derring szarpnął go do tyłu i ponownie uderzył nim o drzewo. – Oczekujesz, że w to uwierzę?

Ciemność usiana białymi punktami na moment przesłoniła pole widzenia Gideona. Otrząsnął się.

– Nie zrobiłem niczego, czego ona by nie chciała
– Powinienem cię zabić – warknął mu do ucha Derring
– Śmiało. Jeśli ty tego nie zrobisz, zajmie się mną Beezle.
– Masz talent do robienia sobie wrogów. Szkoda. Widziałem w tobie wielki potencjał.

Gideon spróbował wykręcić szyję, żeby zobaczyć twarz Derringa. Potencjał? Co, do diabła, ten człowiek ma na myśli?

– Znam też moją siostrę. Koniec tej błazenady. Moja matka wylądowała w łóżku ze zmartwienia. Zaprowadź mnie do niej.

– Nie – warknął Gideon, gdy Derring boleśnie szarpnął go za ramię. – Możesz złamać mi rękę, ale nie powiem.

– Wtedy przeszukam pensjonat i stajnie, wywrócę wszystko do góry nogami, aż ją znajdę.

– Nie znajdziesz. – Powietrze ze świstem wyrwało się z płuc Gideona, kiedy Brook przycisnął przedramię do jego karku. – Blefujesz!

– Ty cholerny draniu. Powinienem skrócić ci kark.

– Zbyt wielki zaszczyt – wykrztusił Gideon, błagając Boga, aby była to prawda. Nacisk na szyję zelżał. Gideon wiedział, kiedy ma przewagę. – Jeśli mnie zabijesz i tak będziesz jeszcze musiał pójść po nią. Wtedy wszyscy się dowiedzą, że siostra sir Brooka Derringa, lady Susanna, była sam na sam z takim mętem jak ja. Równie dobrze można by ogłosić to ze sceny Drury Lane.

Jeśli było cokolwiek, co Gideon wiedział na temat szlachty, to wielkie przywiązanie do czystej jak lilie reputacji ich dam. Sir Brook nie zrujnowałby opinii swojej siostry, tak samo jak nie kopnąłby psa.

Gideon trzykrotnie zaczerpnął oddechu w dłuższej ciszy, podczas gdy Derring rozważał jego słowa. Wreszcie mężczyzna pchnął go mocno i powiedział:

– Moje jestestwo sprzeciwia się temu każdą cząstką, ale nie zostawię ci wyboru. Muszę ci zaufać.

– Ostrożnie, żebyś nie połamał sobie zębów na tych słowach.

– Zdradzisz moje zaufanie, a zdradzisz nie tylko mnie, ale i Marlowe. Pamiętasz Marlowe?

Słowa te były niczym kopniak w jądra. Gideon jęknął. Derring wiedział, że nigdy nie zawiódłby Marlowe.

– Odwieź lady Susannę z powrotem do Derring House jutro do południa, albo Beezle będzie najmniejszym z twoich zmartwień. Marlowe przyjdzie po ciebie, a jeśli nie boisz się nawet jej, pomyśl sobie, że każdy Goniec z Bow Street w mieście będzie się palił, żeby poderżnąć ci gardło.

– Każdy Goniec? – prychnął Gideon. – Myślisz, że masz aż tyle władzy?

Derring puścił ramię Gideona i obrócił go dookoła.

– Może i nie jestem Gońcem, ale cieszę się ich lojalnością. Uważają mnie za swojego, a swoich zawsze bronią. Susanna jest moją siostrą i tym samym każdy Goniec na Bow Street czuje się za nią odpowiedzialny.

– Sprowadzę ją z powrotem.

Brook obdarzył go przeciągłym spojrzeniem, jakby szukając czegoś w jego twarzy. Wreszcie odwrócił wzrok, wydymając wargi z niesmakiem.

– Mam ci to wyłożyć kawa na ławę?

Gideon prychnął.

– Nie chcę twoich wyjaśnień.

Derring puścił go i odepchnął od siebie. Głowa Gideona uderzyła w drzewo i odskoczyła.

– Zejdź mi z oczu. Patrzę na ciebie i mdli mnie. Mogłeś być jednym z nas.

Gideonowi dzwoniło w uszach od zderzenia z drzewem. Wstrząs musiał uszkodzić mu słuch.

– Jednym z kogo?

Derring nachylił się ku niemu.

– Gońców.

Gideon wytrzeszczył na niego oczy.

– Nie rozśmieszaj mnie, łowco złodziei. Nigdy nie zostanę jednym z twoich zbirów.

Derring cofnął się.

– Nie, nie ty, prawda?

Ciemność pochłonęła Derringa i Gideon oparł się o drzewo, aż odzyskał wzrok, a młot w mózgu przestał łomotać w czaszkę. Po chwili udał się z powrotem do stajni.

Susanna leżała zwinięta w kłębek z jedną ręką pod głową i zamkniętymi oczami. Oddychała spokojnie. Stał nad nią i patrzył, jak śpi, aż pierwsze promienie światła pomalowały ciemność na kolor szarego łupku. Zaryzykował dla niej wszystko – przyszłość, życie. Chciał wierzyć, że chodziło o naszyjnik, ale zawsze chodziło o nią. Już w pierwszym momencie, kiedy ją zobaczył, przegrał bitwę.

Niech się dzieje, co chce, nie żałował.

Jeszcze kilka godzin i zwróci ją światu, dla którego się urodziła, życiu, którego była częścią. Na łono jej rodziny i wszystkich tych, którzy ją kochali.

On też powróci. Powróci do życia łotra w Seven Dials, złodzieja, anonimowego faceta, na którym nikomu nie zależało.

Obudziła się w ramionach Gideona. Był taki ciepły, że czuła się niewiarygodnie bezpiecznie przytulona do jego piersi. Pachniał sianem i końmi i zapachy te przypominały jej Northbridge Abbey, wiejską posiadłość jej rodziny. Zawsze uwielbiała tam jeździć. Powrót do Londynu na sezon zawsze był dla niej jak wchodzenie do kanału. Węchem wyczuwała miasto na długo przedtem, zanim je zobaczyła.

Objęła Gideona, ukryła twarz w jego grubej koszuli. Z uchem przyciśniętym do jego piersi słyszała powolne i równomierne bicie jego serca. Rozchyliła mu kołnierzyk koszuli i przycisnęła wargi do ciepłej skóry na szyi. Serce zabiło mu szybciej, dłonie objęły jej boki, przyciągnął ją mocno do siebie i swej twardej męskości.

Jej brzuch zalało gorąco, spływając w dół i uświadamiając jej ból, jaki odczuwała między udami. Otarła się o niego, wtulając się całym ciałem. Gideon jęknął i wtulił usta w jej włosy, muskając nimi jej ucho. Zadrżała i przytuliła się mocniej.

– Czyżbyś próbowała mnie uwieść, lady Susanno?

– Tak – wysunęła biodra – I myślę, że mi się udało.

Dłonią nakrył jej pierś, gładząc sutek, aż stwardniał i bólem

domagał się dotyku.

– Nie jesteśmy sami. Stajenny może przyjść w każdej chwili.

– Więc powinniśmy być cicho.

Zachichotał.

– Lubieżna dziewczynka.

Pochylił głowę i zamknął usta na jej piersi. Wygięła się w łuk, przygryzając wargi, żeby nie krzyczeć. Ciepły język na skórze przyprawiał ją o dreszcze rozkoszy. Owinęła nogi wokół niego, nie ukrywając, czego od niego pragnie i gdzie ma jej dotykać.

Z ustami wciąż na jej piersi, położył dłoń na jej kostce, po czym przesunął i zaczął łaskotać jej łydkę. Kiedy jego palce lekko dotknęły ją pod kolanem, wstrzymała oddech i wydała z siebie stłumiony jęk. Wreszcie ręka przeniosła się świadomie na wrażliwą skórę uda, delikatnie muskając miejsce, które boleśnie pragnęło jego dotyku. Wygięła się mocniej, rozsuwając nogi, gdy jego palce zagłębiły się w jej wilgotnym ciele.

Gdy w nią wszedł, syknęła i wstrzymała oddech z bólu.

– Przepraszam. – Odsunął się, w jednej chwili puszczając ją.

– Sprawilem ci ból.

– Szszsz... – Położyła palec na jego ustach i pocałowała go delikatnie. – Nie spodziewałam się, że zaboli. Dotknij mnie jeszcze raz.

Czujne spojrzenie jego oczu, znaczenie, jakie niosło, zmiażdżyły ją. Zależało mu na niej. Nie chciał jej skrzywdzić. Czy dotyczyło to wyłącznie jej ciała, czy również jej serca?

– Nie chciałem sprawić ci bólu.

– Jeśli to zrobisz, powiem ci. Wtedy przestaniesz.

Jego oczy pociemniały, przyjmując ten niebezpieczny wygląd, przez który zapominała oddychać.

– Myślisz, że tak łatwo przyjdzie mi się zatrzymać? Kiedy cię dotykam, nie chciałbym nigdy przestać.

– Więc nie przestawaj. – Pocałowała go w policzek, usta, bliznę przecinającą jego brew i skroń. – Nawet nie próbuj.

Jego ręce były wszędzie, a palce delikatnym łaskotaniem wprowadzały jej ciało w stan gorączkowego podniecenia. Gdy

jego palec wszedł w nią ponownie, ledwo zauważyła ból, wiedziała jednak, że zwiększona wrażliwość bardziej budziła w niej pragnienie twardej męskości wślizgującej się między uda.

– Jesteś gotowa? – zapytał, widocznie zaskoczony. –
Pozwól...

Pochylił się, chcąc zapewne wziąć ją ustami, ale zatrzymała go, kładąc mu dłoń na policzku.

– Chcę ciebie – szepnęła. – Pragnę połączyć się z tobą, czuć, jak poruszasz się we mnie.

Jego oczy były ciemnozielone, jak starożytny las.

– Mówisz to tak słodko, tak przyzwoicie, że jakimś cudem brzmi to bardziej erotyczne niż kiedykolwiek mogłyby brzmieć wulgarne słowa.

– Nie znam żadnych wulgarnych określeń – odparła, czując na policzkach ciepło, jak zawsze, gdy wytykał jej naiwność.

– Nie chcę, abys kiedykolwiek się ich nauczyła. – Odsunął włosy z jej skroni, otulając dłońmi jej twarz. – Jeśli sprawię ci ból...

– Nie sprawisz.

– ...postaram się powstrzymać. Tak mi dopomóż Bóg, znajdę sposób.

Wsunął się w nią, powoli i z niezwykłą czułością. Poczowała lekki dyskomfort, ale bez prawdziwego bólu. Jej ciało przyjęło go, zamknęło się wokół niego, z rozkoszą witając każde ostrożne pchnięcie. Poruszał się świadomie i z wielką wprawą. Nie wiedziała, że był to mistrzowski akt, ale sposób, w jaki Gideon wiedział dokładnie, kiedy pchnąć do przodu, kiedy się wycofać, a kiedy zakołysać, był zdecydowanie doskonały.

Nie spuszczał z niej wzroku ani na chwilę, zdawał się czytać potrzeby w jej oczach. Jeśli poczuła ukłucie bólu, zwalniał, a kiedy przenikał ją dreszcz przyjemności, przyspieszał. Rozkosz narastała i narastała, zlewając się w rozkoszną torturę. Uniosła biodra, aby zagarnąć go głębiej.

– Spokojnie – szepnął. Namiętność w jego oczach pokonała w niej wszelkie granice. Przemknęła nad krawędzią, rozkosz

miotła ją jak gwałtowny burzowy wicher. Uniosła ją, zawirowała, pozbawiając wszelkiego oporu, aż nie mogła sobie wyobrazić, że jeszcze kiedykolwiek dozna czegoś tak wspaniałego.

I wtedy Gideon zniknął, a jego wycofanie się było niemal bolesne. Utoczył nasienie w słomę obok niej, wielkimi haustami chwytając powietrze. Ramiona, na których się wspierał, drżały, a głowa zwisała. Ciemne włosy wilgotną płataniną spadały mu na czoło.

– Dlaczego to robisz? – zapytała cicho, kiedy porządkował ubranie.

Spojrzał na nią, z lekka oszołomiony, po czym odetchnął ciężko.

– Wciąż zapominam, jaka jesteś niewinna. – Odsunął włosy z czoła. – Nie chcę, abyś zaszła w ciążę.

Dotknęła lekko brzucha. Dziecko. Nie pomyślała o tym.

– Ty mnie chronisz.

– Nie. – Ujął jej rękę i pomógł jej wstać. – Nie patrz na to w ten sposób. To nie zawsze działa. Gdybym naprawdę chciał cię chronić, nie tknąłbym cię.

Owinęła ręce wokół jego szyi.

– Nie jesteś aż tak okrutny.

– Twoje zdanie prawdopodobnie ulegnie zmianie.

Cofnęła się, sztywno przyciskając ręce do boków.

– Nieprawda. – Odwróciła wzrok, wpatrując się w zgniecioną słomę, na której spali spleceni ramionami. Wiedziała, że nadejdzie ranek i będzie zwiastować pożegnanie.

– Powinniśmy złożyć wizytę panu Southey? Wiem, że spieszysz się, aby odebrać zapłatę, ale...

– Zabiorę cię do Vauxhall. – Szybko odsunął się od niej i schylił, aby otrzepać słomę ze spodni. – Chciałbym wejść choć raz przez Dom Właściciela zamiast pod ogrodzeniem. Nigdy wcześniej nie dostałem żadnego zaproszenia. – Jego słowa brzmiały lekko i żartobliwie, ale w głosie pobrzmiwała nuta goryczy.

Obraziła go i zrobiła to, aby sprawić mu przykrość. Chciała,

żeby jej powiedział, że już mu nie zależy na naszyjniku. Że pragnie tylko jej, a naszyjnik niech diabli wezmą.

Wiedziała, że to nie w porządku.

Oczywiście, że naszyjnik miał znaczenie. Był wart więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek mógł sobie wyobrazić. Nie zapytała o jego intencje, nawet nie miała zamiaru, ale podejrzewała, że chciał go sprzedać, aby opuścić miasto. Chciał rozpocząć nowe życie.

Pragnęła tego dla niego. Chciała, aby miał przyszłość tam, gdzie byłby bezpieczny.

Chciała stać się częścią tej przyszłości.

Droga z powrotem do Vauxhall zajęła im większość poranka. Zeszłej nocy Gideon wymyślił historię o kradzieży twierdząc, że nie ma pieniędzy na przejazd promem na drugą stronę Tamizy. Zapewnili sobie podwiezienie aż do pensjonatu przez starszą parę, której Susanna nie całkiem mogła spojrzeć w oczy. Była pewna, że nie wierzą, iż jest panią Harrow i w jakiś sposób są w stanie zobaczyć, że nie jest już dziewicą, jak gdyby było to wypisane na jej twarzy.

Kiedy wreszcie znów dotarli do ogrodów, Susanna desperacko zapragnęła choć łyk wody.

Beauty przemierzyła kilka bagien i znów przybrała barwę brudnego brązu. Piła dużo wody, ale nos Susanny protestował, czując smród. Jej gardło było suche jak pergamin.

Wilgotne włosy przylgnęły jej do szyi, a halka była ciężka od ostatniej porannej rosy. Gideon zastukał głośno do Domu Właściciela, pokazując wizytówkę Southeya, kiedy drzwi wreszcie się otworzyły. Zostali wpuszczeni i Susanna zaczęła przyglądać się obrazom, które widzieli poprzedniego wieczoru. Hogarth, uznała teraz, kiedy zobaczyła je w świetle poranka. Kiedy w końcu wyszli na zewnątrz, odetchnęła głęboko świeżym powietrzem Zagajnika.

Mężczyzna niosący worek czegoś, co wyglądało jak ziemniaki, skinął podbródkiem w stronę pawilonów chińskich. Susanna i Gideon zastali Southeya przy przycinaniu krzewu różanego.

Gile i strzyżyki ćwierkały radośnie w drzewach i Susanna

uniosła twarz do światła słonecznego przesączającego się strumieniami poprzez liście.

Southey zdjął kapelusz i ukłonił się.

– Pan i pani Harrow. Miałem nadzieję, że państwo przyjdą.

Beauty zaszczekała.

– Ty też, piesku – odrzekł Southey i uchylił kapelusza.

– Nie mógłbyś nas powstrzymać – odparła Susanna z uśmiechem.

Southey wskazał pobliską altanę, z ławkami i stołem.

– Może trochę wody z cytryną dla odświeżenia?

– Dziękuję. – Susanna skorzystała z okazji do odpoczynku na ławce przez kilka chwil i piła, podczas gdy Gideon przyjaźnie gawędził z Southeyem. – Jak długo opiekujesz się ogrodami Vauxhall?

– Och, ponad dwadzieścia lat lub więcej – odparł Southey, opierając się na piętach. – Miałem szczęście być drugim synem wicehrabiego. Mogłem być zmuszony, aby pójść do zakonu lub zaciągnąć się do marynarki, ale kiedy miałem dwanaście lat, odkryłem nową metodę upraw, która ponad trzykrotnie zwiększyła wydajność ziemi mojego ojca. Kilka lat później napisałem o tym artykuł, a teraz podróżuję po świecie, pokazując szlachetnie i niekoniecznie całkiem szlachetnie urodzonym rolnikom, jak lepiej uprawiać ziemię.

– Musisz to kochać – odezwała się Susanna. – Widać, że jesteś bardzo utalentowany. W świetle dziennym jest tu jeszcze piękniej.

– Opiekę nad ziemią mam we krwi. – Pochylił się i wyrwał chwast, obracając go w palcach. – Muszę powiedzieć, pani Harrow, że przypomina mi pani kobietę, którą znałem kiedyś, wiele lat temu.

– Mówiłeś to ostatniej nocy. Wydaje się, że czule ją wspominasz.

Rzucił chwast i wytarł dłonie o spodnie.

– W istocie. Chodźmy, oprowadzę was.

Ruszyli. Wskazał na Handel Piazza i rotundy, wymieniając,

kiedy dodano każde z nich i rolę, jaką odgrywało w całości krajobrazu. Gdy zawrócili do altany, Susanna zagadnęła go ponownie o damę, do której była podobna.

– Co się stało z damą, o której wspomniałeś? Czy przyrzeczona była innemu?

Długa twarz Southeya wydłużyła się jeszcze.

– Była córką księcia, a ja tylko drugim synem wicehrabiego. Jej rodzina nie zgodziła się na związek. – Dorrie i ja wykorzystywaliśmy każdą szansę, aby się spotkać. Przychodziła co noc, gdy tylko mogła się wyrwać. Rozmawialiśmy, dopóki słońce nie wzeszło – Otarł dłonie o spodnie i wyprowadził ich na ścieżkę wiodącą z powrotem do altany. – Dni dłużyły się bez końca.

– Ale noce mijały zbyt szybko.

Southey uśmiechnął się do Gideona.

– Widzę, że ten człowiek dokładnie wie, co mam na myśli. Ma pan szczęście, że znalazł prawdziwą miłość – powiedział. – Niech pan nie pozwoli jej odejść. Gdybym mógł cofnąć czas, zrobiłbym wszystko, co w mojej mocy, aby zatrzymać moją Dorrie. I nigdy nie pozwolić jej odejść.

Susanna desperacko chciała spojrzeć na Gideona, aby zobaczyć jego minę. Wbiła jednak wzrok w żwirową ścieżkę pod stopami. Dorrie, córka księcia, ogrody Vauxhall...

Susanna miała spuszczoną głowę, z wzrokiem skupionym na nieco znoszonych, źle dopasowanych butach, więc nie widziała, jak Southey nagle zatrzymał się przed nią. Prawie na niego wpadła, gdy Gideon chwycił ją za ramię i pociągnął z powrotem.

– O co chodzi? – zapytała, spoglądając na drzewa i ścieżki skąpane w plamach promieni słonecznych.

– Dorrie? – wyszeptał Southey głosem ochrypłym z emocji i niedowierzania.

Susanna gwałtownie spojrzała na altanę, w której siedzieli wcześniej. Nie zdawała sobie sprawy, że byli tak blisko, i przez chwilę ucieszyła ją myśl o wodzie z cytryną. A potem poczuła się tak, jakby nisko wiszący konar drzewa uderzył ją w pierś.

W altanie stała jej matka, ze zdumienia szeroko otwierając
oczy.

Dorothea patrzyła na córkę, gdy wymijała drzewa ocieniające altanę, aby wyjść na otwartą przestrzeń. Ledwie mogła uwierzyć, że dziewczyną, która szła w jej kierunku, ciągnąc za sobą brudnego kundla, była jej własna córka. Włosy Susanny opadały na plecy w długich, potarganych lokach i okalały twarz, łagodząc kanciaste policzki i podbródek. Choć włosy były ciężkie, kołysały się w rytm kroków, sprawiając wrażenie, że jej biodra kołyszą się prowokacyjnie. Czy jej córka zawsze chodziła w ten sposób? A może to iluzja, stworzona przez rozpuszczone włosy i upiorny strój, jaki miała na sobie?

Jej piękna córka – dziecko, które zawsze było schludne i czyste – miała na jednym ramieniu rozmazany brud i źdźbła słomy we włosach. Skraj spódnicy pokryty był błotem i trawą, a jej buty!

Dorothea nie mogła na to patrzeć.

Popełniła błąd, patrząc za plecy córki, na mężczyznę u jej boku. Jeśli kiedykolwiek miałyby zobaczyć łotra, to właśnie go widziała. Miał dwudniowy zarost na twarzy i chudy, wygłodzony wygląd. Blizna przecinająca w poprzek jego skroń dowodziła jego skłonności do zła.

Otworzyła usta, choć nie wiedziała, co powie, kiedy znajomy głos zagłuszył śpiew ptaków.

– Dorrie!

Dorothea znieruchomiała, zastanawiając się, czy to jej umysł płata jej figle. Przyszła do altany, ponieważ było to miejsce, gdzie się zawsze spotykali. Chciała ją zobaczyć, ponownie sprawdzić, czy coś się zmieniło, czy jej wspomnienia wciąż były wiernie. Brook chciał pójść Mroczną Drogą, a ona zapewniła go, że potrafi znaleźć swoją ścieżkę. Teraz usłyszała imię, na które odpowiadała w snach.

Dorrie.

Jej wzrok spoczął na starszym mężczyźnie, który szedł przed

Susanną. Jego niegdyś jaskraworude włosy wyblakły, skronie pokryły białe pasma. Broda była wciąż żywo czerwona, a oczy jasnoniebieskie. Skóra przybrała od słońca głęboki, złocisty odcień, szerokie ramiona mówiły o długich godzinach ciężkiej pracy.

– Nie poznajesz mnie, Dorrie? – zapytał. – Ja poznałbym cię wszędzie.

– Robert. – Wyszeptała to imię jak modlitwę. Być może była to modlitwa. Bóg wiedział, że był jej zbawieniem tyle lat temu. A teraz stał przed nią, żywy i realny. Poznałaby wszędzie te nieco opadające kąciki ust i te jasne niebieskie oczy.

Zanim się zorientowała, co się dzieje, zanim mogła pohamować swoje prymitywniejsze impulsy, stopy poniosły ją w jego stronę. Pobieгла, czując, że ma znów dwadzieścia lat, a nie pięć dekad i padła w jego ramiona, śmiejąc się bez opamiętania. Ukryła twarz w jego płaszczu, wdychając głęboko zapach trawy, liści i gleby. Poznała ten zapach, nawet po tych wszystkich latach. Nie uległ zmianie. Podobnie jak uścisk otaczających ją ramion, miękkość warg, kiedy dotykał nimi jej czoła i policzka. Jego broda łaskotała jej usta, szorstkie włosy drapały wrażliwą skórę.

Oddawała mu pocałunki. Część jej umysłu była przerażona. Wiedziała, że musi przestać. Wiedziała, że nie może się tak zachowywać.

A do diabła z przyzwoitością i zasadami!

Właśnie to powinna była powiedzieć wiele lat temu.

Dlaczego zmarnowała życie poza kręgiem ramion Roberta?

– Matko?

Zdumiony głos jej córki zaledwie przedostał się przez mgłę emocji. Nie przestawała okrywać Roberta pocałunkami, ale teraz to on cofnął się i spojrzał na Susannę.

– Co powiedziałaś? – zapytał.

– Puść ją. – Brook, jak zawsze bezszelestnie, wszedł do altany, patrząc prosto na niego.

Dorothea przytuliła się do Roberta.

– Co to znaczy? – zapytał jej syn.

Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wydawało się, że zderzyły się dwa różne światy i wstrząs pozbawił ją mowy.

– Mama całuje pana Southeya – rzeczowo wyjaśniła Susanna.

– To jest twoja matka? – zapytał Robert z niedowierzaniem. Spojrzał na Dorotheę, a ta skinęła głową.

Wszystko teraz wyjdzie na jaw. Nie było nadziei na ukrycie prawdy.

– A to jest twoja Dorrie – dodał obdartus, spoglądając na kobietę w ramionach Roberta.

– To niemożliwe – wyszeptała Susanna, wytrzeszczając zdezorientowane oczy. – Myślałam... wiedziałam... ale on to...

Obdartus odchrząknął.

– Jeśli się nie mylę, lady Susanno, to twój ojciec.

Susanna wyciągnęła rękę, szukając oparcia. Nie namacała nic i zachwiała się lekko, zanim Gideon chwycił ją w ramiona. Natychmiast wyrwała się i podeszła do Brooka.

Beauty podskoczyła i zawarczała, tańcząc pomiędzy Gideonem a Brookiem.

– A ty łapy precz od mojej siostry. Jak śmiesz ją tak obrażać?

Susanna spoglądała to na Brooka, to na Gideona, a potem znów na matkę, która wciąż mocno ścisnęła pana Southeya.

Gideon obdarzył ją swoim najbardziej zawadiackim uśmiechem. Prawie o tym zapomniała, prawie zapomniała, jak bardzo chciała go szturchnąć, kiedy nim błysnął.

– Ja tylko komentuję to, co widzę – pokazał na Susannę i Southeya. – Podobieństwo jest niezwykle.

Brook zeszywniał, spoglądając to na Susannę, to na matkę.

– Wybacz mi – odezwała się matka, wzrokiem błagając o wyrozumiałość. Susanna wytrzeszczyła oczy na tę kobietę, która rzadko okazywała inne uczucia poza dumą. Nagle wydała jej się przerażona i wrażliwa.

Southey odsunął się. Nie wypuścił kobiety z ramion. Wciąż trzymał ją za ramiona, ale odsunął się od niej i zajrzał jej w oczy.

– Czy to prawda, Dorrie? Czy ona jest moja?

Susanna potrzęsnęła głową. Jej matka poruszała ustami, próbując sformułować odpowiedź. To nie mogła być prawda. Była córką hrabiego i hrabiny Dane. Nie mogła być córką ogrodnika.

Matka spojrzała na nią i Susanna ujrzała łzy błyszczące w jej brązowych oczach.

– Nie – wyszeptała. – Nie wierzę ci.

– Tak mi przykro, Susanno. Powinam była ci powiedzieć. Obawiałam się, że coś takiego może się zdarzyć. Dlatego trzymałam cię z dala...

Teraz Southey wypuścił ją i kobieta omal nie upadła. Ku przerażeniu Susanny, Gideon chwycił ją pod ramię. Zamiast podziękować, jej matka wyrwała mu się.

– Pozwól mi wyjaśnić – lady Dane wyciągnęła rękę do córki.

– Och, myślę, że doskonale to rozumiem – odezwał się Southey – jej ojciec. – Nie chciałaś, żebym się dowiedział. Byłaś zakłopotana, że powiłaś dziecko nędznego drugiego syna.

– Nie! – matka Susanny zwróciła się najpierw ku niemu, potem znów ku córce. Wydawała się nie wiedzieć, z którym przeciwnikiem zmierzyć się najpierw. – Nie o to chodziło, naprawdę. Nie chciałam cię skrzywdzić. – Nie spuszczała oczu z Susanny, ale spojrzała na Southeya, jakby chciała go włączyć do rozmowy. – Nigdy by cię nie uznała. Nie mógłbyś być częścią jej życia.

– To byłaby moja decyzja! – krzyknęła Susanna, zaskoczona własną gwałtownością. – Moja, matko!

Lady Dane wytrzeszczyła oczy, ale zacisnęła wargi bez sprzeciwu.

– Susanno. – Brook uspokajającym gestem położył jej dłoń na ramieniu.

Obróciła się ku niemu.

– Nie mów mi, żebym się uspokoiła albo przysięgam, że dostaniesz w szczękę.

– Zdaje mi się, że ona naprawdę to zrobi – wtrącił Gideon. Oparł się o drzewo, krzyżując ramiona na piersi. Wydawało się, że bardzo go bawi rozwijający się dramat. Susanna skinęła mu głową

w milczącym podziękowaniu i znów spojrzała na Brooka.

– Przez całe życie zastanawiałam się, czemu jestem inna. Czemu ojciec mnie ignoruje, czemu matka czuwa nade mną jak sokół? Myślałam, że to dlatego, że jestem dziewczyną, a ty i Dane jesteście chłopcami, ale teraz wiem, że się myliłam. – Spojrzała na matkę. – To dlatego, że nie byłam jedną z was. Nie jestem Derringiem. – Jej głos przybrał piskliwe tony. Wydawało się, że już go nie kontroluje – podobnie, jak całej reszty swego życia w tej chwili.

– Chciałam cię tylko chronić. – Głos matki załamał się, ale wciąż wysoko trzymała głowę.

– To niczego nie zmienia, Susanno – wtrącił Brook. – Wciąż należysz do Derringów. A teraz wrócisz ze mną do domu.

Lady Dane odchrząknęła i wyprostowała szczupłe ramiona.

– To wybór Susanny, Brook. Nie będę już więcej jej chronić.

Susanna otworzyła usta. Nigdy do tej pory matka nie użyła słów „Susanna” i „wybór” w jednym zdaniu.

– Rób z tą wiedzą, co chcesz, Susanno. Prosiłabym cię o to, abyś pomyślała o swojej rodzinie i przyszłości, i zachowywała się dyskretnie. Zbyt mocno cię chroniłam. Teraz to rozumiem. A to był tylko jeden z moich wielu, wielu błędów.

Southey położył dłoń na piersi, jakby go śmiertelnie zraniła. Susanna przyglądała się ze zdumieniem, jak jej matka ujęła dłońie Southeya i przycisnęła do serca.

– Popełniłam błąd, że pozwoliłam ci odejść. Nie powinnam była nigdy słuchać moich rodziców, obawiać się cenzury „elity”. Tak mi przykro, Robercie. Czy możesz mi wybaczyć?

Ujął jej twarz w dłonie i ucałował w usta.

– Mogę wybaczyć ci wszystko.

Susanna chciała odwrócić wzrok, ale to był zbyt dziwny widok. Jej matka całowała mężczyznę. Uśmiechała się, płakała, zachowywała się niemal jak człowiek!

– Powiedz, że możemy zacząć od nowa. Powiedz, że po tych latach wciąż jeszcze mnie chcesz.

Brook prychnął z niesmakiem i pociągnął Susannę na bok.

– Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale zabieram cię do domu. Powiedziałem Harrowowi, że jeśli nie będzie cię w domu do południa, przyjdę po ciebie.

– Harrowowi? – obejrzała się na Gideona, wciąż opartego o drzewo, jakby nic na świecie go nie obchodziło. – Gideon? Kiedy rozmawiałeś z Gideonem?

– Och, nie powiedział ci? Rozmawiałem z nim wczorajszego wieczoru pod Trzema Kaczkami. Mogłem przeszukać knajpę i zrujnować cię jednym ruchem, ale chciałem ci dać możliwość cichego powrotu. Teraz wydaje się to jednak całkiem niemożliwe. – Zerknął na matkę, która zbliżyła głowę do głowy Southeya i coś cicho szeptała między sobą.

Susanna nie mogła oderwać wzroku od Gideona. Pochwycił jej spojrzenie i pytająco uniósł brwi. Susanna przełknęła ślinę. Matka kazała jej podejmować własne decyzje i popełniać własne błędy.

– Nie wiem, czy chcę wracać z tobą do domu – odparła. – Czy tam jest moje miejsce?

Brook chwycił ją za podbródek i przemocą odwrócił jej twarz ku sobie.

– A cóż to za nonsens? Dane jest tutaj. Wrócił wczoraj późną nocą. Powie ci to samo co ja. Należysz do Derringów.

– Ale to nieprawda. Nie do końca. Nie wiem, gdzie należę. Brook prychnął.

– Myślisz, że twoje miejsce jest przy nim? Pomyśl o swojej rodzinie i o skandalu, Susanno – dźgnął kciukiem w kierunku Gideona. – Myślisz, że on się z tobą ożeni? Zaopiekuje się tobą? On nie potrafi zaopiekować się nawet sobą.

Susanna spojrzała na Gideona, szukając w jego twarzy jakiejś oznaki uczucia. Dane jej pomoże – pomoże im obojgu – jeśli go o to poprosi. Nie pozwoli jej umrzeć z głodu, ale to Gideon musi jej pragnąć.

Gideon odepchnął się od drzewa i podszedł do nich.

– Sir Brook ma rację. Jesteś Derringiem, Truskaweczko – rzekł. – Chcę tylko tego, co moje. Potem zostawię cię w spokoju.

– A co jest twoje? – Brook podniósł rękę, ale zacisnął ją w pięść, zanim chwycił Gideona za gardło. – Chyba wzięłeś już więcej niż to, co do ciebie należy.

– Przestań – szepnęła Susanna zarówno do siebie, jak i do obu mężczyzn. Poczowała, że zaraz popłyną jej łzy, ale nie mogła do tego dopuścić. Przełknęła je i głęboko odetchnęła. – On pójdzie z nami, Brook. Jestem mu coś winna, a potem już nigdy go nie zobaczymy.

Ruszyła przed siebie. Beauty biegła obok. Nie chciała patrzeć na Gideona. Wolała zachować w pamięci mężczyznę, którego знаła zeszłego wieczoru – człowieka, którego twarz malowało światło eksplodujących fajerwerków. Nie chciała oglądać tego aroganckiego mężczyzny, który uśmiechał się jak kot, który ukradł śmietankę.

Jazda powrotna powozem zdawała się nie mieć końca. Brook zmusił Gideona, aby jechał koło woźnicy, matka i pan Southey – jeszcze nie umiała myśleć o nim jak o swoim ojcu – zajęli miejsca po jednej stronie powozu, a oni z Brookiem po drugiej. Beauty jechała na siedzeniu woźnicy, obok Gideona.

Southey zadawał jej dziesiątki pytań. Wydawał się niezwykle rozradowany, że ma córkę, co było naprawdę słodkie. Wydawał się miłym, łagodnym człowiekiem. Susanna próbowała mu odpowiadać, ale nie mogła się skupić na tym, co mówi. Własne słowa rozbrzmiewały jej w uszach, nakładały się na siebie, aż dźwięk jej głosu wydawał się po stokroć głośniejszy.

Kiedy weszła do Derring House, nic nie wyglądało tak, jak to zapamiętała. Krzesła, wazon, obrazy były w tych samych miejscach, ale jej już się nie wydawały domem. Był to dom dziewczyny, którą była kiedyś. Ta niewinna dziewczyna już nigdy nie wróci. Już nigdy nie będzie to jej miejsce.

A czy kiedykolwiek nim było?

Dane i Marlowe wybiegli jej na spotkanie. Marlowe uściskała ją i cofnęła się.

– Co się dzieje, Susanno?

– Ja...

– Usiądź. – Marlowe próbowała podprowadzić ją do fotela w salonie. Na jej ładnej twarzy malowała się troska. Susanna wciąż nie mogła przyzwycząić się do widoku Marlowe w jedwabkach i muślinach, z włosami spiętrzonymi wysoko na głowie. Zastanawiała się – gdyby Gideon ją wybrał – czy przyzwycząłaby się do jego widoku w krawacie i surducie.

Brook odciągnął Dane'a na bok, a Susanna wyminęła Marlowe.

– Nic mi nie jest – rzuciła, kiedy ta zaprotestowała.

– Nie wyglądasz, jakby ci nic nie było. Raczej jakbyś w połowie była w Peg Tranturns.

– Nie wiem, co to znaczy, ale czuję się dość dobrze, aby pójść na górę. – Stopy zaniosły ją do westybulu, pod schody. – Czy pamiętasz nasz zakład, Marlowe?

Marlowe spojrzała na nią w zadumie.

– Nie jestem pewna.

– Byłaś mi winna przygodę.

Usta Marlowe rozciągnęły się w uśmiechu.

– Ach tak. Powinnaś chyba powiedzieć, że już ją przeżyłaś.

– Więcej niż jedną – odparła Susanne, uniosła spódnicę i spojrzała na niebotyczną klatkę schodową.

Marlowe położyła dłoń na poręczy.

– Pójdę z tobą. Powinnaś się położyć.

Susanna skinęła głową i ruszyła na górę.

– Położę się. Najpierw jednak muszę coś znaleźć i dać Gideonowi.

– Gideon! – Marlowe pobiegła za nią na górę, tupiąc po schodach całkiem nie jak dama. Gdyby jej matka nie była tak zajęta Southeyem, z pewnością by ją zganiała.

– Co robisz z Gideonem? Gdzie on jest?

Susanna obejrzała się i zajrzała do westybulu. Z dołu spoglądał na nią tylko Crawford.

Gdzież była jej matka i Southey. O, nie. Czy naprawdę chciała znać odpowiedź na to pytanie?

Crawford odchrząknął.

– Młody człowiek został posłany do wejścia dla służby.
Czeka na panią w kuchni.
Susanna zaśmiała się oschle.
– Dlaczego mielibyśmy traktować go inaczej?
– Pójdę do niego – Marlowe ruszyła w dół po schodach. –
Inaczej nie będzie długo czekał.
– Będzie – odparła Susanna. – Mam coś, na czym mu zależy.
Zaczęła wspinać się po schodach, otworzyła drzwi sypialni i
rozejrzała się po małym, kobiecym pokoju. Był to właściwie pokój
dziecka, pełen falbaniastych poduszek i różowej tapicerki.
Szkicownik i farby leżały tam, gdzie je zostawiła. Spojrzała na
rysunek, nad którym pracowała – koń z kwiatami wplecionymi w
grzywę. Rysunek dziecka.
Jej szkatułka z klejnotami stała nietknięta na toaletce.
Otworzyła ją, podniosła ładne błyskotki, które tak kiedyś lubiła i
wyjęła aksamitny woreczek z naszyjnikiem z brylantów i
szmaragdów. Czuła go przez materiał, był ciężki i gruby. Zacisnęła
go w dłoni i ruszyła w stronę kuchni.
– Myślałam, że stanąłeś na nogi, ale wyglądasz jak zawsze,
jak złodziejskie nasienie.
Gideon odwrócił się od chleba i sera, którymi napychał sobie
usta i spojrzał na piękną kobietę, stojącą koło schodów wiodących
do domu – schodów, które nakazano mu omijać z daleka. Nie był
tego godzien. Zastanawiał się przez chwilę, zanim ją rozpoznał.
Wreszcie zdradził ją jej uśmiech.
Zawył radośnie i chwycił Marlowe w ramiona, okręcając ją
wokoło. Zaśmiała się i odrzuciła głowę w tył. Przez chwilę było
jak za dawnych czasów. Beauty z zaciekawieniem podniosła
głowę, ale po chwili wróciła do ochłapów w swojej misce.
Kucharka pisnęła z zachwytem i grzecznie się wycofała. Gideon
ledwie to zauważył. Postawił Marlowe na podłodze i okręcił
wokół.
– Patrzcie, patrzcie – rzekł. – Wyglądasz jak dama.
– Bo jestem prawdziwą damą – zaprotestowała, biorąc się
pod boki w sposób zupełnie nie licujący ze statusem damy. – Mam

tytuł na dowód.

– Nigdy nie potrzebowałaś tytułu – odparł. – Zawsze uważałem, że jesteś za dobra dla Satina i jego szczeniaków.

Ujęła go za rękę, poprowadziła z powrotem do stołu. Musiała wiedzieć, jak bardzo jest głodny.

– A ja zawsze myślałam o tobie to samo. Co tutaj robisz, Gideonie? Czemu lady Susanna ma taką dziwną minę?

Napchał usta chlebem i pomiędzy jednym kęsem a drugim opowiedział jej historię Southeya i lady Dane. Dolała mu herbaty i oparła się biodrem o stół, krzyżując ramiona.

– Czy to jedyny powód? Owszem, to szok, ale Susanna nie należy do osób, które przejmują się tytułami.

Wzruszył jednym ramieniem, pochłaniając herbatę i parząc sobie usta.

– Musisz ją o to spytać.

– Pytam ciebie.

Wbiła w niego spojrzenie intensywnie niebieskich oczu i Gideon poczuł, że ciepło ze zbyt gorącej herbaty ogarnia mu twarz.

– Gideonie Harrow – chwyciła go za rękę i z hukiem postawiła filiżankę na stole. – Co zrobiłeś?

Spojrzał na nią gniewnie. Przyszły mu do głowy słowa: „Nic, czego by nie chciała”, ale niech go diabli, jeśli je jeszcze kiedyś wypowie.

– To była pomyłka – odpowiedział. – Ostatnie kilka dni było pieprzoną pomyłką. Chcę tylko tego, co należy do mnie.

Beauty podniosła głowę i szcęknęła. Spojrzenie Gideona powędrowało ku schodom i poczuł, jak serce ściska mu się w piersi.

Nie.

Susanna wysoko uniosła podbródek, ale zdążył zobaczyć na jej twarzy grymas prawdziwego bólu. Wyglądała tak, jakby ktoś właśnie walnął ją pięścią w splot słoneczny. Policzki jej poczerwieniały, oczy się zaszklily, ale z podniesioną głową zeszła z ostatnich stopni. Wyglądała jak królowa.

– Więc weź to i odejdz – wyciągnęła w jego stronę aksamitny

woreczek z naszyjnikiem.

Marlowe obejrzała się. Powiodła wzrokiem od Susanny do Gideona i cofnęła się.

– Zaczekam u szczytu schodów, gdybyś mnie potrzebowała, Susanno.

Susanna po królewsku skinęła głową. Marlowe mocno uściskała Gideona i szepnęła:

– Jesteśmy z jednej gliny. Nieważne, co zrobiłeś. Ale ona jest teraz moją rodziną. Nie krzywdź jej więcej.

Pies przepchnął się koło nich, ale po raz pierwszy Susanna zignorowała piski i trącenia pyskiem. Pchnęła woreczek w stronę Gideona.

– Bierz i znikaj.

Spojrzał na woreczek. Tego właśnie chciał. O to mu właśnie chodziło. W jej dłoni znajdowała się jego wolność.

Dlaczego nie rzucił się na niego?

Jej usta zadrzały. Tak bardzo próbowała być silna, a on sprawiał, że stało się to koniecznością.

– Truskaweczko...

– Nie nazywaj mnie tak. Jestem lady Susanna.

Zacisnął szczęki.

– Świetnie – chwycił woreczek, poczuł ciężar naszyjnika w środku. Ale nie ogarnęła go spodziewana ulga.

– Masz to, czego chciałeś. Teraz odejdz.

– I to wszystko? – rzucił.

Uniosła dumnie jedną brew.

– Spodziewałeś się pożegnalnego pocałunku? Masz to, co należy do ciebie... a właściwie co ukradłeś. Nie zamierzam już dłużej ciągnąć tej pomyłki.

– Nie chciałem, aby to tak zabrzmiało. Ty nie byłaś pomyłką.

– Ale ty byłeś. Już poinformowałam Marlowe, że zakład jest zakończony. Obiecała mi przygodę. Miałam ją, byłeś całkiem zabawny. Dziękuję i żegnaj.

Serce Gideona tłukło się w piersi, krew wrzała z gniewu. Wiedział, że ją skrzywdził, ale ta odprawa poruszyła wrażliwą

strunę. Tego właśnie chciała. Zranić go, jak on ją zranił.

Ale on nie chciał jej zranić.

Wskazała na drzwi.

– Wszystkiego dobrego, panie Harrow.

Skłonił się drwiąco, otworzył drzwi i wyszedł na jasne światło słoneczne. Zmrużył oczy, zaskoczony, że wciąż jest dzień. Czuł się złodziejem bardziej, niż kiedykolwiek w życiu. Powinien był umykać pod osłoną ciemności.

Otworzył woreczek i wyjął naszyjnik na dłoń. Kamienie zamigotały w słońcu, ale teraz nie wydawały mu się już takie piękne. Zimne, twarde diamenty przyniosą mu zimną, twardą przyszłość.

Ruszył w kierunku Field Lane i sklepów paserów.

Susanna zagryzła wewnętrzną stronę policzka. Nie będzie płakała. Od matki nauczyła się zachowywać opanowanie za wszelką cenę. Przez cały czas musi zachowywać się w dobrym tonie.

– Chodź, Beauty.

Marlowe nie czekała u szczytu schodów, ale kiedy Susanna wróciła do pokoju, na łóżku leżał złoty naszyjnik i kartka.

*Pożyczyłaś mi go, kiedy potrzebowałam przyjaciela.
Zwracam go z tym samym uczuciem.*

Susanna zacisnęła naszyjnik w dłoni. Jeden naszyjnik zamiast drugiego.

Beauty weszła do pokoju w tym samym momencie, kiedy ktoś cicho zapukał do drzwi. Susanna otworzyła je i z płaczem padła w ramiona Marlowe.

Potem Marlowe pomogła jej położyć się do łóżka, zasłoniła kotary i kazała jej zamknąć oczy. Susanna posłuchała, choć nie była przekonana, że zdoła zasnąć. Kiedy znów otworzyła oczy, w pokoju było ciemno, a ogień w kominku przygasł.

Na jej stopach leżało coś ciężkiego. Usiadła i w tym samym momencie Beauty polizała ją po twarzy. A dokładniej mogła przypuszczać, że to włochate zwierzę pachnące różami jest jej psem.

– Wykąpali cię? – zapytała, gładząc ją po głowie. – I wyczesali. Mama dostanie szału, kiedy się dowie, że śpisz w moim łóżku.

– Mama wie.

Susanna podskoczyła i obróciła się w stronę fotela z kremowym obiciem, stojącego koło łóżka. Siedziała w nim jej matka, a blask ognia kładł się na jej twarzy czerwonymi, migoczącymi plamami. Z wyprostowanymi plecami i dłońmi splecionymi na kolanach wyglądała na sztywną i niewzruszoną jak dąb.

A jednak widziała, jak zaledwie wczoraj ta kobieta niemal rozplywa się w ramionach mężczyzny. Trudno jej było pogodzić te dwa wizerunki.

Matka wstała i łóżko ugięło się, kiedy usiadła na skraju. Susanna patrzyła na nią, czekając na pouczenie.

Jednak matka tylko odgarnęła jej włosy z twarzy.

– Lubiłam patrzeć, jak śpisz, kiedy byłeś małym dzieckiem – rzekła wreszcie. – Usteczka wyginały ci się w uśmiechu, powieki drgały, piąstki się zaciskały. Zawsze się zastanawiałam, o czym śnisz.

Susanna pokręciła głową. Brakło jej słów.

– Popełniłam błąd – powiedziała matka, wciąż gładząc ją po włosach.

– Ty też? – wymamrotała Susanna. Wydawało się, że to temat dnia.

– O, popełniłam ich wiele – przyznała matka. – Za bardzo cię chroniłam. Myślałam, że zapewnię ci bezpieczeństwo, ochronię przed cierpieniem. Ale to właśnie ja cię skrzywdziłam. – Pochyliła się i położyła dłoń na policzku córki.

Susanna znieruchomiała, ze zdumieniem patrząc na matkę. Lady Dane nigdy nie okazała jej żadnej czułości.

– Obawiałam się, że popełnisz te same błędy co ja, ale kiedy ujrzałam wczoraj Roberta, zrozumiałam, że największym błędem było pozwolić mu odejść. Byłam dla ciebie zbyt surowa, bo byłam na siebie wściekła. Tak bardzo cię kochałam, Susanno.

Wiedziała, że jeśli to okaże, twój ojciec, hrabia, odeśle cię. Zawsze wiedział, że nie byłaś jego dzieckiem, ale tolerował cię tak długo, jak długo faworyzowałaś chłopców. Jeśli nie mogłam okazać miłości tobie, nie chciałam jej okazywać nikomu. Zapomniałam, jak to jest odczuwać miłość. Robert mi przypomniał.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zapytała Susanna. – Po śmierci ojca... lorda Dane'a.

Matka wyprostowała się.

– Hrabia zawsze pozostanie twoim ojcem, Susanno. Zaakceptował cię. Nosisz jego nazwisko. Ani Robert, ani ja ci tego nie odbierzemy. Powinnam była ci powiedzieć. Bałam się.

– Ty?

– Jestem głupią, starą kobietą, zbyt martwiącą się, co inni o mnie myślą. Niczym więcej.

– Co to oznacza?

– To oznacza – pochyliła się i ucałowała Susannę w policzek – że zamierzam być szczęśliwa. Uśmiechać się, śmiać i śpiewać.

– Śpiewać? – powtórzyła Susanna ze zgrozą. Nigdy w życiu nie słyszała, aby matka śpiewała.

– Tak. I zrobię coś jeszcze. Mam nadzieję, że to zaaprobujesz.

Susanna bała się zapytać. Matka nigdy nie pytała jej o zdanie.

– Wyjdę za Roberta.

Susanna wstrzymała oddech. Poczwała, jak wypełnia ją radość.

– O, tak! Zrób to! Zasługujesz na szczęście, mamó. Wiem, że twoje małżeństwo nie było związkiem z miłości.

– Chcę, abyś знаła ojca i chcę, abyś była szczęśliwa, Susanno. Kocham cię, słoneczko.

Susanna miała wrażenie, że te słowa są jak topór, który rozcina jej już zmaltretowane serce, aż staje się obnażone i wrażliwe. Łzy ściekały jej po twarzy.

– Ja też cię kocham, mamó. Przepraszam, że przysporzyłam ci zmartwień.

Lady Dane uścisnęła ją mocno.

– Cieszę się, że wróciłaś do domu cała i nienaruszona – cofnęła się. – Bo chyba jesteś nienaruszona?

Susanna spuściła oczy na kołdrę.

– Nie nadaję się już do małżeństwa – wyszeptała. Jej matka odetchnęła głośno i Susanna skuliła się w sobie.

– Zmusił cię? Skrzywdził?

– Nie – dziewczyna próbowała podnieść wzrok, ale nie mogła spojrzeć matce w oczy. – Był łagodny i... czuły.

– Żałujesz tego?

– Nie – Susanna podniosła wzrok. – Kocham go. Myślałam, że on czuje to samo.

– Może tak jest.

– Więc dlaczego odszedł?

– Wydaje mi się, że jego odejście jest jeszcze jedną oznaką, że cię kocha. Co mógłby ci ofiarować, gdyby został? Wiem o nim to i owo od Marlowe. Nie ma nic. Odchodząc, daje ci szansę na lepsze życie. Szanuję go za tę decyzję.

– Co?

Matka zachichotała.

– Klasy niższe nie są całkiem pozbawione cnót.

– Jesteś pewna, że jesteś moją matką?

Lady Dane zaśmiała się. Jeszcze jeden dźwięk, którego Susanna sobie nie przypominała.

– Tak, Susanno, ale słuchaj uważnie. Ta rodzina nie zniesie kolejnego mezaliansu. Dane wystarczył. Nie wyszłabym za Roberta, gdybym uważała, że to zaszkodzi honorowi naszej rodziny, ale Robert jest drugim synem wicehrabiego. Jestem wdową i nie muszę wychodzić za mąż dla statusu czy pieniędzy. Ty jednak to całkiem inna sprawa – otuliła Susannę kołdrą. – Lepiej się prześpij. Robert będzie tu rano i chciałabym, abyście ze sobą spędzili czas.

Ze zmarszczonym czołem spojrzała na Beauty, która wpełzła na łóżko obok Susanny i położyła jej łeb na brzuchu.

– Naprawdę musisz spać z tym kundlem?

Susanna poklepała Beauty.

– Uratowała mnie więcej niż raz.

Lady Dane westchnęła.

– Doskonale. Nie podoba mi się to, ale podejrzewam, że jesteś dość dorosła, aby podejmować własne decyzje.

Drzwi sypialni otwarły się i zamknęły. Susanna leżała cicho i samotnie, jeśli nie liczyć Beauty. Pomyślała o Gideonie i przebudzeniu w jego ramionach. Gdzie on teraz jest?

Otarła łzę z policzka. Koniec z płaczem. Matka ma rację. Podjęła własną decyzję.

Widok matki całującej Roberta Southeya wciąż ją szokował. Nieważne, że już wiele razy była świadkiem czułości pomiędzy matką i ojcem, ale wciąż czuła się nieco wstrząśnięta i zdezorientowana.

Matka zachichotała. Dziedziczka, hrabina lady Dane, rumieniła się jak uczennica. Susanna nawet przyłapała ją i Southeya w namiętym uścisku w jadalni. Nie czuła się zakłopotana nawet przewieszona przez kredens, z włosami w śledziach, gdy Southey całował jej szyję.

Teraz siedzieli naprzeciwko siebie w powozie, ze splecionymi rękami, oczami wpatrzonymi w siebie nawzajem. Susanna wątpiła, czy w ogóle pamiętają o jej obecności. Nie miała pojęcia, dlaczego zgodziła się pojechać z nimi do ogrodów Vauxhall. Ale cóż innego mogła robić?

Brook znów znikł w swoim biurze przy Bow Sreet, czy gdzie tam spędzał swoje dni i noce.

Dane i Marlowe wrócili na wieś do Northbridge Abbey. Marlowe prosiła Susannę, aby z nią pojechała, ale ta chciała zostać w mieście i lepiej poznać swojego ojca.

Gdy powóz zbliżał się do Vauxhall, Susanna zaczęła myśleć, że ta wycieczka to był błąd w osądzie. Przez cały poprzedni tydzień każdą chwilę spędzała na tym, aby nie myśleć o Gideonie. Skupianie się na tym zadaniu dawało jej zajęcie. Nie mogła jednak kontrolować swoich snów i co ranka budziła się lekko podniecona i z bolesnym uczuciem straty w brzuchu.

Pierwsza myśl po przebudzeniu była zawsze taka sama „Gideon”.

Jednakże na widok światła Domu Właściciela w Vauxhall, żadna koncentracja nie mogła wygnać Gideona z jej myśli. Spacerowali tu razem, trzymając się za ręce.

– Czy źle się czujesz, kochanie? – zapytała lady Dane.

Susanna podskoczyła. Rozejrzała się i stwierdziła, że powóz się zatrzymał i lokaj otworzył drzwiczki. Nie poruszyła się.

– Nie – odparła z krzywym uśmiechem. – Zamyśliłam się.

– Mam nadzieję, że to były dobre myśli – zauważył jej ojciec.

Wziął ją za rękę i wyprowadził z powozu. Uśmiechnął się łagodnie i Susanna poczuła, jak ściska jej się serce. Był cudownym człowiekiem – łagodnym, cichym, radosnym. Dokładnie takim, jakiego potrzebowała jej matka i wydobywał z niej wszystko to, co najlepsze. W nowym ubraniu wyglądał bardzo przystojnie. Matka twierdziła, że Robert ma całą szafę pełną modnych ubrań, ale woli swój strój ogrodnika. Nawet jeśli spędzał wiele godzin w małym ogródku za domem w mieście, kiedy jej matka zapytała, czy chciałby wyjść gdzieś wieczorem, wybrał Vauxhall i jego ogrody rozrywki.

Susanna upomniała się, że sama chciała zobaczyć ogrody z Southeyem i matką. Tu się w sobie zakochali. Tu jej matka przychodziła, aby odzyskiwać siły po utraconych dzieciach. I tu na nowo odnalazła Roberta. Wydawało się właściwe, aby zwiedzali je razem, we troje.

Southey zapłacił za wejście i Susanna ruszyła przez Dom Właściciela jak wszyscy inni zwiedzający. Szła nieco z przodu przed matką i Southeyem, dając im trochę prywatności. Kiedy wyszła z Domu Właściciela do Zagajnika, z zachwytem podniosła wzrok. Było to miejsce tak piękne, że każdy mógł się zakochać.

Jej wzrok powędrował w kierunku drzewa, pod którym wraz z Gideonem stali tamtej nocy, ukrywając się przed Brookiem. Tam była ścieżka, którą się przechadzali, a jego ramię ogrzewało jej talię. A kiedy zobaczyła Wielką Drogę, oświetloną setkami lamp olejowych, wyobrażała sobie, że może dostrzec ciemniejszą ścieżkę Mrocznej Drogi.

Przymknęła oczy, przypominając sobie dłonie Gideona na swojej skórze, kiedy nad ich głowami eksplodowały fajerwerki.

– Susanno, tędy – odezwała się jej matka. Wzięła ją pod ramię z jednej strony, Roberta z drugiej. – Chcę wam pokazać

moją ulubioną altanę. – Syknęła na Roberta: – Nie, nie tę!

Szli powoli. Lady Dane i Robert śmiali się i rozmawiali, Susanna próbowała się uśmiechać, ale wszędzie, gdzie spoglądała, widziała Gideona. Każdy ciemnowłosy mężczyzna przyciągał jej uwagę, sprawiał, że serce jej biło mocniej z emocji.

Oczywiście nie było go tam. Nigdy więcej go już nie zobaczy. Kiedy przestanie o nim myśleć? Kiedy przestanie za nim tęsknić?

Wreszcie poprosiła o chwilę odpoczynku w altanie. Robert i jej matka poszli poszukać kelnera, aby przyniósł im wino i szynkę. Podejrzewała, że ta wyprawa była jedynie pretekstem dla tej dwójki do wykradzenia paru całusów, ale Susanna chciała zostać przez chwilę sama. Zgarbiła się, przymknęła oczy i pozwoliła, aby zalała ją fala smutku.

Czy on ją w ogóle kochał? Choćby trochę? Czy jej matka miała rację? Czy naprawdę ją zostawił dlatego, że ją kochał? I dlaczego nie mogła o nim zapomnieć? Nie mieli przyszłości. Zawsze wiedziała, że córka hrabiego i złodziej nie mogą liczyć na wspólne życie.

Ale nie podjrzewała też, że owdowiała hrabina i ogrodnik znajdą razem szczęście.

– Witaj, lady Susanno.

Susanna krzyknęła cicho i zerwała się na równe nogi, rozglądając się wokoło.

Cień w mroku poruszył się i zbliżył.

– Tak się nazywasz, no nie? Jesteś jedną z tych Derringsów. Jedną z bandy Marlowe.

– Kim jesteś? – zapytała. – Nie podchodź bliżej, bo zacznę krzyczeć. Konstable są wszędzie.

– O, nie będziesz chciała tego zrobić. Uratujesz siebie, ale zgubisz swojego kochanka.

– O czym ty mówisz?

Zadrzała, kiedy rozbłysły pierwsze fajerwerki, oświetlając jego twarz. To był Beezle. Powinna zacząć wrzeszczeć i rzucić się do ucieczki, ale nie mogła się ruszyć, nie mogła myśleć. Jej

kochanek? Gideon?

– Chodź ze mną i będziesz miała szansę uratować naszego wspólnego przyjaciela. Krzyknij, a ja go zabiję.

Wystrzelił kolejny fajerwerk. W oddali zagrała orkiestra. Ktoś się śmiał. Słowiki trylowały.

Beezle, wąż w ogrodzie, wyciągnął rękę. Susanna ujęła ją z łkaniem.

Gideon rozejrzał się po biurze sir Brooka na Bow Street i zastanawiał się, co u diabła tu robi. Zastanawiał się, co u diabła robi w Londynie. Gdyby miał trochę rozumu, byłby teraz w Yorkshire lub Szkocji. Do diabła, na pewno nie stałby pośrodku Bow Street, otoczony łowcami złodziei i ze skradzionym naszyjnikiem w kieszeni.

I do diabła, na pewno nie znajdowałby się w biurze człowieka, którego siostrę zhańbił zaledwie osiem dni temu.

Ale Gideon nie był w stanie opuścić Londynu. Próbował. Dotarł aż do Richmond, ale zawrócił. Zanim się zorientował, stał przed Derring House, zaglądając w oświetlone okna, zastanawiając się, które z nich należy do niej. Zastanawiał się, czy wciąż jeszcze jest w mieście.

Był durniem.

– Co ty do diabła tu robisz?

Gideon obejrzał się.

– Ciebie też miło widzieć, Derring.

– Nie, nie jest. Powinienem cię zabić.

– Ale tego nie zrobisz. Poza tym jestem tutaj, aby spełnić dobry uczynek.

Derring przeszedł przez pokój i prawie rzucił się na krzesło za biurkiem.

– Postanowiłeś się powiesić?

– Nie, postanowiłem ci to dać. – Ręka Gideona zadrżała, ale zmusił się, aby ją włożyć do kieszeni. Chwycił naszyjnik i mocno ścisnął w dłoni, czując, jak krawędzie i ostre kanty diamentów wbijają mu się w ciało.

Zrób to szybko, Gid. To jedyny sposób.

Rzucił naszyjnik na biurko i odstąpił, zmuszając się, aby patrzeć w twarz Derringa, a nie na połyskliwe klejnoty.

Derring spojrział najpierw na naszyjnik, a potem na Gideona.

– Co to jest u diabła?

– Skradziony towar. Pomyślałem, że może znajdziesz właściciela.

Oczy Derringa zwęziły się.

– A co ty z tego będziesz miał?

Dokładnie to samo pytanie zadawał sobie sam Gideon. Za każdym razem, kiedy próbował opuścić Londyn, pociąg, który odczuwał do Susanny, ściągał go z powrotem. Ale to nie wszystko. Nieustannie pobrzmiewały mu w uszach słowa Derringa tamtego wieczoru przed pensjonatem pod Trzema Kaczkami.

„Mógłbyś być jednym z nas”.

Pomysł był absurdalny. Gideon Harrow Gońcem z Bow Street. Ale im dłużej o tym myślał, tym bardziej i głębiej ten pomysł zakorzeniał się w jego myślach.

Byłby piekielnie świetnym Gońcem. Znał wszystkie speluny, wszystkie kanały, wszystkich fałszerzy i rezurekjonistów. Znał wszystkie meliny, sklepy paserów, każdą szkołę ulicznych Wenus. Któż byłby lepszym Gońcem od niego?

Nie chodziło o to, że lubił kraść. Nigdy nie lubił brać rzeczy, które do niego nie należą. Robił to tylko po to, aby przeżyć i nakarmić chłopaków z Covent Garden. Ale nie należał do gangu Beezle'a.

Nie należał już nigdzie.

Spojrział Derringowi w oczy.

– Mówisz, że Gońcy chronią swoich. Chcę tego.

Derring skrzywił się lekko.

– Uważasz, że możesz być Gońcem?

– Uważam, że mogę być piekielnie dobrym Gońcem.

Derring podniósł naszyjnik i zaczął kołysać nim przed oczami. Gideon spojrział na klejnot, a potem znów na twarz Derringa.

– A skąd mam wiedzieć, że to nie jest gra? Jakiś nowy

przekręt? – sceptycznie zapytał Brook.

– Bo Beezle chce mnie martwego, a ty masz dla mnie bilet do wolności. Jeśli zostanę w Londynie, jestem martwym człowiekiem, a jednak wciąż tu jestem.

Derring nic nie odpowiedział, bawił się tylko naszyjnikiem.

Za drzwiami biura rozległy się ciężkie kroki i ktoś zastukał ostro.

– Wejść – odezwał się Derring, nie spuszczając oka z Gideona.

– Sir... – przez skrzywienie otwieranych drzwi odezwał się zadyszany głos. – Jest pan potrzebny...

Goniec urwał, prawdopodobnie zauważył Gideona.

Derring skinął ręką.

– Mów dalej.

– Chodzi o pana siostrę, sir.

– Co? – Derring zaledwie zdążył unieść się z fotela, kiedy Gideon obrócił się i chwycił mężczyznę za gardło.

– Lady Susanna?

Bystre oczy mężczyzny omal nie wyszły mu z orbit, ale pokiwał głową.

– Cofnij się. – Derring szarpnął Gideona za ramię, odciągając go od Gońca. – Co z moją siostrą, Sawyer?

– Została porwana, sir. Z ogrodów Vauxhall.

Gideon myślał gorączkowo. Vauxhall? Co ona do diabła robiła w Vauxhall?

– Odezwał się jeden z tamtejszych konstabli. Była z pańską matką, a kiedy hrabina nie mogła jej znaleźć, wszczęto poszukiwania. Pewnie nadal szukają. Miałem właśnie to panu powiedzieć, kiedy przyszło to – wyjął brudną, podartą ulotkę reklamującą *ridotto all fresco* w ogrodach Vauxhall.

Gideonowi zapało dech, kiedy obserwował, jak Derring rozwija ulotkę. Czuł się, jakby na piersi położono mu ciężką drewnianą deskę i spiętrzone na niej kamienie. Ciężar go dusił.

Derring wydał z siebie dźwięk, przypominający niskie warczenie i podał ulotkę Gideonowi. Nie czytał tak szybko jak

Derring, ale dał radę odcyfrować słowa.

– Gdzie jest Piwnica pod Czerwonym Jednorożcem? – zapytał Derring.

– Seven Dials – Gideon rzucił ulotkę na biurko Derringa. Zabije Beezle’a. Wydusi z niego ostatni oddech.

– Wyślemy pół tuzina ludzi – oznajmił Derring. – Chcę MacKenzie, Bakera, Joya...

– Nie. – Gideon pchnął Derringa na biurko. – Czytałeś list. Mogę iść tylko ja, albo Beezle ją zabije.

Derring uwolnił się, a jego dłoń owinęła się wokół gardła Gideona i przyszpiliła go do ściany.

– Co to za nowa gra, Harrow? Teraz maczasz paluchy w porwaniach?

Gideon z trudem chwycił oddech. Słowa wirowały mu w głowie.

– Myślisz, że to moja sprawka? – wyrzucił.

– Beezle to twój arcydrań.

– Nie! – Gideon zamachnął się nogą, uderzając Derringa w udo. Ten zaklął i puścił ofiarę.

Sawyer unieruchomił mu ramiona, zanim zdołał jeszcze raz uderzyć.

– To twoja wina – splunął Gideon. – Nazywasz siebie świetnym śledczym, ale nie umiesz ochronić nawet własnej siostry!

Zgięty wpół Derring spojrzał na niego przez rozwichrzone włosy.

– On chce ciebie, Harrow. Jeśli chcesz kogoś obwiniać, obwiniaj siebie.

Gideon będzie się obwiniał do końca życia. Nigdy sobie nie wybaczy, jeśli jej coś się stanie. I znów ten przeklęty naszyjnik. Powinien był oddać go Beezle’owi na samym początku. Nigdy by nie spotkał Susanny. Byłaby teraz w domu, bezpieczna, robiąc... to co robią damy z towarzystwa. Byłoby lepiej, gdyby go nigdy nie poznała.

Utkwił spojrzenie w zapomnianym naszyjniku, leżącym na

biuru Derringa.

– On chce tego – rzekł, wskazując głową i usiłując uwolnić się z uchwytu Sawyera. – Albo zakłada, że wciąż jestem w Londynie, albo ktoś mnie podkapował. Stawiam moje życie na to drugie. Za wielu zakapiorów wśród meliniarzy. Sprzedadzą człowieka za szklankę taniego wina.

– Po co porwał Susannę, jeśli chce ciebie?

Gideon zwiotczał i Sawyer puścił go, nie czując oporu, a tamten osunął się na klęczki.

– Bo wie, że ona coś dla mnie znaczy. Pół Field Lane widziało nas razem. Zorientował się, kim ona jest i porwał ją, aby zabrać mi naszyjnik.

Derring spojrział na klejnot, a potem znów na Gideona.

– Więc chodzi o naszyjnik?

– Chodzi o załatwienie starych sporów. Marlowe jest poza jego zasięgiem, więc znalazł jedyną inną osobę, która się liczy. Wchodzę w to, Derring i dopilnuję, żeby ona z tego wyszła. Spróbuj tylko się wtrącić, a on zabije ją bez zmruczenia oka.

– Skąd mam wiedzieć, że zrobisz to, co mówisz? Wyślę cię, a wtedy mogę jej już nigdy nie zobaczyć.

– Musisz mi zaufać.

Derring parsknął wzgardliwym śmiechem.

– Próbuj dalej.

Gideon spojrział w jego zimne oczy bez uśmiechu.

– Kocham ją, Derring. Nie jest to coś, co wyznaję lekko, co wyznaję kiedykolwiek. Jeśli jej nie wyprowadzę bezpiecznie, możesz mnie zabić.

– O, zrobię to. Powolutku.

– Ale musisz dać mi szansę.

Derring spojrział na niego twardym, przebiegłym spojrzeniem. Gideon nawet nie mrugnął. Nie wiedział, kiedy zakochał się w Susannie. Prawdopodobnie wtedy, gdy za pierwszym razem walnęła go w głowę lichterzem. Z całą pewnością nie chciał być w niej zakochany. Przez tyle lat zależało mu na Marlowe i do czego go to doprowadziło?

To, co czuł do Marlowe, nie mogło się równać z jego miłością do Susanny. Wydawało mu się, że jest zakochany, ale jego serce nigdy nie wydawało się rozcięte nożem, gdy sądził, że ją stracił. Teraz sama myśl o utracie Susanny sprawiała, że jego życie traciło sens.

– Taki człowiek jak ty – wycedził Derring przez zaciśnięte zęby – Nie masz pojęcia, co to jest miłość. Susanna zawsze była dla ciebie tylko zabawką.

Gideon zacisnął pięści.

– Tracimy czas. List każe mi być przed świtem, bo inaczej przeniesie ją i będziemy musieli czekać na kolejną wiadomość. Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę jej widzieć w zasięgu Beezle’a przez jedną minutę więcej, a co dopiero przez kolejny dzień.

– Nie ufam ci.

– A ja cię nie lubię. Ale uratuję twoją siostrę.

Derring skinął na Sawyera.

– Wezwij Joyce’a, Bakera i MacKenzie. A ja przedstawię wam mój plan.

Gideon wstał.

– Nie. Seven Dials to mój rewir. Ja przygotowuję plany.

Susanna siedziała zwinięta w wilgotnej piwnicy, otaczając kolana ramionami. Chudy, długonogi chłopak, który nie mógł mieć jeszcze dwudziestu lat, krążył przed jej nosem. Gideon nazywał go Biegaczem. Na górze był ten drugi, ten, którego uderzyli lichtarzem. Nie znała jego imienia.

Ale znała Beezle’a.

Bała się go i wiedziała teraz, że popełniła błąd, opuszczając Vauxhall i udając się z nim. Powinna była się zorientować, że jest przynętą w pułapce na Gideona. Dlaczego nie zdała sobie sprawy z tego, że Gideon nigdy nie pozwoli, aby Beezle go złapał?

Nie myślała. Chciała znowu zobaczyć Gideona. Była gotowa zapłacić każdą cenę. Teraz tak się stanie. Zanim noc dobiegnie końca, Beezle prawdopodobnie ją zabije.

Gideon po nią nie przyjdzie. Nie było go nawet w mieście. Próbowwała to wyjaśnić Beezle’owi, ale kazał jej zamknąć dziób.

Czy była szalona, wierząc, że Gideon po nią przyjdzie? Że wciąż ma szansę go zobaczyć?

Była szalona.

Jeśli Gideon po nią przyjdzie, Beezle zabije ich oboje.

Zdławiła szloch.

Biegacz gwałtownie odwrócił głowę, żeby się jej przyjrzeć, po czym znów zaczął krążyć. Susanna usiadła wygodniej na twardej, zimnej podłodze. Żałowała, że nie ma krzesła. A jeszcze bardziej żałowała, że nie ma broni. Czuła się taka bezradna, siedząc tu i czekając na przybycie Gideona.

A co z matką? Jej nieszczęsna matka. Zaledwie zaczęły budować relację. Ostatni tydzień był pierwszym w jej życiu, kiedy nie sztywniała na dźwięk jej kroków. Lady Dane stała się niemal inną osobą. Wciąż od czasu do czasu strofowała Susannę, żeby siedziała prosto, ale też bez ostrzeżenia przytulała ją i całowała w czoło, kiedy Susanna szła spać.

Nigdy nie sądziła, że będzie tęskniła za matką, kochała ją, a jednak tak się stało. Beezle ją zabije i Susanna nigdy nie zobaczy, jak jej matka poślubia pana Southeya – jej ojca. Nigdy więcej jej nie ucałuje. Ani Dane’a. Ani Brooka. Ani Beauty.

Biedna Beauty. Kto ją będzie drapał za uszami, tak jak lubi?

Drzwi piwnicy otwarły się ze skrzypieniem. Biegacz podskoczył.

– Wszystko gra?

– Namówiłem Barbarę na dwie szklaneczki ale. Beezle właśnie wyszedł. Jeśli się pospieszysz, możesz je wypić.

Biegacz ruszył na schody, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na górze obejrzał się na nią i zawahał. Musiał jednak zdecydować, że nie będzie próbowała ucieczki i wyśliznął się za drzwi. Susanna oparła podbródek na kolanach, ale w tej samej chwili usłyszała za plecami głośnie skrobanie. Zerwała się na równe nogi, rozglądając za jakąś bronią. Słyszała, jak w ciemnych zakamarkach piwnicy przemykają szczury, ale gdyby to też był szczur, byłby największy, jakiego widziała w życiu.

Znów usłyszała skrobanie i tym razem udało jej się je

zlokalizować. Skrzynie ustawione w jednym kącie przesunęły się! Zanim odwróciła wzrok, skrzynie znów się przesunęły. Susanna odepchnęła się od schodów, usuwając się w cień. Do Vauxhall ubrała się w ciemnozieloną suknię z dopasowaną peleryną. Dzięki Bogu nie wybrała kremowego ani różowego. Byłaby bardzo widoczna.

Skrzynie znów się przesunęły i w ścianie ukazała się framuga drzwi. Wreszcie wyjrzała przez nie łysa głowa.

– Halo? Lady Susanna?

– Corker? – zapytała szeptem.

Spojrzał jej w oczy i wyszczerzył zęby.

– To ja. – Spojrzał przez ramię. – Znalazłem ją.

W tym samym momencie w budynku nad ich głowami coś huknęło. Rozległ się dźwięk tłuczonego szkła i Susanna skuliła się, gdy sufit zadygotał od kolejnych uderzeń.

– W samą porę – rzekł Corker z uśmiechem.

– Nie rozumiem. Co tu robisz?

– Ratuję cię.

Kolejny huk i trzask. Chyba źle usłyszała.

– Słucham?

– Na górze są Lighter, Jonesy i Dab. Rozrabiają, żeby zająć czujki i żebym mógł cię ratować.

To kompletnie nie miało sensu. Corker i inni mężczyźni, których spotkała u Strykera – ich obecność tutaj zupełnie nie miała sensu. Nic jej to nie obchodziło. Odepchnęła się od schodów, uniosła spódnicę i podbiegła do niego.

– Jeśli Lighter, Jonesy i Dab są na górze, to kto jest z tobą? Mill?

– Nie – odezwał się dobrze jej znany głos. Do piwnicy wszedł Gideon. – To ja.

Stopy Susanny nie chciały oderwać się od podłogi. Nie mogła uwierzyć, że on tu naprawdę jest, naprawdę przed nią stoi.

Wyglądał pięknie. Nie wiedziała, jak go inaczej opisać. Podejrzewała, że niektórzy mogą widzieć jedynie nierówną bliznę na skroni i powiedzieć, że wygląda na niebezpiecznego, ale dla

Susanny był to znak wszystkiego, co przeżył i przetrwał.

Ogolił się, a choć faliste włosy wciąż muskały kołnierz jego płaszcza, widziała, że je uczesał. Uniosła dłoń, zanim jeszcze się zorientowała, że nie może dotknąć jego gładkiego policzka, nie może przesunąć dłonią po jego włosach i zmierzwić ich tak, jak lubiła.

W zamian zacisnęła dłonie na tkaninie sukni, próbując zebrać myśli i nie wiedząc, co powiedzieć, co robić.

– Czy on cię skrzywdził? – zapytał Gideon.

Potrząsnęła głową.

– Pójdiesz teraz ze mną? Nie wiem, ile mamy czasu.

Kolejny huk dochodzący z góry i krzyk kogoś, kto najwyraźniej próbował uciszyć zamieszki. Gideon spojrzał w górę, a potem znów na Susannę.

– Załóżę się, że niewiele – wtrącił Corker.

– Przyszedłeś – szepnęła, nie całkiem kontrolując głos. – Myślałam, że już jesteś daleko.

Skinał głową, nie spuszczając z niej wzroku.

– Powinienem być. Ale zdaje się, że nie mogłem opuścić Londynu. Nie mogłem, dopóki wiedziałem, że tu jesteś.

Susanna zrobiła krok w przód i krzyknęła, kiedy Corker jęknął i opadł na kolana. Przyłożył dłoń do głowy, a kiedy ją opuścił, była czerwona od krwi.

Gideon obrócił się, unosząc nóż, ale Beezle był gotów na spotkanie z nim. Wszedł zza pleców Corkera i opuścił metalowy pręt na nadgarstek Gideona. Ten z okrzykiem bólu upuścił nóż. Beezle kopniakiem odrzucił go na drugą stronę pomieszczenia, aż z brzękiem uderzył o schody o kilka stóp od Susanny.

Beezle gestem pręta nakazał Gideonowi wejść do piwnicy.

– Wystarczy – polecił, zanim ten zdołał dotrzeć do Susanny.

Dziewczyna zadrżała, czując w ustach smak krwi z przygryzionej ze strachu wargi. Wszyscy zaraz zginą. Beezle zabije ją i Gideona, a może także Corkera. I wszystko to była jej wina.

Drzwi od piwnicy otworzyły się i do środka wpadł Biegacz, a

za nim pozostali, odcinając drogę ucieczki Susannie i Gideonowi. Beezle uśmiechnął się, ukazując pomiędzy cienkimi wargami żółte i spróchniałe zęby. Uderzył prętem w dłoń.

– Gid, mamy niedokończony interes.

Przy pierwszym uderzeniu metalowego pręta powietrze ze świstem wymknęło mu się z płuc. Beezle uderzył go w splot słoneczny. Nie spowodował wiele szkody, ale zaboląło jak diabli. Gideon zgiął się wpół, po czym chwiejnie stanął na nogi, gdy Beezle znów podniósł pręt. Jeśli drań sądził, że będzie tu stał i pozwoli spuścić sobie lanie, to się nieprzyjemnie zdziwi.

– Bierz go – rozkazał Beezle Stubowi.

Gideon odwrócił się ku niskiemu, krzepkiemu łobuzowi.

– Dotknij mnie, a cię zabiję.

– Uważaj! – krzyknęła Susanna.

Gideon rzucił się w lewo i pręt mocno wylądował na jego barku. Ból przeszył go jak gorący płomień. Nogi ugięły się pod nim i upadł, przetaczając się w ostatniej chwili, aby uniknąć ciosu w głowę, który wymierzył mu Beezle. Odpełził na bok, bezradny wobec napastnika, który zbliżał się ze wzniesionym prętem.

– Jeśli mnie zabijesz, nigdy nie będziesz miał naszyjnika.

– Znajdę go przy twoim trupie.

Gideon znów się cofnął, tracąc z oczu Susannę, która przesunęła się w lewo. Doskonale. Nie chciał, żeby widziała, jak rozbijają mu głowę.

– Myślisz, że jestem idiotą? Nie mam go przy sobie.

Beezle zawahał się tylko na chwilę.

– Nie obchodzi mnie to.

Cholera. Beezle bardziej chciał zabić Gideona, niż zdobyć naszyjnik. To zdrada, a nie kradzież najbardziej rozwścieczyła arcyłotra. Kiedy Gideon pospiesznie planował napaść z Derringiem, wiedział, że Beezle może go dopaść, zanim uwolni Susannę. Liczył na to, że arcyłotr będzie na tyle pożądał naszyjnika, że nie zabije go, zanim Susanna zdąży uciec.

Pomylił się.

Beezle wysoko uniósł pręt.

– Chciałem to zrobić już od bardzo, bardzo dawna.

Gideon usłyszał krzyk Susanny i szuranie stóp, ale przed oczami miał tylko ciemny łuk metalowego pręta, który opadł i z brzękiem wylądował na podłodze obok niego. Za zgiętym ciałem Beezle'a stała dziewczyna z podniesionymi rękami i wytrzeszczonymi oczami.

Beezle podniósł się i sięgnął do noża Gideona, który tkwił mu w plecach.

Susanna złapała nóż i ugodziła nim Beezle'a. Teraz cofnęła się w momencie, kiedy zbir wyrwał ostrze z ciała.

– Nie! – krzyknął Gideon, kiedy Beezle ruszył na Susannę.

Rzucił się przed siebie, wpadając na Stuba, który uderzył go dość mocno, aby obalić na podłogę. Szczeniak poderwał go na nogi, gdy Beezle ruszył w stronę Susanny.

– Chcesz się bawić nożem? – syknął głosem zdławionym z bólu. – No to się bawmy.

Uniósł nóż, a Gideon zamknął oczy.

Biała plama przemknęła nagle przez ciemną piwnicę, zasłaniając ją w tej samej chwili, w której Beezle wzniósł nóż. Nagle pies i mężczyzna potoczyli się po podłodze.

– Beauty, nie! – Susanna rzuciła się ku nim, kiedy usłyszała skowyt bólu zwierzęcia.

Beezle zrzucił z siebie bezwładne ciało psa i wstał, wciąż trzymając w dłoni zakrwawiony nóż. Dziewczyna podbiegła do Beauty, uklękła obok ciepłego ciała zwierzęcia, dostrzegając krew na jego sierści.

– Wstawaj – Beezle skinął nożem.

Susanna wstała, spoglądając na Gideona, którego miała teraz za plecami i który wciąż zmagał się z człowiekiem Beezle'a. Chciała po raz ostatni ujrzeć jego twarz. Kiedy się obróciła, Beezle syknął. Jego ciemne oczy błyszczały bólem i wściekłością. Z przerażeniem patrzyła, jak wsuwa nóż do cholewy i wyciąga pistolet z kieszeni płaszcza.

Usłyszała okrzyk strachu Biegacza. Corker uniósł zakrwawioną głowę.

– Mam dość zabawy – rzekł Beezle, odciągając kurek.

Uniósł broń i wycelował w nią. Serce tak mocno tłukło się w piersi Susanny, że zagłuszało wszelkie inne odgłosy. W oczach jej pociemniało i w chwilę potem widziała już tylko wyszczerzony uśmiech Beezle'a.

I nagle uderzyło w nią coś twardego i ciężkiego. Jej głowa stuknęła o płaską, twardą powierzchnię i wszystko zawirowało. Usłyszała strzał z pistoletu, poczuła ostrze bólu i wszystko zatoneło w czerwieni.

Siła strzału przewróciła go na podłogę, Gideon jęknął z bólu. Może dopisać ten cios do swojej długiej listy blizn i ran.

O ile przeżyje.

Oddech uwiązał mu w piersi tak, że wydawało się to mało prawdopodobne.

Próbował wyciągnąć szyję, żeby zerknąć na Susannę. Nie mógł jej odnaleźć. Spróbował z drugiej strony, ale skrzywił się z bólu.

Pomoc zjawiała się we właściwym momencie. Derring wpadł przez drzwi, zaskakując Stuba na tyle, że odwrócił jego uwagę. Gideon wyrwał się na czas, aby dosięgnąć Susanny i odepchnąć ją na bok, ale upadła bardzo ciężko. Teraz jej nie widział. Czyżby ją zranił?

Derring wytrącił pistolet z dłoni Beezle'a i poleciał jednemu ze swych ludzi, aby chwycił arcyłotra. Beezle wrzasnął coś, zaczął się szarpać, ale Gideon nie mógł utrzymać otwartych oczu, aby zobaczyć wynik starcia.

– Susanna – zawołał, ale jego głos był bardziej chrapliwy i cichszy, niżby chciał. Derring usłyszał go jednak i pochylił się.

– Ładna mi akcja ratunkowa. Zostałeś postrzelony.

– Susanna – wykrztusił Gideon. – Czy z nią wszystko w porządku?

– Chwila. – Derring odsunął się. Gideon próbował wstać, zobaczyć, dokąd poszedł, ale ból sprawił, że zapadł w wirującą ciemność.

– Susanno. Otwórz oczy, Susanno.

Próbowała to zrobić, ale wolałaby spać dużej. Była taka zmęczona, taka słaba.

– Młoda damo, w tej chwili otwórz oczy albo doktor da ci kolejną z tych śmierzących mikstur i będziesz spała przez następne trzy dni.

Trzy dni? Doktor?

Gideon.

Jej ciężkie powieki uniosły się, opadły i znów uniosły.

– Mama – szepnęła.

– Dzięki Bogu! Choć raz mnie słuchasz.

Susanna zamrugła i rozejrzała się. Była w swoim pokoju, kotary były zasunięte, ale przez cienki muślin i koronkę prześwitywało światło dnia. Próbowała usiąść, ale pokój zawirował i matka położyła jej dłoń na czole.

– Powoli, kochanie.

Kochanie. Więc to nie był sen – jej matka i pan Southey, Beezle i ogrody Vauxhall, Gideon...

A gdzie jest Gideon?

– Muszę go zobaczyć – szepnęła, znowu usiłując wstać. – Był postrzelony.

Matka spojrzała na nią pełnym troski wzrokiem, po czym skinęła głową.

– Pomogę ci usiąść.

Susanna próbowała użyć nóg, aby się odepchnąć, choć matka już wzięła ją pod pachy. Nogi jednak były albo przywiązane, albo bezużyteczne. W ogóle ich nie czuła.

– Mamo, moje nogi! Nawet ich nie czuję!

Zamiast zrobić przerażoną minę, matka wycelowała palec w łóżko.

– Wynocha, pchlarzu!

Susanna westchnęła raptownie, uniosła się na łokciach. Beauty podniosła łeb i znów go opuściła. Pies usadowił się na nogach dziewczyny.

– Beauty! – Na okrzyk Susanny, pies nastawił uszu i polizał ją po dłoni. Susanna wysunęła nogi i uniosła się. Różowa skóra

zwierzęcia wyglądała spod obu krawędzi wielkiego, białego bandaża, który otaczał jej tułów.

– Kazałam lekarzowi opatrzeć ją, zanim popłami krwią cały pokój. Pies nie opuszczał cię ani na chwilę. – Głos matki brzmiał irytacją, ale nie spuszczała psa z oczu, a w jej spojrzeniu błyszczało coś na kształt podziwu. – Jeśli nie będzie się ruszać, szybko wyzdrowieje. Nie powinna chodzić po schodach, ale ponieważ skamle i piszczy przez cały czas, kiedy nie jest z tobą, musiałam kazać Jimmy’emu nosić ją na dół i na górę, kiedy potrzebuje jeść lub wyjść. Jestem pewna, że chłopak się obrazi i złoży wymówienie za tę obrazę. Nosić psa! – sapnęła matka, ale Susanna umiała już przejrzeć tę twardą skorupę. Matka zaczynała lubić Beauty. Zawsze szanowała lojalność.

– Dziękuję, mamie – powiedziała Susanna, biorąc ją za rękę. Ścisnęła ją lekko, a lady Dane zwróciła na nią wzrok.

– Dlaczego mam wrażenie, że jest coś, czego mi nie mówisz? Czy chodzi o Gideona? On nie żyje, prawda?

Poczuła, jak otacza ją ciemność. Widziała, jak upadał. Słyszała wystrzał z pistoletu. Przyjął kulę, która była przeznaczona dla niej. Umarł, aby ją ratować.

– Jeśli mówisz o tym złodzieju, odpowiedź brzmi „nie”. Może byłoby lepiej dla ciebie, gdyby zginął...

– Och, tu pozwolę się nie zgodzić – Brook zastukał w drzwi. – Słyszałem głosy – dodał tytułem wyjaśnienia, zanim wszedł do pokoju. – Gdyby umarł, miasto miałoby jednego Gońca mniej w oddziale, a ja zawsze przyjmę dobrego człowieka. Jeśli zdołam go przekonać, aby dołączył.

– Goniec – prychnęła matka, odsuwając się, aby Brook mógł stanąć obok łóżka. – To złodziej.

– Ten złodziej uratował życie twojej córki – Brook spojrzał na Susannę. – Został postrzelony, ale wraca do zdrowia.

– Więc żyje?

– Na razie tak. Czy chcesz go zobaczyć?

Tak. Nie. Nie umiała odpowiedzieć.

– A czy on chce mnie zobaczyć? – zapytała.

Brook obdarzył ją spojrzeniem, którym odpowiadał, kiedy w dzieciństwie prosiła, aby się z nią bawił lalkami. Ujął jej dłoń i wyciągnął ją z łóżka nieco szybciej, niż by jej się to podobało, ale stanęła na nogi. Maggie, jej pokojówka, natychmiast okryła jej nocny strój szlafrokiem i mocno zawiązała pasek.

– Nie mogę pozwolić, abyś była znów tą dziewczynką – rzekł Brook przekornie. – Nie toleruję kobiet, które nie umieją same myśleć. A pytanie, jedyne pytanie brzmi teraz: czy ty chcesz go zobaczyć?

Susanna poczuła, jak serce ściska jej się z emocji, lęku, pożądania i tak, miłości. Brook miał rację. Zawsze ją miał ten irytujący człowiek. Nie mogła już ani chwili dłużej czekać na to, czego pragnęła. Musiała chwycić to oburącz.

Ujęła Brooka za rękę.

– Gdzie on jest?

Bok bolał Gideona, jakby diabeł dziabął go widłami. Gorący płomień wspinał mu się po boku, a w dół spływał lodowaty strumień. Gideon zmusił się, aby przejść się po małym, zwyczajnie wyglądającym pokoiku i starał się wytrzymać dyskomfort. Wprawdzie krzywił się przy każdym kroku, ale nie mógł sobie pozwolić, aby leżeć.

Beezle, ten drań, zdołał uciec. To tyle, jeśli chodzi o Derringa i jego Gońców. Gdyby mógł postawić na swoim, Gideon powiesiłby ich wszystkich.

Drzwi otwarły się i stanął w nich Derring z miną pełną dezaprobaty.

– Czego chcesz, do diabła? – burknął Gideon. Jeszcze trzy kroki do ściany. Jeszcze dwa...

– Niektórzy ludzie potrafią wypoczywać po odniesionej ranie – odparł Derring.

Gideon prychnął.

– Ci ludzie nie mają ceny wyznaczonej za swoje głowy. Beezle wróci, nie dzięki tobie.

Twarz Derringa wydłużyła się jeszcze bardziej i znieruchomiła. O ile Gideon nie mylił się w swych domysłach,

wcale nie był szczęśliwy, że jego ludzie zawiedli. Jeden z nich rzucił się do Susanny, kiedy upadła. Dwaj pozostali ruszyli za Beezle'em, ale udało mu się uciec, gdy poranił ich nożem, który ukrył.

– Tu na razie jesteś bezpieczny.

– Tak czy owak – wydyszał Gideon, kiedy już dotarł do ściany i oparł się o nią ramieniem. – Spieszno mi, aby stąd wyjść i oddać pokój twoim sługusom.

Derring umieścił go w pokoju dla służby. Gideon nie wiedział, dlaczego go to irytuje. Przecież mógł go pozostawić na śmierć. Gideon mógł teraz pełznąć przez brudny parter Piwnicy pod Czerwonym Jednorożcem, zamiast odpoczywać w tym pokoju, który lekko pachniał cytryną i woskiem.

Nie zasługiwał nawet na pokój służby, ale nie lubił, kiedy mu przypominano o jego statusie.

Dużo, dużo poniżej Susanny.

– Jak się ma twoja siostra? – zapytał, zwlekając, zanim podejmie znów wędrówkę przez pokój.

– Sam ją spytaj – Derring odsunął się na bok.

Świat zawirował Gideonowi przed oczami, a kiedy znów się zatrzymał, Susanna stała przed swoim bratem. Była blada i miała szeroko otwarte oczy. Kiedy ujrzał ją tak piękną i całą po jej męczarniach, poczuł, że ból nagle ustępuje. Nie czuł już nic, tylko łomotanie serca, kiedy na nią patrzył.

– Jesteś ranny! – przebiegła przez pokój i położyła mu rękę na ramionach. Pachniała jak zawsze, kwiatami i czystym płótnem. Rozpuszczone włosy spadały falami na jej plecy, tylko jeden lok pozostał z przodu i lekko muskał jego dłoń. Zalała go fala pożądania i zachwiał się, znowu opierając się o ścianę.

– Powinieneś leżeć. Nie jesteś dość silny, aby chodzić.

– Nic mi nie jest – skłamał. Desperacko pragnął dotknąć jej nagiej skóry, ucałować te bladorożowe usta. Zerknął na Derringa, który stał obok jak strażnik. Gideon nigdy już nie dotknie Susanny.

– Jeszcze jedno okrażenie pokoju i siły mi wrócą. A wtedy opuszczę wasz dom.

I twoje życie.

– Nie! – pociągnęła go w stronę łóżka, a on poszedł za nią bez namysłu. – Musisz odpoczywać. Nie możesz nawet myśleć o odejściu. Brook, powiedz mu.

Gideon uniósł brew i spojrzał na Derringa.

– Tak, Brook, powiedz mi.

– Doktor mówi, że potrzebujesz dwóch lub trzech dni na dojdzie do siebie. Do tego czasu możesz tu zostać.

Susanna pchnęła jego ramiona, zmuszając go, by usiadł na łóżku. Gideon ustąpił i otarł perlisty pot z górnej wargi.

– Wybacz mi, jeśli spieszę się odejść.

Susanna spojrzała na brata, a potem znów na niego. Kiedy ich oczy się spotkały, Gideon pomyślał: Patrz na mnie. Tyko na mnie.

– Chwileczkę – odezwała się, unosząc palec.

Przez chwilę przyciszonym głosem rozmawiała z bratem. Derring pokręcił głową i pospieszny szept Susanny przybrał na gwałtowności. Gideon chętnie by posłuchał, ale bez dotknięcia Susanny ból w jego boku powrócił i narastał, blokując niemal wszystko wokół. Zabiłby Beezle'a za to, że go zranił. Kazałby mu tańczyć na balu Beilby'ego, ze stryczkiem ciasno zaciśniętym wokół chudej szyi.

Drzwi zamknęły się cicho i Susanna oparła się o nie plecami. Gideon ze zdumieniem zorientował się, że są sami.

– Czy twój brat nie obawia się, że cię zniewolę, jeśli nie będzie nas pilnował?

– Nie jesteś w stanie mnie teraz zniewolić, a wielka szkoda.

Gideon poderwał głowę. Co ona do diaska miała na myśli?

Przycisnęła dłonie do drzwi i odetchnęła głęboko. Jej piersi pod cienkim szlafrokiem wzniosły się i opadły i Gideon nagle zorientował się, że jej stopy są bose. Różowe palce wystawały spod białego obrąbka, śliczne i czyściutkie.

– Bałam się, że nie żyjesz – powiedziała.

– Jeszcze nie czas.

– Brook powiedział mi, że oddałeś mu naszyjnik. Nigdy go

nie zabrałaś. Nie opuściłaś miasta.

Gideon milczał. Dzieliły ich trzy, może cztery stopy, ale wydawało się, jakby to był tysiąc. Chciał ją objąć, zanurzyć twarz w jej włosach, położyć ją na łóżku obok siebie i napawać się jej ciepłem, które przywróci go znów do życia.

– Chce zrobić z ciebie Gońca.

– Bóg wie, że dobry człowiek może zawsze się przydać.

– Właśnie – uśmiech zatańczył na jej ustach. – Ja też,

Gideonie.

Zrobiła krok do przodu, zawahała się, potem następny. Opanował pragnienie, żeby wyciągnąć do niej rękę.

– Jestem pewien, że elita pełna jest dobrych ludzi.

– Ja ich nie chcę – pokręciła głową, uklękła przed nim i wsunęła rękę w jego dłoń. – Chcę ciebie.

– Nie.

Położyła mu na ustach lekki jak piórko palec.

– Tak. Ożeń się ze mną, Gideonie.

Chwycił ją za nadgarstek, oderwał jej dłoń od swoich ust.

– A co to znaczy u diabła? Kolejny z twoich żartów?

Nie cofnęła się przed jego ostrym tonem, podniosła tylko drugą rękę i ujęła dłoń, trzymającą jej nadgarstek.

– Uwielbiam, kiedy mnie dotykasz – szepnęła. – Nie masz pojęcia, jak bardzo za tym tęskniłam.

Puścił ją jak oparzony.

– Lepiej wracaj do swojego pokoju.

– Dlaczego? – uniosła brwi. – Czy jeśli zostanę, pocałujesz mnie?

– Do diabła, mogę zrobić wiele więcej.

Rumieniec zalał jej policzki.

– Dobrze. Właśnie tego chcę. Ciebie, codziennie i każdej nocy. Wiem, że to niewłaściwe i nieprzyzwoite i wiem, że nie obchodzą cię te zasady. Więc proszę, abyś mnie poślubił. Proszę, powiedz tak.

– Nie wiesz, o czym mówisz.

– Wiem. Nie mogę przestać o tym myśleć od chwili, kiedy

się rozstaliśmy. Kocham cię, Gideonie.

– Nie, nie kochasz. Nie jestem dla ciebie odpowiednim mężczyzną. Nie zasługuję na ciebie.

– Co? Ocaliłeś mi życie, więcej niż raz. Zaryzykowałeś dla mnie wszystko. Nie zasługuję na ciebie, ale i tak cię pragnę. Musisz coś do mnie czuć.

– Nie o to chodzi, Susanno – podniósł się i skrzywił, bo ból przypomniawszy mu o odniesionej ranie. – Te wszystkie rzeczy, które robiłem... nie jestem godzien się z tobą ożenić.

– Co takiego zrobiłeś? – Spojrzała na niego z klęczek. – Przyjąłeś kulę, którą Beezle przeznaczył dla mnie? Uratowałeś mnie przed Danem Sztyletem? Znalazłeś mi jedzenie, ubranie, miejsce do odpoczynku po tym, jak prawie cię zmusiłam, żebyś mi towarzyszył?

– Nie zmusiłaś mnie. Chciałem pójść z tobą.

Jej twarz rozbłysła nadzieją.

– Dlaczego?

Przymknął oczy.

– Chcesz wiedzieć, skąd mam tę bliznę? – musnął ją dłonią, czując pod poduszczkami palców gładką, wypukłą skórę.

– Powiedziałeś mi. Walczyłeś z chłopcem z drugiego gangu.

– Miałem dwanaście lat, a on był o kilka lat starszy. Satin złapał go na naszym terenie i sprowadził do meliny. Kazał mi z nim walczyć.

– A on miał nóż?

Gideon skinął głową. Wciąż widział w pamięci mroczną melinę, czuł jej smród, słyszał kap, kap wody z kąta.

– Satin albo pozwolił mu go zatrzymać, albo dał mu sam. Walka była tym bardziej interesująca.

– Nie muszę tego słuchać.

Gideon podniósł ją na nogi, ujął za ręce.

– Tak, musisz. Właśnie taki jestem. Walczyłem z nim, a kiedy się potknąłem, on mnie zranił.

Cierpienie wykrzywiło jej twarz, jakby czuła nóż przecinający jej własne ciało.

– Wszyscy go zagrzewali do walki. Nie ma nic ciekawszego niż widok rozlanej krwi. Oglądać walkę na śmierć i życie. Właśnie tak było. Albo by mnie zabił, albo Satin zabiłby jego.

Łza spłynęła po jej policzku, oczy wypełniły się litością.

– Nie chcę tego – ruchem głowy wskazał na jej twarz. – Nie chcę litości. Nie zasługuję na nią. Myślisz, że litowałem się nad nim? Odepchnąłem go i nóż upadł na podłogę. – Wciąż miał w uszach ten stuk, kiedy ostrze uderzyło o ubitą ziemię. – Dośięgłem go pierwszy, a kiedy ruszył na mnie, zatopiłem go w jego piersi.

Gideon przełknął falę żółci, która podeszła mu do gardła, kiedy przypomniał sobie, jak nóż wchodzi w miękkie ciało, ciepły strumień krwi na palcach, jej cierpki zapach.

Po jej policzku spłynęła jeszcze jedna łza.

– Wbiłem nóż i poderwałem w górę, aż upadł bezwładnie. Kopniakiem odrzuciłem go na ziemię. Takim jestem człowiekiem, Susanno. Nie chcesz mnie. – Puścił ją i odstał w tył, choć omal nie upadł z bólu wspomnień i świeżych ran.

Jej serce wyrywało się do niego, do chłopca, którym był, do straconej niewinności. Chciała otoczyć go ramionami, przytulić, szeptać mu słowa miłości. Miała nadzieję, że to nastąpi później. Pozwoli na to z czasem. Z czasem sobie przebaczy.

– Mylisz się – powiedziała.

Raptownie podniósł na nią wzrok. Wyczytała w nim zaskoczenie i zmieszanie.

– Chcę ciebie. Chcę cię całego, Gideonie. Dobro i zło. Nie obchodzi mnie, co zrobiłeś. Wszystko to należy do przeszłości. Wiem, kim teraz jesteś. Wiem, kim możesz być.

Patrzył na nią, jakby uważał, że oszalała.

– Nie mów nie. Nie mów, że mnie nie chcesz – Zaryzykowała i rzuciła mu się w ramiona. Pochwycił ją, mocno przyciągnął do siebie. Radość eksplodowała w jej sercu niczym fajerwerki. Pragnął jej. Musiał.

– Jak mogę ci się oprzeć? – wyszeptał z ustami w jej włosach. – Przełamujesz moją obronę.

– Nie potrzebujesz jej przy mnie. – Objęła go mocno, a

czysta radość z bycia w jego ramionach sprawiała, że cały pokój, cały świat odpłynął.

– Nie mogę się z tobą ożenić. Beezle uciekł i wróci po mnie. Odstąpiła i spojrzała mu w oczy z troską w twarzy.

– Pozwól mi go złapać. Pozwól mi udowodnić, że jestem godzien...

Uciszyła go pocałunkiem. W jej zamierzeniu miał to być krótki pocałunek, ale kiedy miała się cofnąć, jego nieruchome usta zmiękły. Ciepło zawirowało w jej wnętrzu, kiedy rozchylił jej wargi i wsunął pomiędzy nie język.

Przyłgnęła do niego bez tchu, kiedy oderwali się od siebie.

– Nigdy więcej tego nie mów – wyszeptała między jednym spazmatycznym oddechem a drugim. – Niczego nie musisz mi udowadniać. Kocham cię za to, kim jesteś.

– Chcę być lepszy.

– Przez całe życie starałam się być tym, kim chciała mnie widzieć matka i poniosłam sromotną klęskę. Nigdy nie złożę tego ciężaru na niczyich barkach. Chcę ciebie. Ciebie, Gideonie, takiego, jaki jesteś. Proszę cię raz jeszcze, weź mnie taką, jaka jestem, ożeń...

– Nie.

Poczuła, jak ogarnia ją chłód. Nogi ugięły się pod nią, aż musiała wesprzeć się na jego ramionach. Próbowwała. Nie wiedziała, co jeszcze może powiedzieć. Straci go.

– Mylisz się co do mnie.

Oczy zaćmiły jej się łzami. Powinna odejść teraz, uciec, zanim zobaczy, jak płacze, zanim zacznie szlochać.

– Zasady mnie obchodzą i nie pozwolę, abyś to ty mi się oświadczała.

Puścił jej ramiona i ukląkł, wciąż trzymając ją za rękę. Susanna przetarła dłonią oczy, niepewna, czy wzrok jej nie zawodzi.

– Co ty robisz?

– Kocham cię, Susanno. Pomimo dzielących nas różnic, pomimo twojej skłonności do kundli i lichtarzy, pomimo faktu, że

zrobiłaś ze mnie uczciwego... no, prawie uczciwego człowieka.

Zaśmiała się. Nie mogła się powstrzymać. Przepęniała ją radość.

– Lady Susanno, czy wyjdiesz za mnie?

– Tak – upadła na podłogę, omal nie przewracając go uściskiem. – Tak!

Pocałował ją, czule i delikatnie muskając jej wargi, obejmując ją ramionami w pasie i zaborczo gładząc po plecach. Tak. Chciała należeć do niego, teraz i już na zawsze.

Poprzez mgłę namiętności nagle przedarł się dźwięk i Susanna podskoczyła, kiedy w otwartych drzwiach stanęła jej matka.

– Widzę, że przeszkadzam.

Gideon postawił ją na nogi.

– Lady Dane, miło znów panią widzieć.

– O, doprawdy? – uniosła jedną brew. – Czy mogę zapytać, co właściwie robi pan z moją córką?

Susanna próbowała się odezwać, aby ocalić Gideona, ale ten uciszył ją machnięciem ręki.

– Całowałem ją, aby coś uczcić. Właśnie zgodziła się zostać moją żoną.

Wyraz twarzy matki nie uległ zmianie. Jej wąskie wargi pozostały zaciśnięte, wzrok podejrzliwy.

– Nie sądzę, aby Susanna miała prawo do spełnienia tej prośby.

Susanna przygryzła wargę. Myślała, że jej matka ją rozumie, że wszystko między nimi uległo zmianie. Teraz będzie musiała wyjść za mąż bez błogosławieństwa hrabiny. Nie miała jeszcze dwudziestu jeden lat, nie mogła wyjść za mąż bez zgody rodziców. Jak uzyskają pieniądze na ucieczkę do Szkocji?

– Musi pan porozmawiać z jej ojcem – powiedziała lady Dane.

Susanna podskoczyła z zaskoczenia.

– Jej ojcem? – zapytał Gideon. – Z panem Southeyem?

– Tak. Powiedźcie mu, że macie już moją zgodę. Powiedźcie,

że chcecie się pobrać możliwie jak najszybciej.

Susanna podbiegła do matki, która otworzyła ramiona i objęła ją mocno.

– Nie tego dla ciebie chciałam, ale muszę przyznać, że myliłam się już wcześniej i pewnie myślę się też teraz. Więc życzę ci wszystkiego najlepszego, kochanie – szepnęła matka. – Mam nadzieję, że dostaniesz tyle, co ja.

– Dziękuję – odparła Susanna z kolejnym mocnym uściskiem.

– Nie, to ja dziękuję tobie. Dzięki tobie znów odnalazłam miłość – matka ucałowała ją w policzek. – Nie mogłabym być szczęśliwsza i bardziej z ciebie dumna, Susanno. Bądź szczęśliwa i wyjdź za mąż z moim błogosławieństwem.

Nie mógł dożyć do dnia ślubu. Gideon Harrow musiał umrzeć – krążyły plotki, że został zabity kulą wystrzeloną przez snajpera Beezle'a – aby mógł się narodzić Dudley Dorrington. Dudley Dorrington był dalekim kuzynem rodziny Derringów gdzieś z Lincolnshire.

A może z Nottinghamshire.

Dudley miał krótkie włosy, gładko ogoloną twarz i garderobę pełną eleganckich surdutów, spodni, bryczesów i cholernych... nie, przeklętych, ponieważ mówił jak wszyscy dżentelmeni – krawatów.

Dudley był prywatnym inspektorem do wynajęcia przez bardzo bogatych i bardzo dyskretnych. Współpracował ściśle z Gońcami z Bow Street, często korzystając z biura sir Brooka. Do tej pory okazywał się świetnym inspektorem. Choć nigdy przedtem nie był w Londynie, miał niezwykły talent to odnajdywania w melinach ludzi i towaru. Czasem wyglądał znajomo, ale nikt nigdy nie mógł określić, dlaczego.

Lady Susanna Derring od pierwszego wejrzenia zakochała się w tym odległym kuzynie trzeciej... a może czwartej wody? Pobrali się natychmiast, kiedy ogłoszono zapowiedzi. I teraz Dudley Dorrington był mężem lady Susanny.

Z opcji oferowanych przez sir Brooka, Gideon wybrał Dudleya, ponieważ za każdym razem, kiedy znajdowali się wśród ludzi i Susanna nazywała go tym imieniem, musiał się uśmiechnąć. Kto u diaska nazywa dzieciaka Dudley? Gideonowi prawie żal było tych facetów.

Nie przeszkadzało mu też, że sam na sam Susanna wciąż nazywała go Gideonem. Teraz, po ślubie, będą mieli mnóstwo czasu, żeby nazywała go jego prawdziwym imieniem.

Susanna mówiła, że ślub był ładny. Gideon nie wiedział, co to u licha znaczy. Nawet nie rozejrzał się po kościele. Łatwiej było

mu w ten sposób uniknąć widoku krzywych facjat hrabiego Dane i sir Brooka. Łatwiej było nie widzieć Corkera i Daba czających się w głębi sanktuarium albo Desa i Brenny siedzących na przedzie. Chciał tylko przeżyć to weselne śniadanie i przydybać Susannę sam na sam.

Wyglądała przepięknie w bladuróżowej sukni, podświetlona słońcem wpadającym przez okna za jej plecami i rozświetlającym jej włosy tak, aż zamigotały bladym ogniem. Nie odrywała wielkich oczu od jego twarzy, kiedy ojciec, teraz mąż lady Dane, umieścił jej dłoń w jego dłoni. Spoglądał na tę rączkę w białej rękawiczce, spoczywającą w jego palcach, również okrytych rękawiczkami. Pomyślał, że nigdy przedtem nie miał rękawiczek. Pomyślał, że teraz to już nikogo nie obchodziło. Należała do niego i nie obchodziły jej rękawiczki, tytuły ani bogactwa.

Gideon uważał, że tak jest najlepiej. Nigdy nie stanie się bogatym człowiekiem na pensji inspektora. A przynajmniej bogatym w jej rozumieniu tego słowa, ale Susanna chętnie zgodziła się na skromne życie. Dopóki nie zaoszczędzi dość, aby mieli własne mieszkanie, będą mieszkali w Derring House. Gideon planował jak najszybciej zgromadzić fundusze, wszystko, aby uciec przed skwaszoną miną Crawforda i gongiem, wzywającym wszystkich na kolację.

Od dzisiaj będzie spał w pokoju Susanny. Derring przeniósł go do pokoju gościnnego po ogłoszeniu zaręczyn, ale Gideon czuł się lepiej w pokojach dla służby.

Podejrzewał, że jeszcze wygodniej będzie mu w łóżku Susanny. Jeśli to śniadanie kiedyś się skończy.

– Już niedługo – szepnęła Marlowe, zatrzymując się u jego boku.

Gideon obdarzył ją niewinnym spojrzeniem, a ona roześmiała się.

– Znam cię dobrze, Gid... wybacz, chciałam powiedzieć Dudleyu. Mogę czytać ci w myślach. Nie możesz się doczekać, żeby ją przelecieć.

– Ależ hrabino, nie wiem, o czym pani mówi.

Jej niebieskie oczy rozbliły rozbawieniem.

– Zawsze byłeś dobry w małpowaniu lepszych od ciebie. Ale według mnie ona kocha cię dokładnie takiego, jakim jesteś.

– Wariatka.

Uderzyła go lekko po ramieniu.

– Wcale nie. A teraz zmykaj. Miej Desa na oku, zanim ulotni się ze srebrami.

Spojrzenie Gideona szybko powędrowało w kierunku przyjaciela po drugiej stronie sali. Rzeczywiście, Des z zainteresowaniem oglądał srebrną chochlę.

– Czy kiedykolwiek sądziłeś, że zobaczysz Desa Stewarta i hrabiego Dane’a w tym samym pomieszczeniu z pół tuzinem łowców złodziei i Gapem, i Małym?

– Nie mogę powiedzieć, żeby tak było. I nie sądzę, że którykolwiek z nich zostanie zaproszony tu jeszcze raz.

Des wsunął chochlę do kieszeni, a Gap pchnął Małego, a ten wpadł na lokaja, który przewrócił całą tacę szampana.

– Susanna próbuje – z westchnieniem rzekła Marlowe. Położyła mu dłoń na piersi, aby nie ruszał się z miejsca. – Ja się tym zajmę. Ty idź na górę i znajdź Susannę.

– Na górę?

Mrugnęła do niego.

– Nie wiedziałeś? Czeka na ciebie w swoim pokoju.

– A ty zwlekałaś tak długo, aby mi o tym powiedzieć? – zawołał za nią. Wybiegł z sali, nie przejmując się tym, że wyda się wszystkim zbyt gorliwy. Nie obchodziło go też, że wszyscy zapewne doskonale wiedzą, dokąd idzie i co będzie robił.

Obchodziła go jedynie Susanna.

Dokładnie wiedział, które drzwi wiodą do jej pokoju. Widział, jak jej pokojówka wychodzi z niego i przemyka korytarzem.

Podszedł prosto do jej drzwi, zastukał cicho i usłyszał jej głos.

– Kto tam?

– Ja – nerwowo spojrzał na czubki swoich butów. – Gideon.

Twój mąż.

Te ostatnie słowa wypowiedział głośno, na wypadek gdyby któryś z jej braci był niedaleko. Bracia bywają notorycznie nadopiekuńczy wobec swoich sióstr. Lepiej przypomnieć im o jego nowym statusie.

– Wejdz.

Pchnął drzwi i zatrzymał się. Włamywał się do domów mniejszych niż ten pokój. Otaczała go biel i róż – jasnoróżowe ściany, białe firanki obrzeżone koronką, delikatne meble, przyozdobione wazonami pełnymi kwiatów.

I łoże.

Zamknął za sobą drzwi i przekręcił klucz.

Śnieżnobiała narzuta okrywała wielkie łoże otoczone cienkimi, delikatnymi zasłonami, które nie skrywały niczego. Białe poduszki z falbankami tworzyły śnieżny wzgórek u wezłowania. Gideon nigdy nie miał jednej poduszki, a co dopiero piętnastu.

– Wiem, że wymaga renowacji – rozległ się głos. Gideon zlokalizował go za wielkim, prostokątnym parawanem, ozdobionym kwiatami. – Możemy razem zdecydować o tkaninach i kolorach.

– Jasne. – Ostatnią rzeczą, na jakiej chciałby spędzić czas, było gapienie się na kolory farb. Nie będą mieszkać tu na tyle długo, aby renowacja była konieczna. Poza tym dość podobał mu się róż i biały. Otoczony bielą czuł się czysty, zapewne dlatego, że rzeczywiście był czysty. Ten przeklęty lokaj, którego przydzielił mu Derring omal nie utopił go w wannie.

– Zdejmij surdut – powiedziała, wciąż skryta za parawanem.

Co ona tam robi?

Wzruszył ramionami, zdjął surdut i rzucił na podłogę. Ściągnął buty, skarpetki, po czym wstąpił na gruby biały dywan. Palce stóp zagłębiły się w miękkiej tkaninie. Komu potrzebne łożko, kiedy podłoga jest taka miękka.

Poruszył palcami i zaczął szarpać krawat, który podał mu lokaj. Kiedy i on spoczął na podłodze obok surduta, zdjął kamizelkę i przeciągnął się. Poczuł się znowu prawie normalnie,

jeśli nie liczyć tonących w dywanie stóp. Zabawiał się zagłębianiem i wydobywaniem z niego palców stóp, dopóki kątem oka nie pochwycił ruchu. Podniósł wzrok.

Cała krew odpłynęła mu z głowy i choć próbował coś powiedzieć, zaledwie zdołał stęknąć.

Susanna niedbale opierała się o parawan, z rękami przy bokach, z długimi, płomienistymi włosami spływającymi jej do pasa w lśniących falach. Ogromne oczy utkwiała w jego twarzy, a kiedy objął ją wzrokiem, na policzki wypłynął jej delikatny rumieniec. Na szyi błyszczały jej szmaragdy i diamenty znajomego naszyjnika.

– I co sądzisz? – zapytała.

– Chyba śnię – odparł i dziwne, że udało mu się wykrztusić aż tyle. Poza naszyjnikiem, Susanna nie miała na sobie niczego.

Widział każdą część jej ciała bez ubrania, ale nigdy w taki sposób. Nigdy w białym świetle słońca przesączającym się przez firanki i tańczącym na jej jasnej, porcelanowej skórze.

– Brook powiedział, że jeszcze nie odnalazł właściciela naszyjnika. – Przesunęła dłonią po krzywiźnie biodra, po małych, okrągłych piersiach aż do migoczącego klejnotu na jej szyi. – Zapytałam, czy mogę go pożyczyć.

– Przyćmiewasz go.

Uśmiechnęła się i podeszła do niego na smukłych, kształtnych nogach.

– Kiedy mówisz takie rzeczy, sprawiasz, że czuję się odważna. – Stała przed nim, a różowe czubki jej piersi otarły się o jego koszulę. Objął dłońmi jej wąską talię, natychmiast rozgrzewając je ciepłem jej ciała.

– Będę zatem mówił dalej, bo lubię, kiedy jesteś odważna.

Rozpięła guziki jego koszuli i uniosła ją, w ślad za materiałem przesuując palcami po jego brzuchu.

– Lubię być odważna – rzuciła koszulę na podłogę. – Mam dość oczekiwania na zezwolenie, czekania, aż moje życie wreszcie się zacznie. Nie czekałam, aż to ty poprosisz mnie o rękę – sięgnęła do zapięcia jego spodni. – I nie będę czekała, aż weźmiesz

mnie do łóżka. – Rozluźniła spodnie i zsunęła mu z bioder. – To ja cię wezmę.

– Jeśli tak wygląda małżeństwo, to chyba mi się spodoba – mruknął.

– A mnie podobasz się ty, mężu – uśmiechnęła się do niego. – Choć wciąż nie mogę się przyzwycząić do twoich obciętych włosów.

– Wyglądam szacownie.

– Nie całkiem.

Nagimi piersiami napała na jego pierś, a ich miękkość odwróciła jego uwagę od dłoni, którymi ściągała mu spodnie, aż zamknęła je na jego nagich pośladkach. Jego członek stwardniał i był aż nadto gotów. Choć zawsze była niezwykle wrażliwa na jego dotyk, nie chciał jej popędzać. Chciał, aby ten pierwszy raz trwał wiecznie. Chciał go pamiętać, jako początek ich wspólnego życia, życia po Szczeniakach z Covent Garden.

– Umrę przez ciebie – wyszeptał jej do ucha. Przycisnął się do jej brzucha. – Czujesz? Pragnę cię.

– Więc pozwól zaprowadzić się do łóżka. – Wzięła go za rękę, a on wyszedł ze spodni i podążył za nią. Pociągnęła go za sobą, aż oboje ukłękli pośrodku. Teraz, kiedy oboje byli nadzy, zapomniał o klasach społecznych, które ich dzieliły. Teraz tylko oni dwoje mieli znaczenie.

Wziął jej usta, ujmując w dłonie głowę i zanurzając je w całej tej jedwabistości. Przyjęła go, głaszcząc jego język swoim i namiętnie przyciskając się do niego całym ciałem. Jej dłonie błąkały się po jego skórze, zaciskały na włosach, paznokcie wbijały się w plecy, a końce palców wędrowały po jego brzuchu, aż dotarły do członka. Przesuwała je w górę i w dół, aż musiał wbić krótko obcięte paznokcie w skórę dłoni, aby jej nie zgwałcić.

Gideon pochylił usta do jej piersi, do bladoróżowych sutków, tak napiętych i gotowych do smakowania i rozkoszy. Zaczął delikatnie ssać, przesuując dłońmi po jej brzuchu do łona i ud. Jęknęła z rozkoszy, kiedy językiem zaczął drażnić stwardniały pączek, a potem dmuchał chłodnym powietrzem na wilgotne ciało.

Jej skóra przybrała ciemnoróżową barwę, a wtedy pochylił się nad jej drugą piersią.

– Mógłbym to robić przez całą noc – szepnął, zataczając kółka językiem, aż wygięła się w łuk i odrzuciła głowę do tyłu. – Mógłbym cię tak podniecać godzinami.

– Dotknij mnie – zażądała, a choć dotykał ją przez cały czas, wiedział, co ma na myśli. Jego palce w powolnych, coraz większych kręgach podążyły ku zbiegowi jej ud. Włosy, nieco ciemniejsze niż na głowie, otarły się o jego palce, kiedy zanurzał się w jej wnętrzu. Nie był zdziwiony, że jest już wilgotna. Zdumiał się dopiero, kiedy rozsunął jej wargi i dotknął wrażliwego pączka pomiędzy nimi. Zadygotała, westchnęła i krzyknęła.

Przycisnął się do niej, obserwując, jak jej biodra poruszają się w rytmie rozkoszy, a kiedy wreszcie spojrzała na niego, jej ciemne oczy lśniły upojeniem.

– Czy wiesz, jakie to rzadkie – zapytał. – Że tak łatwo odnajdujesz rozkosz?

– Jak mogłoby być inaczej? – Położyła mu dłonie na ramionach i odepchnęła lekko. – Ożywam, kiedy mnie dotykasz.

Oparł głowę na poduszkach, mógł obserwować, jak całuje jego piersi i brzuch. Nie była jeszcze dość odważna, aby ucałować jego członek, ale widział, że myśli o tym.

– Następnym razem – powiedział, unosząc jej twarz i przyciągając jej usta do swoich. Zasłona jej włosów otuliła ich oboje miękkim, ciemnym kokonem. Poprowadził ją, aż usiadła na nim, ustawił tak, że miękka wilgoć jej kobiecości znajdowała się tuż nad jego obolałym członkiem.

– Co teraz? – zapytała. Jej piersi uniosły się, sutki wyglądały jak wiśnie na śnieżnej zaspie. Jej usta rozwarły się w duże O. Oczy zrobiły się wielkie i ciemne. – Och, rozumiem.

– Chciałaś mnie wziąć... – uniósł biodra – więc mnie bierz.

– Tak.

Wsunęła się na niego, obejmując go płynnym ciepłem. Początkowo zachwiała się, a on pokazał jej, jak się poruszać, jak odnaleźć tę bliskość i dojść do szczytu.

Miała dość wytrwałości i entuzjazmu. Wreszcie poczuł, jak jej ciało napina się, a wtedy przetoczył się na nią.

– Co robisz? – wydyszała, bardziej zirytowana opóźnieniem rozkoszy niż zmianą pozycji.

– Chcę widzieć twoją twarz – rzekł, splatając jej palce ze swoimi i przyciskając do łóżka. Poruszał się w niej, a ona mocno zacisnęła dłonie.

– Proszę, nie przestawaj.

– Nie – wysunął się i bardzo powoli wszedł w nią z powrotem, zagłębiając się najdalej, jak mógł.

– O tak – uniosła biodra. – Mocno, Gideonie. Szybko.

– Masz wymagania.

Zanurzył się w niej mocno i szybko, obserwując, jak jej opanowanie ulatuje. On także zaczął się poddawać.

– Susanno.

Jej zamglone oczy zwróciły się ku niemu, usta wygięły w uśmiechu.

– Kocham cię – szepnął, mocno chwytając jej dłonie.

– A ja ciebie.

Z dłońmi i ciałami splecionymi miłością, zanurzyli się w wieczność.

Podziękowania

Dziękuję moim wspaniałym agentkom, Joannie MacKenzie i Danielle Egan-Miller za ich stałe, niezachwiane wsparcie. Jestem wdzięczna każdego dnia, że zechciałyście ze mną współpracować.

Dzięki mojej ślicznej przyjaciółce i asystentce Gayle Cochrane za niezliczoną ilość rzeczy, które robisz dla mnie, i za to, że po prostu jesteś tutaj. Dzięki również Shananigom: Kristy, Connie, Lisie, Nicole, Barbarze, Patti, Ruth, Misty, Florze, Susan, Sue i Sarah!

Dzięki Brainstorm Troopers, zwłaszcza Margo Maguire, której zawdzięczam pomysł tej serii.

Dziękuję mojej redaktorce Deb Werksman; moim publicystkom Amelii Narigon i Morgan Doremus; i wszystkim wspaniałym profesjonalistom. To przywilej pracować z zespołem wydawnictwa Sourcebooks.

Dziękuję moim znajomym, Amy i Emily, którym poświęcona jest ta książka. Motywowałyście mnie, aby wstać rano i ciężko pracować.

Przede wszystkim jednak dziękuję mężowi i córce za całą ich cierpliwość i wsparcie. A zwłaszcza dziękuję księżnej Galen, która radośnie (przez większość czasu) dzieli się ze mną swoją lalką Flynn Rider i DVD Tangled.

Przypisy

^[1] Gońcy/Biegacze z Bow Street (Bow Street Runners) – tak powszechnie nazywano funkcjonariuszy pierwszej londyńskiej policji, która działała w latach 1749–1839. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

^[2] Newgate – londyńskie więzienie o bardzo surowych warunkach, a w czasach, gdy toczy się akcja powieści, również miejsce egzekucji.

^[3] rezurekcjoniści (*Resurrection Men*) – gangi hien cmentarnych sprzedających skradzione zwłoki studentom medycyny.

^[4] Tothill Fields Bridewell – więzienie w dzielnicy Westminster, istniejące w latach 1618–1884.

^[5] Wg *The 1811 Dictionary of the Vulgar Tongue*: *dab* – biegły w czymś, złota rączka; *rum* – cenny, świetny (a poza tym: dziwaczny oraz rum – napój alkoholowy); *mill* – dłuto (a poza tym młynek/młyn). Natomiast nazwisko Jonesy kojarzy się z *jones* – mieć chrapkę na coś; *lighter* to wielka, płaskodenna barka; a *corker* to zabawna osoba lub rzecz.

^[6] William Shakespeare *Sonet CXXIII*, przeł. Maciej Słomczyński [w:] William Shakespeare *Sonety*, Wydawnictwo Cassiopeia, 1992

^[7] John Barleycorn, czyli John Jęczmienne Ziarno, to bohater starej angielskiej pieśni ludowej. Jest personifikacją alkoholu (zwłaszcza whisky); na tyle popularny, że jego postać trafiała też do innych utworów i do nazw pubów.

^[8] Dobra majoratowe [ang. *entailed estate*] – majątek ziemski dziedziczony przez najstarszego syna lub męskiego krewnego. W tym przypadku niemożliwy był podział.

